Jackson Gregory

# Sekretna dolina

(Secret Valley)

Pierwsze wydanie: 1939

## Rozdział I

**W** tych dawnych czasach, jeśli dotarło się do Fiddler's Gulch, większość ludzi mówiła, że dotarło się na koniec świata. Było to daleko, bardzo daleko na pustkowiach Zachodu.

Jeśli ruszyło się dalej, można było dotrzeć do Przełęczy Trzech Głupców. I w ten sposób nieuchronnie docierało się do starego, monstrualnego domu, który stał wysoko na górskim grzbiecie, należącego do Black Jacka Devlina. Nazywano go Górskim Domem.

A jeśli już tam ktoś dotarł… No cóż, niektórzy twierdzili, że warto było odbyć tę długą i niebezpieczną podróż, a inni, o mniej gęstej krwi, żałowali, że w ogóle kiedykolwiek opuścili przytulne łóżko w krainie, w której wschodziło słońce. Tutaj słońce zachodziło - wspaniałe, ciepłe, czerwone.

Dom Black Jacka Devlina stał u stóp najwyższych partii gór, tuż nad przełęczą, a z jego szerokich drewnianych ganków, krytych spadzistymi dachami, można było po jednej stronie spoglądać w zacienione głębiny Sekretnej Doliny. Z drugiej strony można było zajrzeć, w tajemniczy półmrok Zagubionej Doliny. Ponieważ przełęcz położona była wysoko, górowała nad wąskim wzgórzem o stromych, ostrych ścianach, które rozdzielało dwie ciemne, mroczne, żyzne i w jakiś sposób zarówno posępne, jak i piękne doliny.

Sam Black Jack Devlin był hazardzistą starej szkoły.

Miał córkę, która była jego oczkiem w głowie. Nazywała się Rose Devlin. Później zdecydowała się zmienić to na Rosalie. W wieku szesnastu lat nazwała siebie Rose-alba. Przeczytała bajkę, w której występowała Rose-alba, co oznaczało Białą Różę. Uwielbiała białe róże; w jej życiu były one rzadkością; widziała tylko jedną, którą jakiś człowiek przywiózł z Santa Fe. Kiedy wpadała w pewne nastroje, sama chciała być białą różą.

Nie tylko była córką hazardzisty, ale sama była również hazardzistką.

W ciągu ostatniego roku, przez przełęcz przewinęło się nie mniej niż siedmiuset ludzi, z których wielu ociągając się wyruszyło w dalszą drogę, by już nigdy nie wrócić; wielu innych krążyło tam i z powrotem, tam i z powrotem, między kopalniami na północy a miasteczkiem Liberty na nizinach. Z tych siedmiuset może nawet aż sześciuset dziewięćdziesięciu paru, pragnęło jej.

Była młoda, lubiła więc dramatyzować swoją osobę. Ubierała się w bardzo egzotyczne rzeczy, oglądane na zdjęciach w czasopiśmie, które dotarło tu parę miesięcy temu z Santa Fe, niedługo po białej róży. I była z natury śliczna.

Ponadto, jak większość hazardzistów, w tym także jej ojciec Black Jack Devlin, oszukiwała w kartach. I uchodziło jej to na sucho.

Na początek powiedzmy coś o Black Jacku Devlinie i trochę jeszcze o Rose-albie.

Szeroki ganek Górskiego Domu otaczał trzy strony rozłożystego, starego budynku z bali i kamienia. Ze wschodniego ganku spoglądało się, na Sekretną Dolinę, gdzie mieszkali, szaleli i trwonili wszystko, co kiedykolwiek posiadali, Haverilowie. Z południowego krańca, wysoko ponad skalistym kręgosłupem grzbietu, można było dostrzec dolne krańce obu głęboko wciętych dolin. Od zachodu spoglądało się w dół, do Zagubionej Doliny, w której swoją siedzibę miał Tom Storm.

Była też trzecia dolina, a jej właściciel uważał ją nie tylko za najwspanialszą ze wszystkich, lecz także za najpiękniejsze miejsce na ziemi, idealną Vale of Alombroso, i dlatego nazwał ją Rajską Doliną. Tyle tylko, że będąc starym i sentymentalnym hiszpańskim dżentelmenem, nazwał ją El Paraiso, co oznacza Raj, więc wszyscy nazywali ją Rajską Doliną. Ukształtowanie tutejszych gór było dosyć osobliwe; pradawne lodowce odcisnęły na nim swą wolę wieki wcześniej i poszły w zapomnienie, pozostawiając po sobie głębokie wąwozy przypominające norweskie fiordy i wyniosłe, strome skalne ściany; wysoko w górze znajdował się grzbiet, na którym stał stary Górski Dom, a ten grzbiet skalny tworzył wysoką barierę między Sekretną doliną i Zagubioną Doliną. Następnie, w kierunku południowym, grzbiet rozdzielał się, zaś między jego ramionami leżało wejście do Rajskiej Doliny.

Stara hiszpańska rodzina Valdez y Verdugo, która przeprowadziła się z Santa Fe sto lat wcześniej, utrzymywała ją przez cały czas w swoim posiadaniu, i tylko tolerancyjny, hojny i miłosierny Bóg wiedział jak.

W Rajskiej Dolinie również mieszkała pewna dziewczyna.

Była siostrzenicą starego señora Francisca de Valdez y Verdugo. Wyglądała jak kwiat; jak południowy kwiat - jak magnolia. Była też podobna do młodej królowej, wyniosła, o miękkich rękach, bezużyteczna i przyzwyczajona do wydawania poleceń.

Tak więc mamy grupę ludzi, których drogi życiowe, choć tego nie podejrzewali, nagle się splotły:

Black Jack Devlin.

Jego lekkomyślna, barwna, grająca w karty córka, Rose-alba.

Tom Storm w Zagubionej Dolinie.

Don Francisco, panujący nad Rajską Doliną - i czasami obgryzający swoje arystokratyczne paznokcie i wznoszący głodny wzrok na wyniosły Górski Dom.

Hiszpańsko-amerykańska dziewczyna, niczym królowa, dla której Rajska Dolina była tak odpowiednim miejscem, Señorita Carmencita.

No i jeszcze był Haveril - jeden z Haverilów z Sekretnej Doliny - choć od lat przebywał gdzieś w Ameryce Południowej. Lecz zmęczony przygodami, wspominając dom swego dzieciństwa, w górach na południowym zachodzie, za którym zatęsknił po piętnastu latach życia na

dalekich, otwartych szlakach, w końcu wsłuchał się w uderzenia fal Pacyfiku i skierował swe kroki z powrotem na północ - nie myśląc o niczym innym, jak tylko o radości z powrotu do domu w Sekretnej Dolinie.

Nie myślał ani o małej Carmencicie, ani o Rose-albie na górze, ani o Tomie Stormie w Zagubionej Dolinie, ani o Black Jacku Devlinie, ponieważ nie znał nikogo z nich, poza Tomem Stormem, i nie wiedział, że Storm tu jest. Uciekł, by szukać przygód, kiedy miał dziesięć lat.

Tak więc, dzięki ukrytym, absolutnie przebiegłym i nieodgadnionym zrządzeniom życia, wszyscy oni zostali doprowadzeni do wspólnego punktu zbieżności.

Podobnie jak Bob Roberts z kopalni North Star, dziwny facet, którego wszyscy nazywali Hannigan, choć nazywał się zupełnie inaczej, oraz stary Romero, łobuz o pomarszczonej twarzy i kompletnie romantycznym sercu. Gdyby o tym wiedzieli, pewnie niektórzy z nich odwróciliby się na pięcie i ruszyli w innym kierunku - a może, skoro wszyscy byli gorącokrwistymi ludźmi, rzuciliby się jednak w wir przygody ze wspaniałą fantazją i diabelską beztroską, jak ćmy rzucają się w płomień świecy?

Quien sabe?

## Rozdział II

**P**ewnego zielonego letniego popołudnia Black Jack Devlin wyszedł na swój ganek, który był równie dobry jak punkt obserwacyjny. Miał na sobie wysokie czarne buty, które lśniły jak lustra Claude'a Lorraina, nieskazitelnie białą jedwabną koszulę, płaszcz z długim ogonem i największy czarny kapelusz z szerokim rondem, w całym Nowym Meksyku, Kolorado, Arizonie i Teksasie. Kiedy zobaczył swoją małą córeczkę, która wyszła na ten sam ganek przez inne drzwi, pojawiając się za rogiem, wykonał w jej stronę coś w rodzaju dworskiego ukłonu. Pomyślał, że nigdy nie widział, by wyglądała tak uroczo. Oznajmił:

— Zamierzam cię stąd odesłać, dziecko. Rozpieszczam cię tutaj. To już nie jest właściwe miejsce dla ciebie. Ty...

— Liczyłam pieniądze — odparła i roześmiała się, robiąc przy tym jedną ze swoich pikantnych min, po czym wsunęła mu rękę pod ramię. — To dlatego moje policzki są takie różowe, a oczy takie jasne. Wiesz przecież, Jack…

— Ile ty masz lat? — dopytywał się. Starał się być w stosunku do niej szorstki. — Wydaje mi się, iż pamiętam, że czytałam gdzieś pewien wiersz, kiedy jeszcze byłem na tyle młody i głupi, żeby czytać wiersze i oglądać wschody księżyca. Opowiadał on o jednym starym człowieku – czy też raczej o człowieku, który nagle obudził się i rzekł sobie: „Ho, ho, moi panowie! Nieźle sobie pospałem! Broda sięga mi do kolan!”. Było tam też zdjęcie; wyglądał na zmartwionego, widząc siebie w takim stanie. Teraz, gdy rozmyślałem sobie o innych rzeczach…

— Tyle, że ty nigdy nie myślisz! Możesz sobie oszukiwać innych, ale mnie nie zdołasz! A z pieniędzmi, które zgarnęliśmy w ciągu ostatnich dwóch tygodni - kopalnie pracują pełną parą, zaś hodowcy bydła rozkwitają, i wszyscy płacą nam daninę…

— Mogę cię odesłać — oświadczył triumfalnie. Przechadzali się po szerokiej werandzie, obejmowała go ramieniem, on wpatrywał się w głębokie doliny, ona zaś uważnie spoglądała na niego. — Do jakiejś pensji dla dziewcząt w Albuquerque, lub nawet w Los Angeles czy San Francisco, albo...

— Za każdym razem, gdy sądzisz, że możesz się mnie w ten sposób pozbyć...

— Masz już ponad siedemnaście lat, dobrze o tym wiem. — Zatrzymał się, ona stanęła koło niego. Oparł się o balustradę ganku i popatrzył w dół, prawie pionowo w dół, na Sekretną Dolinę. — Oczywiście, że tak! Przecież w ostatnie urodziny miałaś osiemnaście lat! Masz prawie dziewiętnaście! A

może już dwadzieścia? Ho, ho, moi panowie! Spałem, a moja córka wyrosła na młodą kobietę!

— Jacku Devlinie! — przerwała mu Rose-alba. — Wysłuchasz mnie?

— Kiedy byłaś dzieckiem, wszystko było w porządku — stwierdził Devlin. — Teraz kompletnie się to zmieniło. Nie podoba mi się sposób, w jaki patrzą na ciebie te przeklęte młode górskie dzikusy. I nie podoba mi się sposób, w jaki ty patrzysz na jednego czy dwóch z nich. Dlatego więc…

— Jest Bob Roberts, właściciel nie wiem ilu kopalń, który nie potrafi grać w pokera nawet na zapałki — zauważyła Rose-alba. — Ale to przystojny facet. A tam na dole, w Zagubionej Dolinie, mamy tego ponurego Toma Storma...

— Młoda kobieta w twoim wieku — odparł Jack Devlin, wchodząc w ciężką rolę ojca i starając się wyglądać tak surowo, że aż ścisnęła mu rękę obiema dłońmi i roześmiała mu się w twarz — nie powinna grać w karty. Nie powinna nawet odróżniać jednej karty od drugiej. A co do faraona, ruletki czy...

— Nauczyłeś mnie grać w karty, kiedy miałam sześć lat — zaśmiała się. — A kto jak nie ty nauczył mnie, jak obstawiać i pomijać zakłady w studa? A kiedy szczęście mi dopisywało, tak jak wtedy, gdy miałam dziesięć lat, ograłam cię do czysta! Ja, mała Rosie Devlin, ograłam starego Black Jacka do czysta w jego własnej grze - nawet wtedy, kiedy grał tak twardo, że musiał trzymać kartę raz, a dwa razy wyciągał z rękawa! Och, ty wielki blefie! Ty wielki malutki blefiku!

— Spójrz na mnie, do diaska — warknął Black Jack.

Ale ona zawołała:

— Wstyd! Takie niegrzeczne słowa do małej, niespełna dwudziestoletniej dziewczynki, która nie powinna odróżniać jednej karty od drugiej! Małej dziewczynki, którą wydaje ci się, że zamkniesz w jakimś tam klasztorze!

— Rose, kochanie…

— Nie próbuj brać mnie na łagodność, Jacku Devlin! To ci się nie uda.

— Do diabła! — odparł Devlin, tym razem bardzo serdecznie.

— Niech to diabli! — zaśmiała się Rose-alba.

W sumie byli całkiem szczęśliwi i beztroscy tego zielonego letniego popołudnia. Tę porę roku nazywano tam „Zielonym Latem”, ponieważ była to bardzo cenna, naprawdę wręcz bezcenna pora w wysokich górach, która nadchodziła po zakończeniu wiosny, a przed rozpoczęciem prawdziwego lata. Przez kilka dni, w najlepszym razie tygodni, panowała pora roku, która wydawała się nie całkiem ziemska, lecz raczej niebiańska. Słońce było delikatnie i pieściło ciepłem; doliny były porośnięte bujną zielenią, i niemal wszystkie ozdobione małymi górskimi kwiatami o tak delikatnym ubarwieniu i tak delikatnych płatkach, że miały w sobie coś eterycznego; pory wschodu i zachodu słońca, wschodu i zachodu księżyca, światła gwiazd, a nawet południa były w pewien sposób niewysłowione.

Nagle Black Jack Devlin otrząsnął się z tego łagodniejszego nastroju. W jednej chwili gwałtownie wyrwał rękę z objęć swej małej córeczki. Popatrzył na nią lodowatym wzrokiem.

Potem parsknął na nią szyderczo. Górna warga skręciła mu się w pogardliwym grymasie, a hebanowe, ostro zakończone wąsy zadrżały niczym jadowite żądło skorpiona. Wyszedł mu z tego w sumie całkiem imponujący szyderczy uśmiech.

— Ty! — stwierdził. — Masz się za hazardzistkę! — Zaczął się śmiać. — Chyba nie zdajesz sobie sprawy, że w gruncie rzeczy jesteś tylko… tylko… zwykłą smarkulą! Nie byłabyś w stanie…

— No co nie mogłabym, powiedz to — zachichotała Rose-alba. — Co tam masz w rękawie?

— Koniec tego! Rozumiesz? Wyjeżdżasz stąd!

— Niech mnie diabli wezmą, jeśli to zrobię! — uśmiechnęła się do niego. A kiedy Rose-alba Devlin się uśmiechała, efekt był taki jak widok pierwszego szeptu wiosny.

Mimo to wyśmiał ją.

— Masz się za hazardzistkę! W twoim wieku! Nieopierzone pisklę… ledwie co wykluty gołąbek… i ty chcesz pokonać orła...

Klasnęła w dłonie. Uwielbiała robić takie rzeczy; niejednokrotnie można było pomyśleć, nawet gdy była sama w swoim pokoju – albo siedziała przed lustrem - że gra na scenie przed oczarowaną publicznością.

— A ty niby, masz być orłem?

— Zagram z tobą jedno rozdanie, żeby zobaczyć, czy wyjedziesz, czy zostaniesz — zaproponował Devlin.

— Będę ciągnąć z tobą karty, wyższa karta wygrywa — odparła Rose-alba. — Tak będzie szybciej. No i lada chwila wpadną do nas chłopcy. Jestem pewna, że Tom Storm...

— Śmiało — odparł jej ojciec. — Ciągnijmy karty, a wyższa karta wygra.

— Ale bez oszustw, Jack? — zażądała, patrząc mu w oczy. — Żadnych nieuczciwych kombinacji!

— Bez oszustw, mała.

— Chodźmy!

Weszli do środka najbliższe drzwi, znów ramię w ramię. Znaleźli się w dużym pokoju, na swój sposób wspaniałym i starym. Lata temu, kiedy Jack Devlin uważał się za posiadacza ziemskiego, był to ogromny salon, zaplanowany jako wielkie, ciepłe i hojne serce jego domostwa. Niskie, szerokie okna wychodziły na wschód, południe i zachód, a widok był niemalże nieograniczony; można było patrzeć na ciemne doliny, na grzbiet za grzbietem purpurowych gór i dalej, poza górskie grzbiety, w nieskończoność. Obecnie miejsce to na jednym końcu zostało zmienione w bar. Stały tam poprzykrywane pokrowcami stoliki. Można było przy nich grać w pokera, ruletkę, faro, blackjacka - można było wybrać praktycznie każdą grę na jaką miało się ochotę, pod warunkiem, że miało się na nią pieniądze. Na podłodze leżały jasne indiańskie dywany i trzy lub cztery niedźwiedzie skóry. Znajdował się tam kominek, który był wręcz sławny, jako że był absolutnie ekstrawagancki pod względem swojej wielkości i ozdobiony skrzącymi się płatkami złota kwarcowymi wykończeniami.

Black Jack wyjął z szafki świeżą, zapieczętowaną talię kart. Rose-alba kręciła się wokół niego, podejrzliwie śledząc każdy jego ruch.

Złamał pieczęć.
Błyskawicznie wyrwała mu karty z ręki.
— Pozwól mi na nie spojrzeć! Jeśli przyłapię cię na próbie oszukania mnie...
Odwróciła się i podbiegła do najbliższego okna, gdzie światło było lepsze, badając tylne strony kart. Wzruszyła ramionami i wróciła do małego stolika, z którego właśnie zdjął pokrycie.
Odłożyła je na blat.
— Wybaczysz mi — powiedziała, starając się brzmieć na skruszoną — że cię podejrzewałam?
— Potasujesz? — zapytał grzecznie.
— Niech lecą — stwierdziła Rose-alba.
— Do diabła, ja to zrobię! — prychnął Black Jack i sam je potasował. — Przełożysz? — zapytał grzeczniej niż kiedykolwiek.
— Niech lecą, staruszku — powiedziała.
— W porządku. Gotowa? Zaczynamy. Panie pierwsze, wyciągnij sobie jakąś wysoką kartę.
Z namysłem stuknęła palcem w talię, po czym starannie wyciągnęła kartę, wybierając ją spod sporego stosika. Swoją kartę zatrzymała zakrytą, czekając na niego. Devlin nie kazał jej czekać dłużej niż sekundę. On również wyciągnął swoją z talii. Wspólnie odwrócili karty, aby oboje mogli je zobaczyć.
Potem stali patrząc na siebie, on marszcząc brwi, ona śmiejąc się z niego.
On wyciągnął asa trefl.
Ona miała asa karo.
— Niech to diabli! — wykrztusił Jack Devlin.
— Do diabła! — zaśmiała się Rose-alba Devlin.
— Posłuchaj… — zaczął mówić Devlin.
— To ty posłuchaj! — zadrwiła Rose-alba. Nagłym gestem wyciągnęła z powietrza - ale wiedział, że pochodziły spod jej ręki - jeszcze dwie karty. Rzuciła je na stół zakryte. — Przegrałeś, staruszku. I myślisz, że możesz nauczyć mnie czegokolwiek o rozdawaniu kart!
Zorientował się, zanim odwrócił karty. Miała tam dwa pozostałe asy.
— A moje trzy asy biją twojego jednego - i jeszcze długo nie pojadę do żadnego klasztoru! — poinformowała go.
Potem podniosła się, pocałowała go i oddaliła się tanecznym krokiem w stronę drzwi.

Na ścianie wisiało lustro, ogromne lustro. Wszystko, z czym miał do czynienia Black Jack Devlin, należało do kategorii dużych. Lustro zajmowało całą przestrzeń między dwoma oknami; kosztowało go sześćset dolarów, jego nabycie, przewiezienie szlakami przez dziką krainę i zainstalowanie. Czasami zdawał sobie sprawę, że nie było ono tyle warte.
Teraz okazało się warte całej tej sumy, a nawet więcej.

Ponieważ nie mógł dać jej satysfakcji z odwrócenia się, by spoglądać za nią, gdy tanecznym krokiem zmierzała swoją drogą, ale mógł ją obserwować nie odwracając się, odbitą w lustrze.

Dzisiejszy dzień był jednym z jej (nie to żeby jakichś rzadkich) ekstrawaganckich dni. Była ubrana cała na czarno; dokładnie w czarny aksamit. Wiedział, że przedrzeźniała go i robiła to bezczelnie. Zastanawiał się, skąd, u diabła, wzięła ten strój lub materiały do jego wykonania.

Czarny aksamitny żakiet, wyglądający wesoło i zadziornie. Krótka czarna aksamitna spódnica. Wysokie, czarne, lśniące buty. Szalone włosy pod szerokim czarnym kapeluszem. Srebrny, pas ze srebra i sprzączki…

Do cholery, ta Mała była ładna! Ładna? Śliczna, a nawet więcej. I miała w sobie diabła. Pełna życia i śmiałości, pulsująca w rytm marzeń typowych dla dziewczyny takiej jak ona. I ten mały diabełek...

Gdy dotarła do drzwi, rzuciła mu przez ramię całusa, na różowych, splecionych koniuszkach palców; rzuciła go w lustro, by się w nim odbił. Przez cały czas zdawała sobie sprawę z tego, że on ją obserwuje.

Pozując na progu, wciąż nie oglądając się za siebie, zawołała do niego, odgrywając melodramat:

— Ojcze! Och, ojcze! Widzę chmurę pyłu na Wysokim Szlaku! Zbliżają się jacyś ludzie! Mam uciec i skryć się? — Udała, że osłania oczy, by popatrzeć w dal. — Przecież jednym z nich jest pan Bob Roberts, wielki górnik! Wielki człowiek, ale jaki młody! Czy kiedyś w końcu dasz mi te szpiegowskie szkła, które mi obiecałeś? Mogłabym teraz zajrzeć w oczy Boba! Mogłabym też popatrzeć w dół, do Zagubionej Doliny, do Sekretnej Doliny, a nawet do Rajskiej Doliny, gdzie mieszka pani Carmencita! Ale przede wszystkim - nie sądzisz? – mogłabym użyć szkieł, by obserwować kogoś w Zagubionej Dolinie? Może Toma Storma?

Potem wybiegła, zanim zdążył powiedzieć choćby słowo, i w pośpiechu zamknęła za sobą drzwi - a mimo to słyszał, jak się z niego śmieje.

## Rozdział III

Gdy słońce zniżało się ku zachodnim grzbietom, najwcześniej wieczorne cienie wmaszerowały do Zagubionej Doliny i to właśnie tam najpierw pojawiły się punkciki światła, w miejscach gdzie zapalono lampy w domach ranczerów oraz kwaterach ich ludzi. Jako następna w ciemności pogrążyła się Rajska Dolina, gdzie również zaczęły migotać jasne światełka. Później zaciemniła się Sekretna Dolina i zapaliły się jej lampy oraz latarnie.

Zaś Górski Dom, położony wysoko na grzbiecie stromego wzgórza nad Przełęczą Trzech Głupców, jeszcze przez cały kwadrans spoczywał w słońcu, a jego okna błyszczały najjaśniej ze wszystkich, świecąc wspaniałym blaskiem odbitego światła słonecznego.

Niewiele było wieczorów w roku, z wyjątkiem tych gdy w górach szalała biała zima rozstawiając swe srebrzyste śnieżne kurtyny z burzowego nieba, podczas których wielki Tom Storm w Zagubionej Dolinie, nie stanąłby przez chwilę i nie popatrzył na blask okien Górskiego Domu, ostatni znak blasku dnia, zanim wszystko ogarnie ciemność.

Również z Rajskiej Doliny można było dostrzec odbicie zachodzącego słońca w imponujących oknach Black Jacka. Mała Carmencita Valdez, kiedy była małą dziewczynką, wychodziła z hiszpańskiego patio z przytuloną do piersi lalką i stała zachwycona, patrząc w górę na to, co, jak coraz bardziej czuła, było zaczarowanym zamkiem z bajki.

— Chcę pojechać tam na górę! — mówiła. — Chcę założyć piękną suknię i udać się tam na białym koniu, z siodłem i uzdą zdobionymi srebrem oraz klejnotami!

— To złe miejsce — mówili jej.

— *Muy malo*, ciąży na nim klątwa. Nie wolno ci tam jechać. Nigdy, nigdy, nigdy! To źli, bardzo źli ludzie. Kradną, kłamią, rabują i zabijają. Nie patrz nawet w tamtą stronę, Chiquitita.

Drżała wtedy z rozkoszy - ponieważ w jej dziecięcych oczach to miejsce wyglądało tak bezpiecznie w oddali - i dalej o nim marzyła. Po prostu wymieniła jego mieszkańców, wypełniła je ogrami zamiast złotymi książętami i księżniczkami. Ale to miejsce zawsze ją pociągało.

To działo się, oczywiście, kiedy miała sześć, siedem i osiem lat; może nawet dziesięć. Lecz obecnie, podobnie jak córka Black Jacka Devlina, unosiła się wśród nastolatków jak motyl wśród kwiatów. Teraz już wiedziała, że nie mieszkają tam żadne ogry - no, w każdym razie, nie do końca ogry - i wiedziała, kim byli niektórzy z ludzi, którzy tamtędy jeździli:

Duży Tom Storm, ich sąsiad, Bob Roberts, przystojny górnik i jeszcze inni. Dwa czy trzy razy w życiu widziała też malowniczego hazardzistę, Black Jacka Devlina, a o córce Black Jacka tyle słyszała i słyszała, i słyszała, aż zaczęła ją zżerać ciekawość.

Ale nigdy w życiu nie znalazła się nawet w promieniu dwóch czy trzech mil od Górskiego Domu. Wciąż jej powtarzali:

— To złe miejsce. To nie jest miejsce dla tak wysoko urodzonej damy jak ty! Z pewnością nie dla Señority Carmencity de Valdez! Nawet nie dla twojego wuja. On nigdy tam nie jeździ!

I w ten sposób, oczywiście, zaczęła popadać w lekkie szaleństwo, pragnąc odwiedzić to zakazane miejsce - miejsce, które romantyczna panienka nazwała „Zamkiem Złych Stworów".

Nie wierzyła już we wszystkie straszne historie, które opowiadano jej tak dawno temu, ponieważ wyrosła na bystrą młodą kobietę, tak sprawnie poruszającą się po swoich myślach jak jeleń skaczący na czterech szybkich jak błyskawica nogach. Nie była już małym dzieckiem, łatwowiernie przyjmującym wygłaszane do niego piękne przemowy, chyba że mówiono jej, że jest nieskończenie piękniejsza jest niż jakakolwiek inna dziewczyna na świecie, że ma najśliczniejsze i najbardziej jasne oczy, usta wprawiające mężczyzn w stan oszołomienia i głos, który trafiał mężczyzn prosto w serce - i tak dalej. W końcu to, że była próżna jak paw, nie było całkowicie jej winą. Po pierwsze, schlebiali jej wszyscy od kołyski aż po dzień dzisiejszy; po drugie, niewiele było na tym świecie luster odbijających tak promienne wdzięki, jak jej; za swoimi zamkniętymi drzwiami, mogła być tego w każdej chwili świadkiem, zerkając w lustro Señority Carmencity (nawiasem mówiąc, było ono prawie tak duże, jak lustro Black Jacka Devlina).

Lecz chociaż wyrosła z pełnej zadziwienia akceptacji horrorów opowiadanych jej o Górskim Domu i jego mieszkańcach oraz ich nocnych gościach, nadal czuła pociąg do intrygującej niegodziwości tego miejsca. Wiedziała, że kiedyś zabito tam człowieka, zaledwie dwa lata temu. Nikt nigdy nie wiedział, kto go zabił ani dlaczego; nie miało to większego znaczenia, podobnie jak sam człowiek, nikt znikąd, awanturnik i tani oszust, również nigdy nie miał większego znaczenia. Lecz incydent ten dodał złowieszczego uroku wzniosłemu domostwu z drewnianych bali i kamieni. To były dzikie czasy, bójek i gier bez żadnych ograniczeń, i tak dalej. I zawsze w jej umyśle jawił się obraz hazardzisty Jacka Devlina i jego córki, nazywanej tak dziwacznie Rose-alba - Biała Róża - i pięknej…

— Muszę tam pojechać — powiedziała sobie Carmencita. — I nie zamierzam zbyt długo z tym czekać. Czy mam żyć przez kolejne sto lat tutaj, w tej cichej dolinie, gdzie nic się nie dzieje, i ani razu nie udać się w miejsce, na które spoglądać będę przez te wszystkie sto lat? *Vamos a ver*! Jeszcze zobaczymy, nieprawdaż?

Dla potwierdzenia złożonej obietnicy przyłożyła usta do ust w lustrze.

Hacienda del Paraiso była miejscem, jakiego należało się spodziewać po starej hiszpańskiej posiadłości w Nowym Meksyku, która prawdę mówiąc była o wiele starsza niż fikcyjny czas życia Carmencity. Drzewa wokół dużego głównego budynku były wiekowe i dawały łagodny i

rozkoszny cień; jej wysokie, bielone mury otaczało wiele akrów ziemi uprawnej i ogrodów; no i, oczywiście, wszędzie rosły kastylijskie róże, róże, które były tak ciemno czerwone, że niemal czarne, i czysto białe i… och, te żółte róże! Od czasu gdy mała Señorita nauczyła się chodzić, zawsze uwielbiała nosić żółtą różę we włosach. A przestronny taras - *placita*, jak go czule nazywali - był zakątkiem, o którym można było tylko marzyć - gdzie można było pielęgnować swój romantyzm – gdzie można było rozmyślać o miłości, w czym pomagało dosłownie wszystko. *Czego nigdy nie robili*!

Tego wieczora Carmencita Valdez, ubrana w biele, które unosiły się wokół niej jak chmura, i z głową otuloną mantylą zgodnie ze starą tradycją, muskając ukochaną różą swe poczerwienione usta, zeszła po schodach z pokoju na wewnętrzny balkon, wyglądający na taras - pozując przy każdym kroku, przy każdym oddechu - chociaż bała się, że nie ma żadnych oczu, które mogłyby to zobaczyć. Jej pierś unosiła się i opadała znacznie szybciej niż piersi dziewczyny, która po prostu powoli schodzi po schodach, nie mając umówionej randki. Jej magnoliowe policzki były zabarwione naturalnymi rumieńcami; zaś oczy błyszczały wilgocią – mówiło to o jakimś wewnętrznym podekscytowaniu.

W istocie, Carmencita była w tej chwili o kilka poziomów piękniejsza, niż sama sobie to wyobrażała. I nie wiedziała zupełnie, co przyśpieszyło jej oddech. Nic się przecież nie wydarzyło; czy cokolwiek się tu kiedykolwiek dzieje? Ale...

Ale powracała nieustannie do tej samej starej myśli:

— Pojadę w tamto miejsce. I nie zamierzam już czekać w nieskończoność! *Valgame*!

Nie wiedziała jeszcze, że  dzisiaj wieczorem, tam się uda.

Mimo to dziwnie ją dręczyły myśli, które kotłowały jej się w głowie, bezkształtne i niejasne, choć przemożne. Zeszła na dół, potem sklepionym korytarzem z niszami w ścianach, kryjącymi obrazy świętych i krucyfiks, a następnie poszła prosto na swoje miejsce na patio, z którego mogła spojrzeć wysoko w górę i zobaczyć złoty blask na zakazanych oknach.

Stary Romero krzątał się wokół rodowego drzewa oliwnego, które zostało tam posadzone, jak głosiła tradycja, przez pierwszego Valdeza, który tutaj przybył (Señorita Carmencita, aby pokazać, że nie była aż tak kompletnie naiwna, nie wierzyła w tę historię; każdy Valdez, zamiast sam zasadzić drzewo, stałby sobie z boku - albo raczej siedziałby z boku - i wydawał rozkazy, podczas gdy pracę wykonywałby jakiś indiański służący. Sentencja „Utrzymujemy nasze ręce w czystości od ziemi i trudu” nie była dokładnie mottem jej rodziny, ale równie dobrze mogłaby nim być, i Carmencita dobrze o tym wiedziała).

Kiedy opadła na swoją ławkę, sztywno, jakby przed spoglądającymi z zapartym tchem widzami, spojrzała bez żadnej przyjemności w kierunku starego Romero. Oznajmiła pod nosem: „Uf!” hiszpańskie „Uf!”, które brzmi jak budzące dreszcz „Uof!” Z niechęcią patrzyła, że tam jest;

spoglądała na niego tak, jak mogłaby patrzeć na robaka pełzającego po jej pantofelku na wysokim obcasie.

Nie chodzi o to, że nie kochała starego Romero całym sercem. Po prostu nie pasował on odpowiednio do pory dnia i jej nastroju. Mógłby równie dobrze być robakiem.

Zobaczył ją, zdjął kapelusz i uśmiechnął się promiennie. Uwielbiał ten mały kwiatuszek z rodu Valdez y Verdugo; jego uwielbienie dla niej było takie ogromne jak to, którym darzył błogosławionych świętych. Był starym łobuzem o pomarszczonej twarzy, a jednak dla niej jego serce było sednem śnieżnobiałej czystości i romantyzmu. Nadal, mając sześćdziesiąt lat, pogalopowałby jak dziki źrebak na każdej jej skinięcie — na każde. *Por Dios*! Na każde życzenie, jakiekolwiek! Gdyby chciała, żeby poderżnąć dla niej parę gardeł — Ha! Niech tylko szepnie słowo Romero!

Udawała, że go nie widzi.

Jej oczy były utkwione w złotym blasku tych tajemniczych, kuszących, dalekich, onieśmielających, nieustannie wabiących okien Zamku Złych Stworów.

— I nie będę czekać kolejnych stu lat — oznajmiła Carmencita, siedząc niespokojnie na ławce pod drzewem pomarańczowym. Miała zwyczaj tupania nogą, odziedziczony bez wątpienia po przodkiniach, które były takie same jak ona.

Ale przecież mówiła to tak wiele razy! Przez ile lat? Westchnęła i nagle poczuła, że chce jej się płakać, była taka samotna i opuszczona przez życie, taka uwięziona na opustoszałej Wyspie Gdzie-nic-nigdy-się-nie-dzieje.

Na patio wypadła z hukiem Tia Juana. Nie była wcale ciotką Carmencity, lecz jakąś daleką krewną, która schroniła się tutaj dla przyzwoitości, aby osieroconej małej Señoricie zapewnić jej *duenę*. Używała laski, wyglądała pogrzebowo w swojej odwiecznej czerni, miała głęboko zapadnięte oczy, które błyszczały i była największym ciężarem w życiu dziewczyny. Mieć opiekunkę! I taką jak Tia Juana! Carmencita, zdecydowanie bardziej Amerykanka niż Hiszpanka, przeżywała chwile, kiedy była pewna, że nie ma żadnego prawa zabraniającego wytrucia ludzi takich jak Tia Juana.

Teraz zsunęła się ze swojej ławeczki i w jednej chwili zniknęła za drzewem pomarańczowym. Mała, stara, przygarbiona dama, wyglądająca jak chrząszcz, gdy się rozglądała zobaczyła Romero i spytała go, gdzie jest Señorita. Romero, choć był pełen szacunku, odpowiedział bardzo krótko. Nie miał pojęcia.

Więc Tia Juana wróciła do domu, a Carmencita znów wyszła z ukrycia i usiadła na zielonej ławce, napuszając spódnice. Uśmiechnęła się do Romero, a on miał swą wystarczająco długą chwilę szczęścia, by starczyło mu na dobre dwadzieścia cztery godziny. Siedziała zamyślona, patrząc w błyszczące okna Górskiego Domu. I wydawało jej się, że nigdy nie lśniły one aż tak złotym światłem.

W tej chwili na patio wszedł Valdez - jej wujek Francisco de Valdez y Verdugo. Był niski, ciemny i zarozumiały; jeśli już tak o tym pomyśleć, pomyślała, było w nim coś niemal jak z chrząszcza. No cóż, on i Tia Juana

byli w końcu kuzynami, nieprawdaż? Oczywiście, był dystyngowany, przystojny nawet na swój mały sposób, arogancki jak miniaturowy kogucik, a za tym wysokim czołem, w tej dużej głowie kryło się o wiele więcej, niż Tia Juana mogłaby sobie kiedykolwiek wyobrazić. Był człowiekiem, jak Carmencita zawsze myślała, który nie dawał specjalnych powodów, aby go kochać, ale wiele by całkowicie mu nie ufać, który czuwał, gdy inni spali, i nie tylko czuwał, ale też chodził i robił różne rzeczy - w ciemności - i zawsze dyskretnie chował się pod kołdrą, gdy nadchodził następny dzień.

Nie zauważył jej, więc nie odezwała się; zawołał do Romero:

— Romero, gdzie jest Señora?

— Dosłownie przed chwilą, Señor, była tutaj — odpowiedział Romero, mówiąc tak jak Don Francisco, po hiszpańsku. — Poszła do domu, może do swojego pokoju.

— A moja siostrzenica, Romero? Jeszcze dziś nie przyszła?

Ponieważ rzeczona siostrzenica była nie dalej niż kilkanaście kroków od nich, Romero czekał z szacunkiem, aż się odezwie. Z jakiegoś powodu - uśmiechnęła się właśnie w tym momencie i wyglądała na nagle przepełnioną jakąś psotą - Carmencita nie odezwała się nawet słowem; raczej cofnęła się o kilka cali pod pomarańczę.

— *Venga* — rozkazał Valdez, a Romero posłusznie podszedł bliżej. — Posłuchaj, Romero, i zrób, co ci powiem. — Valdez był wielkim panem zwracającym się do bardzo skromnego sługi; uprzejmie, ale w dyktatorski sposób. — Teraz wsiądziesz na konia i pojedziesz w kierunku Zagubionej Doliny. Spotkasz na szlaku Señora Storma, który tu zmierza. Powiedz mu, żeby nic nie mówił o tym, dokąd dziś wieczorem pojedziemy. Rozumiesz, Romero?

— Si, Señor — odparł Romero.

— *Bueno*. To spiesz się, bo niedługo nadjedzie. — Valdez zrobił się mniej władczy, bardziej ludzki. — Jesteś dobrym człowiekiem, Romero. Dziś wieczorem postawię za ciebie zakład na dwadzieścia dolarów. Jaka będzie wygrana, ty ją otrzymasz.

Potem, wyglądając jeszcze bardziej niż kiedykolwiek, jak miniaturowy kogucik, odwrócił się i szybkim, krótkim, bardzo ważnym krokiem poszedł z powrotem do domu.

Carmencita poderwała się i pobiegła do starego sługi.

— Romero! Oni idą tam, mój wujek i Tom Storm? Do domu Black Jacka Devlina? Jadą tam!

— Señorita!

— Romero!

— Tak, Señorita?

— Ja też tam pojadę! Tak, pojadę!

— *Jesus, Maria y José*! — wysapał zdumiony Romero.

— Tak! Pojadę! Właśnie coś mi przyszło do głowy. Będzie tam wielu mężczyzn tej nocy; jest sobotnia noc i przyjedzie ich wielu, z kopalni, zewsząd! A ty pojedziesz ze mną — i nikt mnie nie zauważy! Pojadę i nikt się nie dowie! Nikt oprócz ciebie i mnie, Romero!

Biedny stary Romero rozejrzał się szaleńczo we wszystkich kierunkach, jakby chciał uciec i szukał jedynie najbliższej wolnej drogi ucieczki. Przygwoździła go do miejsca, w którym stał, przygwoździła podwójnie, ponieważ położyła mu rękę na ramieniu, patrząc błagalnie i rozkazująco w jego zatroskane, lecz jak zawsze pełne uwielbienia oczy.

— Pośpiesz się, Romero, i zrób to, co ci powiedział Tio Francisco — poleciła mu i była bardzo słodka w swoim małym dyktatorskim stylu. — Potem osiodłaj dwa konie i czekaj na mnie w stajni! Niech nikt się nie dowie.

Romero, pocąc się obficie, zaczął ocierać czoło.

— Ale, Señorita…

— Rób, co ci każę! — oświadczyła Carmencita.

Potem zrobiła to, co wszystkie dziewczyny takie jak Carmencita Valdez robiły od dwustu lat; tupnęła nogą. To zrobiwszy, popędziła z rozdętą powiewną białą spódnicą i wybiegła przez kraniec patio, by wślizgnąć się do domu przez inne drzwi.

— Bóg na to nie pozwoli — mruknął Romero. — Nie, z pewnością nie. Tyle że — dodał do siebie, doskonale wiedząc, że Carmencita zazwyczaj robiła to, co chciała — jeśli On na to pozwoli, no cóż, nie będzie mógł mnie za to winić i będzie nad nią czuwał. Ja też będę czuwał. Tak czy inaczej, to szaleństwo, a Don Francisco żywcem obdarłby mnie ze skóry!

Po czym pośpieszył, by zrobić to, co mu kazano.

## Rozdział IV

**W** Górskim Domu Jock Hannigan zaczął przygotowywać główną salę. Była to sobotnia noc, a więc wilki ściągały z wyższej położonych partii okolicy, by wyć. Przybędą z kopalni North Star, z młodym Bobem Robertsem na czele, z kopalni Lady Luck, Golden Girl i Big Bazoom. Dom będzie ich pełen. I będą mieli mnóstwo pieniędzy, dobrych, uczciwych złotych monet – aby przy ich pomocy rozpocząć wieczór. Zdjął więc pokrowce ze stolików, wytarł bar, założył okulary i ochraniacze na rękawy, podkręcił swoje staromodne barmańskie wąsy, które przypominały baranie rogi, pogłaskał barmańskie włosy, które były tłuste od żelu i opadały z jego bardzo wysokiego czoła w lokach, jak fale wylewające się na brzeg morza, i zrobiwszy to wszystko, stanął na środku i popatrzył na salę:

— Och, do diabła, niech będzie. Niech sobie przejeżdżają. Zniosę to, jeśli oni są w stanie.

Chory na gruźlicę Jimmy Weaver, trzymający się swoich papierosów jak tonący brzytwy, wszedł i usiadł przy pianinie; wyglądał jak na wpół martwy i na wpół rozespany, a jego ręce poruszały się tak ospale jak więdnące lilie - lecz w kontakcie czubków jego palców z klawiszami z kości słoniowej, rodziła się muzyka takiego rzędu, że aż przeszywała.

Do Sali wszedł Doc - nikt nigdy nie nazywał go inaczej niż Doc. Niewysoki, szczupły, w średnim wieku i o niewinnym wyglądzie, ale z parą czujnych brązowych oczu, był najzręczniejszym człowiekiem przy ruletce lub faro, jaki kiedykolwiek przekroczył Góry Skaliste w dowolnym kierunku. Podszedł do pianina i oparł się o nie, słuchając gry Jimmy'ego Weavera.

Ci trzej - Jock Hannigan, Jimmy Weaver i Doc - byli tutaj trzema głównymi asystentami. Hannigan związany był z Black Jackiem Devlinem, odkąd jego córeczka skończyła sześć lat; był stałym bywalcem Górskiego Domu i nie można było myśleć o Devlinach bez niego. A kiedy poznało się jego, nie sposób było sobie wyobrazić, że Hannigan byłby w stanie przeżyć, gdyby został pozbawiony Devlinów na dłużej niż dwadzieścia cztery godziny. Mógłby przeżyć, choć czując się skrajnie nieszczęśliwym, bez Black Jacka. Ale bez Rosie, jak ją zawsze nazywał? Nigdy! Już dawno wrosła w jego serce równie mocno, jak Señorita Carmencita w serce starego Romero.

Jimmy Weaver zakaszlał kilka razy, przycisnął niedopałek papierosa do boku instrumentu i zaśpiewał cicho. Śpiewał takie rzeczy jak „Where Is My Wandering Boy Tonight” i „Comrades”, albo dlatego, że lubił takie rzeczy najbardziej - albo dlatego, że siedział w nim diabeł i czerpał sadystyczną

przyjemność z tego, że oczy Hannigana oraz Doca robiły się wilgotne i zamglone.

Ludzie przybywali do domu Black Jacka ze znacznych odległości. Kopalnie – była to ogólna nazwa obejmująca obszar pokrywający całą długość dawnej Żyły Daylighta - rozpościerały się szeroko na obie strony na północy, w odległości około dwudziestu mil. Za kopalniami rozciągały się pustkowia usiane kilkoma mało znaczącymi ranczami, a jeszcze dalej na północ, za Tecolotes, rozciągała się bogata kraina bydła, której centrum stanowiło małe miasteczko Red Dirt. Red Dirt, położone niedaleko Mrocznej Doliny, w której mieszkali dzicy Morganowie, znajdowało się dobre czterdzieści pięć lub pięćdziesiąt mil od Górskiego Domu, ale i stamtąd przybywali tutaj ludzie.

Dalej, jeśli spojrzeć na południe, trzeba było szukać daleko poza Rajską Doliną, aby natknąć się na coś, co choć trochę przypominało skupisko ludzi. U podnóża wzgórz znajdowało się małe, tętniące życiem miasteczko Liberty. I choć Liberty miało swoje własne miejsca rozrywki, ludzie przyjeżdżali i stamtąd, kiedy byli w nastroju, by zabawić się u Black Jacka Devlina i spotkać starych przyjaciół.

Niewtajemniczonym może wydawać się dziwne, że ci wszyscy goście podróżowali tak wiele mil do odległego górskiego miejsca wypoczynku. Ale były ku temu powody.

Większość ludzi lubiła młodego Boba Robertsa. Był kimś, kogo zwykło się nazywać przebojowym człowiekiem. To Hannigan pierwszy poczynił uwagę, że w żyłach Boba musi płynąć żywe srebro a w głowie nosi dynamo. Był bardzo młody, miał zaledwie dwadzieścia kilka lat, a mimo to był właścicielem i dyrektorem North Star - a to dzięki dwóm rzeczom: był inżynierem górnikiem, który znał się na kopalniach zarówno od strony praktycznej, jak i teoretycznej, oraz miał w sobie napędzającą go tak potężną siłę, jak tłoki w nowych lokomotywach, które na Zachodzie ciągnęły pociągi przez góry.

Bob Roberts, pełen zapału i energii, był pierwszym człowiekiem, jaki pojawił się tej nocy. Zsiadł z siodła, oddał mokrego od potu konia, wsunął monetę w przygotowaną dłoń stajennego Black Jacka i ruszył przed siebie, by zobaczyć się z córką Black Jacka Devlina. Dopiero niedawno, walcząc z samym sobą, w końcu poddał się i przyznał, że w całym jego świecie istnieje pewien oczywisty fakt: kochał ją.

Kochał ją i pragnął jej, i nagle zapragnął ją zdobyć. Wcześniej wydawała mu się, młodemu i głęboko zakochanemu człowiekowi, nieosiągalna. Dopiero dzisiejszej nocy, gdy jechał przed siebie pod wschodzącymi gwiazdami, pomyślał: „Kiedyś, jakimś sposobem, jakiś mężczyzna się z nią ożeni. Jakiś mężczyzna, po prostu mężczyzna! Na Boga, czemużbym ja nie mógł powiedzieć - ta dziewczyna jest moja!”

Wiedział, że inni mężczyźni jej także pragną, że tak samo jej pożądają jak on, a wśród nich - a przynajmniej tak mu się wydawało - był Tom Storm z Zagubionej Doliny. W tej chwili, gdy był tak nakręcony i ślepy na konsekwencje, jakie to miało znaczenie?

Lecz nie wiedział nic o Haverilu, który przypłynął w rodzinne strony z Ameryki Południowej i zmierzał prosto do Górskiego Domu.

Młody Bob Roberts podszedł do baru, Hannigan postawił przed nim drinka. Górnik stał przez chwilę, kręcąc szklanką, rozglądając się wokół siebie i czekając. Mężczyźni, którzy weszli po nim, ludzie z North Star, stanęli koło baru, wypili swoje drinki i zamówili więcej. Oni również rozglądali się dookoła; być może sprawdzali, czy przy którymś ze stolików coś się nie dzieje - albo, tak jak on, obserwowali drzwi, mając nadzieję, że zaraz przyjdzie Rose-alba.

Doc odsunął się od pianina, na którym Jimmy Weaver grał bez przekonania sentymentalną meksykańską piosenkę miłosną, i zajął miejsce przy stole do ruletki. Wprawił małą kulkę z kości słoniowej, w zawrotny ruch, a kiedy wpadła z kliknięciem do wyznaczonej szczeliny, popatrzył na nią z dziwnym, zbolałym wyrazem twarzy, jakby go zdradziła, po czym ponownie wprawił ją w ruch. W międzyczasie układał i przekładał żetony; ich suche klikanie było zawsze nieodpartą pokusą. Każdy człowiek, który miał ruletkę we krwi, wiercił się i napinał, jak niespokojny koń walczący ze swym wędzidłem, a na końcu musiał zostać przyciągnięty do stołu.

Ludzie po pierwszym i drugim drinku, zaczęli stopniowo podchodzić. Mówili: „Cześć, Doc", a on odpowiadał: „Cześć, Jim", albo Pete, albo Sam, albo Walter, albo Joe; znał ich wszystkich, a oni znali jego. Rozdając gościnne powitania, utrzymywał kulkę w ruchu. Kilka godzin i będzie mógł iść spać.

Wtedy Bob Roberts, który nigdy w życiu nie grał w ruletkę, nie mając zamiłowania do czegoś, co uważał za głupią grę opartą na czystym szczęściu, podszedł, stąpając na obcasach, dobitnie stukając nimi o podłogę. Oznajmił:

— Cholera, Doc, zamierzam w końcu sam spróbować sił w tej grze. Masz tu dwadzieścia na boku za to, że zabieram cię trochę czasu.

Doc odpowiedział tylko:

— Cześć, Bob. Chodźcie chłopcy, obstawiajcie. Mała kulka z kości słoniowej toczy się i jest okrągła jak marmur i kwadratowa jak kość, a wy musicie obstawić, zanim kuleczka odnajdzie swoje gniazdo. Mamy czerwone i czarne, parzyste i nieparzyste, kolumny i liczby… a oto jest dwadzieścia siedem i pan Roberts żąda siedemdziesięciu dolarów. A oto one. I znów, panowie – kulka znów się toczy…

Bob Roberts zgarnął swoją wygraną. Uśmiechnął się do Doca i powiedział:

— Dobrze wiesz, Doc, że nigdy nie gram w tę grę. Dzisiejszej nocy miałem tylko pewne przeczucie; chciałem się upewnić co do tego, co już wiedziałem, że moje szczęście mi dzisiaj sprzyja. Odpadam.

Przez cały czas, gdy mówił, miał na twarzy ten swój uśmieszek, który sprawiał, że wyglądał jak mały urwis. Ze szczerym błyskiem mocnych białych zębów, z malutkimi wesołymi zmarszczkami wokół oczu, wyglądał jak dziecko. Mógłby być nastolatkiem.

Doc przyjmował jego słowa w miarę jak napływały; znał je z góry i z dołu. On również się uśmiechnął. Odparł:

— No cóż, panie Roberts, jeśli chce pan się upewnić, że szczęście panu dopisuje, lepiej niech pan spróbuje po raz drugi - mała kulka się toczy, panowie, a fortuna się uśmiecha - a może chichocze? Odgadniecie dobrze i będziecie spali na aksamicie. Odgadniecie źle i wrócicie do domu spłukani. Co pan na to, panie Roberts? Nadal uważa pan, że szczęście będzie dziś panu sprzyjać?

Bob Roberts już odwracał się od stołu. Zatrzymał się, wsunął rękę do kieszeni i wyciągnął wszystko, co miał. Razem z siedemdziesięcioma dolarami, które właśnie podarował mu stół, miał około dwustu pięćdziesięciu; nie wiedział dokładnie. Podczas gdy mała kula z kości słoniowej ścigała się sama ze sobą wokół krawędzi misy, rzucił wszystko, co miał, na czarne.

— Dzięki, Doc — przyznał. — Naprawdę chcę się dziś upewnić.

Wygrał.

Zgarnął swoją wygraną, wepchnął ją do kieszeni, w najmniejszym stopniu nie interesując się faktem, że wygrał parę dolarów powyżej trzystu, i poszedł szukać Rose-alby.

Lecz Rose-alba Devlin, zawsze odgrywająca role dla siebie i dla wszystkich innych, zwlekała ze swym wejściem. Zajrzała do sali dwa razy, po czym uciekła z powrotem do swojego pokoju, gdzie siedziała wtulona w kolana, kołysząc się do przodu i do tyłu, na małej ławeczce przed potrójnym lustrem, planując…

Ludzie wciąż napływali, samotni jeźdźcy, parami i inni w niewielkich grupach, większość z nich była kiepsko ubrana, ponieważ mieli tylko jedno ubranie, czy to na sobotę, niedzielę czy poniedziałek, inni zaś w swoich świątecznych ubraniach. Logicznym posunięciem było udanie się do baru, który stanowił pierwszą dostępną przyjemność, aby wypić drinka lub dwa, zapalić papierosa, a następnie przyjrzeć się wszystkiemu.

Sala była w połowie wypełniona, gdy wszedł Black Jack Devlin. Przywitał się serdecznie ze swoimi przyjaciółmi; tym, którzy byli tylko znajomymi lub być może przyszli tu po raz pierwszy, skinął uprzejmie głową, sprawiając, że poczuli się jak w domu. Jego przenikliwe, czarne oczy zatrzymywały się na nich tylko na chwilę, ale kiedy odwracał wzrok, wyglądało to tak, jakby zaglądał im do kieszeni.

Jeden po drugim, w miarę jak goście rozgrzewali się tego wieczora, po wypiciu kilku drinków i wyciąganiu szyi za każdym razem, gdy otwierały się drzwi, ciągnęli do stołów. W większości przypadków ich celem był poker. Na drugim miejscu pod względem popularności plasował się faraon. Potem gra w kości, a następnie ruletka.

Kilku kumpli z Red Dirt spotkało przyjaciela, który przyjechał z Liberty. Ściskali się za ręce, pili razem, wymieniali się wiadomościami. W ten sposób, bez pomocy telefonu, telegrafu czy poczty Wuja Sama, społeczności oddalone od siebie o sto mil, nawiązywały ze sobą kontakt. Tuż za Red Dirt doszło do katastrofy; zawaliła się kopalnia. W Liberty miała miejsce przerwa w monotonii codzienności; napadnięto na bank, zabito kasjera i splądrowano lokal. Każdy, kto otrzymał od kogoś wiadomość, starał się jak mógł, aby się zrewanżować.

W ten sposób z Sekretnej Doliny nadeszła wieść o nowym, zupełnie niespodziewanym przybyszu. Sprawy w Sekretnej Dolinie miały się źle, miejsce to zubożało i miało hipotekę obciążoną do granic możliwości. Stary zarządca, Luke Oliver, chronił je przed kompletnym upadkiem. Sundown Haverilowie zawsze byli właścicielami Sekretnej Doliny; Haverilowie z poprzedniego pokolenia sprowadzili ją na psy.

Ale właśnie pojawił się ostatni z Haverilów, człowiek, o którym mówiono, że jest trampem i włóczęgą, zawsze kręcącym się gdzieś w brudnych, ciemnych zakątkach świata, młody Ross Haveril.

I to była ta nowina.

Rose-alba, stojąca przy drzwiach, usłyszała ją tuż przed odegraniem sceny wielkiego wejścia. Już wtedy zastanawiała się, jak będzie wyglądał dziki, młody Ross Haveril. Nie wątpiła, że wkrótce go zobaczy. Czyż wszyscy mężczyźni nie przyjeżdżali do Górskiego Domu? I czy nie wiedziała, z jakiego powodu większość z nich tutaj się pojawia?

Bob Roberts, pełen niepokoju, wyszedł na werandę biegnącą wzdłuż trzech boków domu i przeszedł całą jej długość, tam i z powrotem.

— Moje szczęście sięga zenitu — powiedział, podszedł do barierki i popatrzył spod drewnianego dachu na gwiazdy. Posłał nawet w gwiazdy cienką strużkę dymu papierosowego. — Zamierzam zagrać na moim szczęściu. Dziś wieczorem.

A potem obrócił się i popatrzył przez okno, by sprawdzić, czy Rose-alba już przyszła.

Tej nocy nie było księżyca, więc pomimo czystego nieba i gwiazd, na werandzie było dosyć ciemno. Bob Roberts, opierając się o balustradę, od czasu do czasu widział mężczyzn wchodzących po jednym z trzech stopni; niektórych z nich znał z ich głosów lub z postaci, widocznych gdy przecinali smugi światła padającego przez drzwi lub okna.

Usłyszał głos Toma Storma, głęboki, bogato brzmiący głos, nie dający się zapomnieć, i zobaczył Storma, który wyglądał jak młody saski olbrzym ze starego romansu, zbliżającego się do frontowych drzwi. Storm był w dobrym humorze, a towarzyszył mu jakiś mały człowieczek. Bob Roberts domyślił się, kto to był – dandysowaty mały kogucik z Rajskiej Doliny, Señor Francisco Valdez.

Kiedy spotykają się dwa psy, które się nie lubią, sierść jeży im się na karkach, wargi drgają nad obnażonymi zębami, i groźnie na siebie warczą. Gdy Tom Storm mijał Boba Robertsa, zobaczył, kto to jest i zatrzymał się. Obaj popatrzyli na siebie spokojnie. Nie szczerzyli się i nie pokazywali zębów, nawet nie warczeli, lecz przez chwilę powietrze było wręcz naładowane ich nienawiścią.

Potem Storm roześmiał się.

— A więc znowu wróciłeś, Roberts? — stwierdził. — Nie widzisz, jakiego robisz z siebie cholernego głupca? Lepiej jedź stąd sobie do jakiegoś klasztoru.

Roberts nie odpowiedział na to wyzwanie, choć zesztywniał od stóp do głów. Storm wszedł do domu, z Valdezem u boku.

— Zabawne, że ktoś już dawno nie zabił Toma Storma — pomyślał Bob Roberts. Puls mu walił jak młotem, był cały spięty, miał mocno zaciśnięte pięści; trzymał się w ryzach, lecz była to ciężka praca.

Przez okna mógł zajrzeć do pokoju gier. Dziewczyna jeszcze się nie pojawiła. Chodził niespokojnie w tą i z powrotem, zapalając papierosa, gasząc go i zapalając kolejnego.

Mężczyźni wychodzili na werandę, wracali do środka, gromadzili się przy barze, witali się z przyjaciółmi, odwracali się by w coś zagrać, popatrzeć lub wrócić do baru. Stał z tyłu w ciemnym miejscu, nie będąc teraz w nastroju do mieszania się z nimi.

W pewnej chwili dwie postacie stanęły zupełnie blisko niego; weszły cicho po zachodnich schodach i nie zauważyły go. Wziął je oczywiście za dwóch mężczyzn, ponieważ kobiety tu nie przychodziły, a obie były ubrane jak mężczyźni. Nie mógł też sobie wyobrazić, że mała Señorita Carmencita, mogłaby tak bezczelnie się maskować. Pod wielkim, czarnym kapeluszem, z włosami upiętymi w wysoką koronę, wyglądała po prostu na drobnego meksykańskiego młodziana, który przybył wraz ze starym Romero z Rajskiej Doliny. Rozpoznał bowiem Romero. Obaj przybysze, podobnie jak on sam, spoglądali w okno.

Nie byli w najmniejszym stopniu obiektem jego zainteresowania, nie wywarli na nim żadnego wrażenia poza tym, że zarejestrowali się gdzieś na obrzeżach jego umysłu. Odwrócił wzrok w inną stronę. I wtedy usłyszał jej sapnięcie, i usłyszał, jak zaczyna szeptać do Romero, co ponownie przyciągnęło jego uwagę. Dziwne, że jeden mężczyzna szepcze coś do drugiego. Jej słowa brzmiały:

— Och, Romero! Patrz! Tam jest! Wchodzi przez tamte drzwi i… och!

Dziwne było słyszeć taki szept jednego mężczyzny do drugiego, nawet jeśli był to młodzieniec, który wyglądał na nastolatka. Ale Bob Roberts kompletnie nie zaprzątał sobie głowy ani Romero, ani jego młodym towarzyszem, bo teraz i on zobaczył Rose Devlin wchodzącą do sali gier, a jego oczy i cała uwaga, podobnie jak jego serce, skierowane były tylko na nią.

Dokonała jednego ze swych dramatycznych wejść. Uciszyła jego puls, a potem sprawiła, że raptownie przyspieszył. Chciał rzucić się prosto na nią, wziąć ją w ramiona i powiedzieć jej w końcu: „Rosalie, kocham cię. Ty też musisz mnie pokochać, bo inaczej życie nie ma dla mnie sensu.” Była ubrana w zielony aksamit, wyglądała jak jakieś leśne stworzenie, które właśnie przybyło z kniei, z miejsca pełnego zielonych drzew i zielonych sadzawek. Była tak piękna, że jej widok sprawił mu ból. W jednej chwili mężczyźni ruszyli w jej kierunku, a wielki blondyn Tom Storm stanął na ich czele, spychając innych z drogi.

I wtedy, niecałe dwie sekundy po jej wejściu, zanim jeszcze Bob Roberts zdążył się poruszyć, do sali wszedł ktoś jeszcze, a Roberts wpatrywał się w niego z pełną mocą, najpierw z niedowierzaniem, a potem z przyspieszonym pulsem.

Señorita Carmencita również dostrzegła przybysza, chwyciła starego Romero za ramię, na chwilę zapominając o Rose-albie, i zapytała szybko:

— Ten tam, Romero! Kim on jest? Powiedz mi! Muszę wiedzieć!

Był to młody mężczyzna, wielki mężczyzna, tak duży jak Tom Storm i w każdym calu tak samo silny i porywczy. W górach mieli powiedzenie o takich ludziach: „Nosi dynamit w butach”. Lecz jeśli Storm był jasnowłosy i niebieskooki, ten człowiek był ciemny, a ciemno pigmentowana skóra, którą obdarzyła go natura, była jeszcze dodatkowo tak mocno opalona i przyciemniona przez południowe słońce, że jej kolor stał się bliski czerni; śniady mężczyzna o kudłatych włosach, które wymagały strzyżenia i były kruczo-czarne, z czarnymi jak atrament oczami, które błyskały jak czarne diamenty.

Był cały obdarty, miał na sobie stary, powygniatany, czarny kapelusz, zakurzony i z dziurami zarówno w górnej części, jak i w rondzie, wyglądający jakby być może dopiero co został wyciągnięty z kupy popiołu. Do tego stare, pogniecione ubrania, w których mógł spać - i prawdopodobnie spał - oraz duże, poprzekrzywiane buty, które wydawały się nigdy nie być czyszczone od dnia, w którym je uszyto. Nie golił się od dwóch dni, a jego czarna, szczeciniasta broda powinna być usuwana co dwanaście godzin. Wszedł do pokoju, jakby przywiał go jakiś huraganowy wiatr.

Carmencita usłyszała, jak Bob Roberts mruczy pod nosem:

— Pan, nas kocha! Stary Ross wrócił do domu! Ross Haveril!

Następnie Bob Roberts pospiesznie wszedł do środka, aby przywitać się ze starym przyjacielem. Carmencita spoglądała za nim, jak odchodzi i powiedziała do Romero:

— To Bob Roberts, prawda, Romero? — A potem dodała: — A ten wielki, kudłaty mężczyzna, jak wielki pies bernardyn, to Ross Haveril znowu wrócił do domu?

W tym właśnie momencie Ross Haveril, ostatni z Sundown Haverilów z Sekretnej Doliny, silnych i gwałtownych ludzi, z których Ross był najsilniejszy i najbardziej burzliwy, zobaczył małą córeczkę Black Jacka Devlina. Po raz pierwszy ujrzał ją w tej zielonej, aksamitnej sukni, w której wyglądała jak leśne stworzenie.

Zatrzymał się i wpatrywał w nią tak, jak człowiek mógłby się wpatrywać w jakiś cud natury, który napotkał przypadkiem i bez ostrzeżenia. Nie zdejmował nigdy swojego starego kapelusza i nie zdjął go teraz; zsunął go daleko do tyłu na gęstą plątaninę czarnych włosów, a w jego oczach tańczyły światełka. Stał z dużymi, owłosionymi dłońmi na biodrach i lekceważył wszystkich innych w sali tylko po to, by na nią patrzeć.

A ona zobaczyła jego! Nie można było przegapić mężczyzny takiego jak on, wdzierającego się do jej otoczenia, tak jak on, a potem patrzącego na nią w taki sposób.

A z werandy Señorita Carmencita Valdez, wyniosła królowa Rajskiej Doliny, widziała ich oboje. Widziała też Toma Storma, który popatrzył na córkę hazardzisty, a potem, z dziwnym wyrazem twarzy, na Rossa Haverila; widziała też przystojnego młodego Boba Robertsa, górnika z

North Star, i zauważyła, jak jego oczy zmieniły się, gdy spoczęły na córce Black Jacka.

Ross Haveril zaczął mówić. Uwolniony z jego ust głos przypominał teraz jowialny głos młodego byka. Powiedział: „Dziewczyno!” i ruszył prosto w kierunku Rose-alba.

Tom Storm, stojący w jej pobliżu, wykonał szybki, mimowolny ruch i tym samym przyciągnął spojrzenie Rossa Haverila. Haveril zatrzymał się w pół kroku. Znów wpatrywał się ze wszystkich sił, tym razem w Storma. Całe towarzystwo od razu zauważyło, że zapomniał o dziewczynie.

— Storm! — krzyknął i zabrzmiało to wręcz radośnie. — Tom Storm! Ty brudny, nędzny synu skunksa!

Obrzucił Toma Storma jeszcze wieloma innymi określeniami, z których żadne nie było przyjemne. A potem, z wielkimi pięściami zaciśniętymi jak wojenne maczugi, runął na Toma Storma niczym lawina.

Zaś Storm, widząc, że zbliża się do niego, skoczył mu na spotkanie, z jasnym, twardym zapałem w oczach - i wyglądało to tak, jakby jedna lawina miała spotkać się z drugą.

## Rozdział V

**B**lack Jack Devlin szczycił się tym, że był tym, jak to ludzie określają, hazardzistą „dżentelmenem". Nie obchodziło go, ilu jego gości zabijało się nawzajem, ani w jaki sposób to zrobili, ale zwracał uwagę na jedno: „Niech robią to gdzie indziej i nie zaśmiecają mojego lokalu".

To była jedna rzecz. Drugą był fakt, że zauważył jak Ross Haveril spoglądał na Rose-albę, i uchwycił ten niepowtarzalny, żarliwy ton głosu Haverila, gdy wyskandował on słowo: „Dziewczyno!".

Na zewnątrz, na werandzie, zaglądająca do środka, ogromnie podekscytowana Carmencita Valdez wykrzyknęła:

— Romero! *Venga*! Wchodzimy do środka! Chodź, biegniemy Romero!

— Nie, Señorita! Nie! Na miłość boską! Obiecałaś mi...

— Nie zwrócą na nas uwagi! Ojej! Co to za wydarzenie! W każdym razie nawet nas nie dostrzegą! Chodź, Romero…

Potem zostawiła go i pobiegła sama, a biedny staruszek jedyne, co mógł zrobić - a robił to jęcząc i modląc się w duchu do wszystkich świętych - to podążyć za nią. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że Señor Valdez obedrze go żywcem ze skóry jeszcze przed świtem - i że zasłużył na tę karę.

W międzyczasie i w ciągu tej krótkiej chwili, jakiej potrzebowała Carmencita Valdez aby wbiec do dużej sali, zapanowało już w niej dzikie zamieszanie. Mężczyźni cofnęli się natychmiast, w prawo i w lewo, by dać Tomowi Stormowi i temu obdartemu przybyszowi tyle miejsca, ile potrzebowali. Ciosy zadawane przez obu przeciwników słychać było w całym dużym pomieszczeniu, które nagle ucichło. Obaj mężczyźni mieli w sobie siłę, która pozwalała im uderzać jak kopiące muły; obaj mężczyźni, co stało się oczywiste od samego początku, potrafili wytrzymywać kopnięcia mułów.

Ross Haveril wyrzucił z siebie tylko:

— Storm! Tom Storm! — wzmacniając to nazwisko szeregiem odpowiednio kwalifikujących przymiotników.

Tom Storm miał do powiedzenia jedynie:

— To ty, Haveril? Niech cię diabli! Miałem na to nadzieję…

Jeśli kiedykolwiek dwóch ochoczych młodzieńców z morderczą żądzą w sercach mogło się równać, to właśnie tutaj i właśnie teraz. Gdyby nasza Pani Fortuna zdecydowała się stać z boku, tylko spoglądając jak mała Mona Lisa, w którą czasami potrafi się zmienić, bójka mogłaby trwać nawet i z godzinę, a duży salon z jego wszystkimi ozdobami mógłby zmienić się w rumowisko. Ale nawet jeśli nasza Pani Fortuna trzymała się od tego z dala, to Black Jack Devlin tego nie zrobił.

Spokojnie podszedł do baru, palcem i brwiami wykonał gest do Hannigana. Hannigan sięgnął na dół, a następnie, prostując się, podał coś swojemu pracodawcy. Był to dosyć niewinnie wyglądający przedmiot; coś, czym mogłoby się bawić dziecko. Było to coś, co nie miało więcej niż czternaście lub szesnaście cali długości; było niewiele grubsze od grubego kciuka Hannigana; była to giętka rzecz otoczona miękką i błyszczącą czarną skórą. Na jednym końcu, wewnątrz tej satynowej skóry, przedmiot był wypełniony śrutem.

Ross Haveril i Tom Storm, stojąc naprzeciw siebie, z całych sił starali się zmiażdżyć sobie twarze i połamać kości. Black Jack Devlin stanął zgrabnie za Rossem Haverilem. Zadał tylko jeden cios i zrobił to chłodno, naukowo i w najbardziej skuteczny sposób. Ross Haveril, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, co go trafiło, i nie wydając z siebie nawet jęku, zwinął się, upadł na podłogę i leżał jak martwy.

— Wynieść go na zewnątrz — polecił chłodno Devlin. — Oblejcie go wodą, wsadźcie na konia i odeślijcie do domu. Przywiążcie go do siodła, jeśli ma słabą głowę. I powiedzcie mu, że ma już tutaj nie wracać.

Bob Roberts przepchnął się łokciami do przodu. Na chwilę zapomniał, że Devlin był ojcem dziewczyny, którą kochał; zapomniał nawet o samej dziewczynie, choć stała nieopodal.

— Niech cię diabli, Devlin — zawołał ze złością. — To było brudne zagranie. Ten człowiek to Ross Haveril, mój przyjaciel i biały człowiek. Jeśli chciał spróbować się z Tomem Stormem, to była to jego sprawa i na pewno miał ku temu dobre powody. Dlaczego, do cholery...

— Uspokój się, Bob — odparł Black Jack, jego głos był dosyć spokojny, choć oczy zrobiły się gorące. — To mój lokal i prowadzę go po swojemu. Jeśli to twój przyjaciel, zabierz go stąd. I nie przyprowadzaj go z powrotem.

Bob Roberts stał przez chwilę wpatrując się w niego gniewnym spojrzeniem. Potem skinął na kilku ludzi, którzy przyjechali z nim z North Star, a ci wynieśli duże, bezwładne ciało nieprzytomnego Rossa Haverila na werandę. Kilku mężczyzn poszło za nimi, by sprawdzić, czy żyje. Wraz z nimi, niezauważona, szła szczupła, drobna postać, która mogła być meksykańskim młodzieńcem, ale była małą Señoritą z Hacienda del Paraiso. Chciałaby być wszędzie naraz; czuła się jak w cyrku, i przypomniała sobie, jak kiedyś była w San Antone, kiedy była małą dziewczynką; nie chciała niczego przegapić. Więc po chwili niepewności poszła za ludźmi wynoszącymi Rossa Haverila na świeże powietrze.

Lecz Bob Roberts, nawet jej nie zauważając i na cały ten czas zapominając o Rose Devlin, którą kochał głęboką, prawdziwą i trwałą miłością, wrócił do sali gier. Podszedł prosto do Toma Storma. Oświadczył, mówiąc coraz bardziej cienkim głosem z powodu stresu, jaki go przepełniał:

— Storm, zawsze uważałem, że jesteś wszystkim tym, czym nazywał cię Ross Haveril. Nie byłem pewien, bo nie wiedziałem. Teraz już wiem, ponieważ powiedział to Ross. Jesteś wszystkim, czym cię nazwał, a nawet więcej.

Na twarzy Toma Storma widać było krew, spływającą z poobijanych ust, a w jego sercu szalała mordercza wściekłość. Co więcej, był zakochany w Rose Devlin i wiedział, że Bob Roberts także za nią szaleje - i jeszcze nie wiedział, kogo z nich, jego czy Boba Robertsa, preferuje ta melodramatyczna młoda dama. Tak więc znajdował się w odpowiednim nastroju, aby przyjąć Robertsa jako substytut Rossa Haverila.

Tak więc, zanim ktokolwiek zdążyłby powiedzieć „raz, dwa, trzy”, rozpoczęła się druga walka. Czarny Jack Devlin wyglądał na znudzonego i zniesmaczonego. Dziś wieczorem sprawy nie układały się najlepiej, nie tak, jak powinny układać się w lokalu hazardzisty dżentelmena.

Hannigan dyskretnie wysunął się zza baru. W jego kompetentnej prawej dłoni spoczywał instrument, który był idealnym bliźniakiem tego, podanego Devlinowi, przypominający węża przedmiot w śliskiej czarnej skórze.

Rose-alba próbowała go powstrzymać, ale było już za późno. Bob Roberts i wielki Tom Storm zwarli się mniej więcej tak samo, jak Storm i Ross Haveril zwarli się minutę lub dwie wcześniej; byli w nastroju, do zabijania.

Hannigan, człowiek o łagodnym sercu, westchnął. Następnie, mając zadanie do wykonania, zamachnął się swoją pałką i delikatnie opuścił ją na dół. Uderzył zgrabnie w czaszkę Toma Storma, w odpowiednim miejscu, nisko z tyłu, ale nie za nisko - i nie za mocno - i Storm, podobnie jak jego stary wróg Ross Haveril, złożył się i słodko zasnął.

W sumie, chociaż czas na to potrzebny wynosił jakieś dwie i pół minuty, nie więcej, tej nocy goście w domu Black Jacka bawili się całkiem nieźle. I — że tak powiem — sukces imprezy towarzyskiej polegał nie tylko na tym, że zabójcza broń w zręcznych rękach Black Jacka i jej alter ego, w osobie łagodnego Hannigana, powaliły dwóch walczących szaleńców, którzy nie prosili się o nic lepszego, niż rozszarpanie się nawzajem. Rzeczy, które się liczyły, leżały poza tym prostym rachunkiem wysiłków i osiągnięć. Były tutaj również pewne inne istotne czynniki.

Tylko Bob Roberts wyszedł z tego bez szwanku. Popatrzył na Black Jacka Devlina tak, jakby nie pragnął niczego bardziej niż rozerwać go na kawałki. Black Jack odwzajemnił spojrzenie, po czym wzruszył ramionami, uśmiechnął się i poprawił swoje spiczaste wąsy. Roberts, z krwią na twarzy, odwrócił się i wyszedł na zewnątrz, aby zająć się swoim starym przyjacielem Haverilem. Przy drzwiach coś mu przyszło do głowy i obrócił się na pięcie, aby spojrzeć na Hannigana. Wyglądało to tak, jakby chciał powiedzieć:

— Jestem trochę wstrząśnięty, ale dzięki, stary. Dzięki, że rozprawiłeś się ze Stormem, a nie ze mną.

Sporo innych osób na sali wyszło na zewnątrz, niektórzy lekko, inni znacznie bardziej niż lekko, zainteresowani śledzeniem dalszego toku tej historii. Jedną z nich była Rose Devlin. Ramię w ramię z nią stał ktoś, kto wyglądał na młodego Meksykanina, z czarnym kapeluszem na oczach. Te oczy, nawiasem mówiąc, były tak ostre jak świeżo naostrzone sztylety, gdy w pełni przyjrzały się Rose-albie. Potem ich spojrzenie uciekło gdzie indziej, mając do obejrzenia tak wiele innych rzeczy. Był przystojny Bob

Roberts; był Tom Storm, z którym ten ostatni walczył z powodu starego przyjaciela; no i był ten stary przyjaciel, Ross Haveril. Było, och, tak wiele rzeczy!

Jest takie stare kastylijskie powiedzenie:

„Dzisiaj jest dzisiaj, zaś wczoraj było wczoraj, i teraz wiemy już o nich wszystko. Ale co z jutrem?”

## Rozdział VI

**S**ekretna Dolina w delikatnym świetle gwiazd była miejscem niewymownie pięknym. Jednak bez względu na to, czy była oświetlona przez księżyc, skąpana w słońcu, czy spowita w mroku letniej burzy, zawsze była równie piękna jak Szczęśliwa Dolina Rasselasa. Na jej północnym krańcu znajdowały się klify, z których szalone wodospady spływały białą pianą niczym koronki poruszane wiatrem. Były tam też głębokie, ciemne stawy, w których żyły szybkie pstrągi, porośnięte paprociami zielonkawe misy górskiej wody, otoczone wielkimi głazami i zacienione laurami, osikami oraz bukami. Niewielka rzeka - nazywano ją Sundown Creek - wiła się meandrami po dnie doliny, a zachowało się w niej wystarczająco dużo drzew, by cała dolina wyglądała jak wielki park.

Lecz tego wieczora Ross Haveril widział niewiele lub nic. Dopiero tego dnia powrócił do swego gniazda rodowego. Przez kilka godzin błąkał się po okolicy, a wściekłość chwytała go za gardło i dusiła, aż łzy niemal napłynęły mu do twardych, gorących oczu. Potem udał się do Black Jacka Devlina…

Pojechał tam, by na tę jedną noc trochę zapomnieć. To bolało, wrócić po kilkunastu latach i zobaczyć, co stało się z Sekretną Doliną. Klify, wodospady, potok i drzewa nie straciły nic ze swego uroku, ale ogrodzenia były zniszczone, słupy pogniły, zaś stary dom zmienił się w poobijaną skorupę, w jakiś sposób przywodzącą mu na myśl starą trumnę, z której właśnie wyjęto ciało, wcześniej ją zajmujące.

Chciał więc udać się do Górskiego Domu i spłukać ten niesmak z ust kilkoma szklaneczkami mocnego alkoholu, a z myśli grą - i nie spodziewał się, że natknie się tam na Toma Storma! Akurat Toma Storma, ze wszystkich ludzi na świecie!

Lecz teraz Ross Haveril znów był w Sekretnej Dolinie. Był w domu. Ktoś przywiózł go do domu, położył na starej, zielonej sofie w salonie - lub w miejscu, które niegdyś było salonem, a teraz wyglądało, jakby trzymano w nim owce.

Podniósł się na łokciu, po czym opadł z jękiem. Jasna cholera, co za piorun, że ktoś go tak załatwił! Potrząsnął kudłatą głową, choć delikatnie; ponownie podniósł się na łokciu, będąc człowiekiem, którego zawsze trudno było przytrzymać w łóżku, i spojrzał w zatroskane oczy starego, dobrego przyjaciela.

— Ależ to Bob! Bob Roberts!

— Cześć, Ross — odparł Bob Roberts.

Ross Haveril zwlókł się z kanapy i postawił swoje wielkie stopy na podłodze. Z wysiłkiem wstał. Stał tak, kołysząc się lekko, wyglądając jak stary niedźwiedź grizzly.

— Jestem w domu — powiedział. — Znowu w domu, po raz drugi dnia dzisiejszego. I to w jakim piekielnym domu! Przed chwilą wydawało mi się, że jestem u Black Jacka Devlina i że wpadłem na to skrzyżowanie szczura kanałowego z boa dusicielem, którego ludzie nazywają Tomem Stormem. A teraz znów jestem tutaj. — Przejechał brudną dłonią po długich, potarganych włosach, przypominających końską grzywę. — Co do cholery Storm mi zrobił, Bob? Strzelił do mnie? Albo zwalił na mnie tonę cegieł?

— Nie wiedziałem, że w ogóle znasz Storma — powiedział Roberts.

Do tej pory Ross Haveril był już raczej pewny swojej równowagi. Przeszedł przez pokój, przez cały czas przypominając starego niedźwiedzia, i poszperał w zniszczonej torbie Gladstone'a; wyciągnął z niej ćwierćlitrową butelkę południowego rumu i wrócił, by zaproponować ją Bobowi. Bob, przez wzgląd na dawne czasy, pił oszczędnie. Ross Haveril przytknął butelkę do swych ust Haverila i pił, jakby trzymał w ręku szklankę wody.

Potem odrzucił butelkę w kąt. Wyciągnął obie wielkie, owłosione dłonie i zacisnął je jak haki na ramionach Robertsa. Chwilę później, ze śmiechem dudniącym jak letni grzmot, przyciągnął do siebie starego przyjaciela, ściskając go mocno w ramionach, które z pewnością musiały zostać stworzone do zawodowych walk na ringu, po czym puścił Robertsa.

— Cholera, Bob — wyskandował tym swoim żarliwym głosem, który słychać było na milę pod wiatr — od siedmiu lat nic mnie tak nie ucieszyło, jak twój widok! Ale ty pytasz: „Czy znam Toma Storma?”.

Cała wesołość z niego uleciała. Jego wielkie, owłosione pięści zwinęły się w maczugi, które równie dobrze mogłyby być wykonane z mahoniu z Mórz Południowych i artystycznie ozdobione włosiem z orzecha kokosowego.

— Chyba dobrze go znasz — zauważył Roberts.

— Wpadłem na niego w Gwatemali, dobre dziesięć lat temu. Spiknęliśmy się; polubiłem tego diabła. Pojechaliśmy razem do Nikaragui, obaj młodzi, obaj spłukani, obaj szukający zabawy i wszystkiego, czego młodzi ludzie szukają na drugim krańcu tęczy.

Przerwał na chwilę, po czym opowiadał dalej:

— I ruszyliśmy dalej. Trzymaliśmy się razem przez cztery lata. Zarobiliśmy w Ameryce Południowej, wysoko w Andach, gdzie kopalnie srebra pojawiały się jak wysypka. Wdarliśmy się tam, gdzie Amerykanie nie byli szczególnie pożądani; walczyliśmy razem; przeżyliśmy wspaniałe piekło i wydostaliśmy się na szczyty ze stoma tysiącami w gotówce i szeregiem koncesji wydobywczych. A potem Tom Storm, niech go szlag, walnął mnie pewnej nocy łomem w głowę, zabrał sto tysięcy i… No cóż, nigdy się nie dowiedziałem, dokąd się udał, nigdy o nim nie słyszałem, nigdy go nie widziałem, aż do dzisiejszego wieczora. Chyba rozumiesz, Bob, jak bardzo się ucieszyłem, że na niego trafiłem!

— On taki jest — zgodził się Roberts. — Nigdy nie złapałem go za rękę, ale taki już jest.

— Nie powiedziałeś mi jeszcze, w jaki sposób, do jasnej cholery, załatwił mnie tam, w Górskim Domu?

Bob Roberts zawahał się lekko. Ponieważ był młody, na jego opalone policzki wystąpił gorący rumieniec. Nie lubił mówić niczego złego o ojcu Rosalie. Ale Bob był szczerym człowiekiem, fakty były takie a nie inne, a Ross Haveril był jego przyjacielem. On i Ross byli nierozłączni dawno temu, gdy Ross był młodym dziedzicem Sekretnej Doliny, a Bob, syn starego poszukiwacza, marzył dopiero o studiach i kursie inżynierii górniczej. Młody Bob poszedł później do szkoły w Golden, w Kolorado, podczas gdy Ross Haveril wyprawił się na południe i, jak się wydaje, zszedł na psy.

— To nie Storm cię walnął — powiedział w końcu Roberts. — To był Black Jack Devlin. Nie wiem, czy można go za to winić. On nie dopuszcza w swym domu do brutalnych, morderczych bójek. Dał ci po głowie pałką.

— Niech go diabli! — ryknął Ross Haveril. — Gdyby nie to, położyłbym Storma na łopatki i stłukł go na kwaśne jabłko – wybiłbym z niego te sto tysięcy dolarów, jeśli jeszcze je ma - a tutaj Devlin posyła mnie lulu, a Storm odchodzi ze śmiechem

— Posłuchaj reszty — wtrącił Roberts i opowiedział mu, jak zwarł się ze Stormem i prawdopodobnie zostałby zbity na miazgę, i jak Hannigan, naśladując swojego pracodawcę, podszedł i walnął po głowie Toma Storma, powalając go na ziemię.

To były dobre wieści i Ross Haveril, z którego złość już opadła, wybuchnął śmiechem. Co więcej, klepnął swojego starego przyjaciela po plecach z taką gargantuiczną serdecznością, że Bob Roberts zachwiał się pod jego dłonią.

— Nic się nie stało — roześmiał się Haveril, cały w skowronkach. — Teraz, kiedy wpadłem na Toma Storma, nie da rady uciec mi na tyle daleko, żebym go znowu nie odnalazł. Zapomnijmy o nim. Wypijemy jeszcze jednego drinka, żeby zmyć jego niesmak z naszych wspomnień...

Rozejrzał się za swoją butelką, z żalem popatrzył na jej potłuczone resztki, błyszczące w mokrej zawartości, i znów się roześmiał. Potem błyskawicznie przeskoczył z jednego nastroju na inny.

— Ta dziewczyna! — powiedział i zabrzmiał jak podekscytowany. — Wyślepiłbyś oko, gdybyś tylko ją zobaczył! Kim jest ta mała laleczka, Rob, i czy kiedykolwiek znajdę ją w Górskim Domu?

Po raz drugi Bob Roberts przeżył moment zawahania. Ale znowu, ponieważ fakty były takie jakie były, od razu przeszedł do rzeczy.

— To Rose Devlin, córka Black Jacka. Zabiłby każdego, kto popatrzyłby na nią w niewłaściwy sposób. Ale… do diabła, Ross, zostaw ją w spokoju!

Brwi Rossa Haverila, gęste, czarne i kępkowate, uniosły się i pozostały w górze, podczas gdy jego oczy starały się wyczytać, co kryło się w umyśle przyjaciela - a także w jego sercu i duszy.

— Więc to tak, co, Bob? — powiedział Haveril.

— Tak, tak właśnie jest.

— A ona? Ta Rose Devlin? Ona też tak myśli? A co z Tomem Stormem? Czy on się liczy?

Mięśnie na szczęce Boba stwardniały.

— On jej pragnie, tak myśli Storm. Pragnie zdobyć wszystko. Pewnego dnia... Ale posłuchaj tylko, Ross. Dopiero dzisiaj ją zobaczyłeś, po raz pierwszy w życiu, i nawet nie zamieniłeś z nią słowa! Ona nic dla ciebie nie znaczy...

— Skąd to wiesz?

— To niemożliwe! Nie, kiedy ją tylko zobaczyłeś i nic więcej! Usuń się, Ross!

Ross stał wpatrując się w niego dziwnie przez chwilę lub dwie, po czym zaczął się śmiać, podszedł i ponownie klepnął Boba w ramię.

— Wyjdźmy na ganek — powiedział. — Wyjdźmy na chwilę na świeże powietrze, głowa mi pęka. Do tego człowiekowi pęka serce, gdy siedzi w tym przeklętym, martwym i spleśniałym domu! Kiedyś to było… do diabła, wyjdźmy na dwór zaczerpnąć powietrza.

Gdy wyszli na zewnątrz, powiedział:

— To miejsce wydaje się opuszczone, ale widziałem kilka koni i krowę lub dwie… ktoś musiał zaorać stary sad zeszłej wiosny.

— Stary Luke Oliver. Siedział na miejscu przez te wszystkie lata.

— To świetnie! Stary, dobry Luke Oliver! Kiedy byłem dzieckiem… ale gdzie on teraz jest? Nie widziałem go na oczy, a przyjechałem tu dziś po południu.

— Nie wiem — odparł Bob. — Wygląda na to, że stracił serce: Myślę, że Luke, podobnie jak reszta z nas, ucieka, gdy sprawy przybierają zbyt ostry obrót.

Ross Haveril nachylił się ku niemu; w świetle gwiazd starał się dostrzec wyraz twarzy Boba.

— Sprawy przybrały zbyt mocny obrót dla Luke'a? — dopytywał się. — Co się stało?

— Miał pecha, Ross. Jest bliski utraty posiadłości, która ma obciążoną hipotekę, a Tom Storm, niech go diabli, trzyma tę hipotekę w garści.

— Hipoteka? Jaka hipoteka? Luke traci swoją posiadłość - jaką posiadłość?

— A tę. Sekretną Dolinę. A co myślałeś?

Ross Haveril ponownie przeczesał palcami gęstą czuprynę włosów. Dziwnie cichym głosem powiedział:

— Luke zastawił hipotekę Sekretnej Doliny? Jak to możliwe, Bob? A w każdym bądź razie, do kogo w ogóle należy ta dolina?

— No, oczywiście do Luke'a Olivera. Wiedziałeś o tym, prawda, Ross? Czy chcesz mi powiedzieć...

— Jakoś plątała mi się po głowie myśl, że Sekretna Dolina należy do mnie — powiedział Ross Haveril.

Przez chwilę nie odzywali się; słowa nie były potrzebne, chyba że ktoś żądałby szczegółów i wyjaśnień, które kryły się za czystymi faktami. Ross Haveril zrozumiał już, że dom, do którego właśnie wrócił, dom, który uważał za swój - z Lukiem Oliverem jako wiernym strażnikiem i opiekunem - nie należał wcale do niego, lecz do Luka Olivera.

W milczeniu spoglądali nie na siebie, lecz w noc, na falujące pola i łąki górnego krańca Sekretnej Doliny. Patrzyli na stary sad - Ross i Bob spędzili tam wiele leniwych, rozmarzonych chłopięcych godzin, pałaszując

zielone jabłka, okradając ptasie gniazda, planując ucieczkę, by zostać piratami, królami bezludnych wysp lub panami kopalni diamentów w Afryce. Stare jabłonie były powykrzywiane; ich gałęzie wyglądały jak wyciągnięte ramiona - a takie ramiona mogły albo przytulić człowieka do siebie z całą czułością, albo chwycić człowieka jak macki i wycisnąć z niego życie.

Na pustym, utwardzonym podwórku rozległy się powolne, ciężkie kroki. Dostrzegli sylwetkę mężczyzny. Był wysoki, jego twarz skrywała się tajemniczo pod kapeluszem z szerokim rondem, a ramiona były pochylone.

— To Luke Oliver — powiedział cicho Bob. — Zobaczył nasze światło i zaszedł ze starej chaty, gdzie wciąż mieszka, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Luke podszedł powoli. Stawiając krok za krokiem zaczął wchodzić na werandę, uniósł lekko głowę. W blasku gwiazd i w świetle lampy wewnątrz domu, wpadającym mgliście przez okno, które nie było myte od wielu lat, można było dostrzec szczupłą twarz, wąsy przypominające rogi i parę oczu.

Luke zatrzymał się na najwyższym stopniu, zdjął kapelusz i podrapał się po głowie. Był tam łysy punkt o średnicy około trzech cali; otaczały go i zwisały prosto w dół rzadkie włosy w kolorze soli i pieprzu.

Luke odchrząknął. Po czym powiedział:

— Cześć, Bob. To ty, prawda? — Chwilę stał nieruchomo, po czym tym samym łagodnym głosem dodał: — Cześć, Ross. To ty, prawda?

Ross chwilowo się nie odzywał. Ale Bob Roberts powiedział:

— Niech mnie diabli!

Luke powoli uniósł cienką, sękatą dłoń i podał ją młodemu Haverilowi. Powiedział jeszcze raz:

— No cóż, witaj, Ross.

Potem, gdy dłoń Rossa w końcu objęła dłoń Luke'a, Luke mówił dalej:

— Ma się chyba na deszcz. Założę się, że jutro szykuje się burza z piorunami. Ross, dawno cię tu nie było, prawda? Jak tam leci?

— W porządku — odpowiedział Ross Haveril. — W porządku, Luke. A co u ciebie?

— Fatalnie — stwierdził Luke tym swoim spokojnym, miękkim głosem. — Wejdźmy do środka i przysiądźmy. Trochę tu teraz cicho, Ross, ale możemy zagrać w warcaby - albo, jeśli Bob ma ochotę, w trzyosobowego pokera.

Ross powiedział, jego ciężki głos brzmiał na opanowany, ale z wysiłkiem:

— Bob powiedział mi, że to miejsce należy teraz do ciebie, Luke. Sekretna Dolina.

— Pewnie — odparł cicho Luke Oliver. — Jest moja od dziesięciu lat. Nie wiedziałeś? Albo nie obchodziło cię to?

— Jak to? — wycedził Ross Haveril. — Miałem w głowie takie skrzywione wyobrażenie, że to własność Haverilów.

— Och, niech mnie diabli ścisną! — oznajmił Luke, a jego głos zabrzmiał niemal ciepło.

Być może zamierzał powiedzieć coś więcej, choć był człowiekiem małomównym, ale właśnie wtedy do ich uszu dobiegł cichy tętent kopyt, przemierzających łąkę, dochodzący znad Sundown Creek, który miejscami migał ciemno w świetle gwiazd.

— Od siedmiu lat nie było tutaj tylu ludzi — burknął Luke Oliver. — Kompania, Ross.

— Kto? — spytał kwaśno Ross. — Nie chcę teraz nikogo widzieć. Tylko ciebie, Luke, żeby to wszystko wyjaśnić; i tylko Boba Robertsa przez wzgląd na stare czasy. Kogo to niesie, Luke?

Luke nie miał zielonego pojęcia i nie chciał zgadywać, dopóki jeździec nie podjechał tak blisko, że mógł rozpoznać konia.

— To ktoś z Rajskiej Doliny, z rancza Valdeza — powiedział i wyglądał na zakłopotanego. — To pierwszy raz, żeby przyjechał tu jakikolwiek jeździec Valdeza... Cholera, wejdźmy do środka i zagrajmy w warcaby. Pamiętasz, Ross? Tamtej nocy, kiedy ci odbiło i ruszyłeś włóczyć się po różnych miejscach i nie wracałeś - to musiało być jakieś dziesięć-dwanaście, czy też może czternaście lat temu - graliśmy w warcaby. Miałem dwie królowe przeciwko twojej jednej. Miałeś szansę...

Mówiąc to szedł już do domu. Ross zrównał się z nim, a Bob Roberts, spoglądając przez ramię na nadjeżdżającego jeźdźca i zastanawiając się, czy z tej odległości i przy tym kiepskim świetle Luke zdoła rozpoznać, co to za koń, podążył za nimi. W ten sposób cała trójka ponownie weszła do zniszczonego salonu.

— W każdym bądź razie, w jakiego przeklętego łajdaka zmieniłeś się, Luke — dopytywał się młody Haveril. — Oszusta?

— Ja też się nad tobą zastanawiałem, Ross — odparł Luke.

Bob Roberts, obejrzawszy się przez ramię, powiedział:

— Twoim gościem jest sam Valdez. Widziałem go dziś w Górskim Domu. Valdez z Rajskiej Doliny. Był z Tomem Stormem. Są przyjaciółmi, Ross.

Ross Haveril odwrócił się w stronę drzwi.

— Jeśli ten pan jest przyjacielem Toma Storma — warknął — to nie minie nawet chwila, jak wyrzucę go z Sekretnej Doliny. — Jego głos zaostrzył się i pojawiło się w nim coś w rodzaju kpiny, gdy dodał: — Nawet jeśli Luke ukradł mi tutejszą ziemię, to patrz, jak wyrzucam z niej każdego przyjaciela Toma Storma

— Ross — skarcił go Luke Oliver, i ledwie słyszeli jego cicho wypowiadane słowa — jesteś cholernym pajacem, który nie ma dość rozumu, by policzyć palce u obu rąk. Zastanawiam się czasami, jak udaje ci się zakładać buty bez niczyjej pomocy. Zastanawiam się też, jak dajesz radę sam się nakarmić. A teraz, Ross, masz być cichutko jak myszka, bo odgryzę ci to i owo

Luke, wygłosiwszy łagodnie swoją kwestię, ruszył do przodu i stanął w drzwiach, by powitać Señora Valdeza.

## Rozdział VII

**V**aldez, zostawiając konia z wlokącymi się wodzami, wspiął się po schodach i zapukał. Zaproszony do środka, wszedł do pokoju, oświetlonego mrocznym drżącym światłem przez dwie węglowe lampy naftowe z dymiącymi kominami i jedną zadymioną latarnię. Jego jasne, małe, bystre oczy przyjrzały się trzem mężczyznom: Bobowi Robertsowi i Luke'owi Oliverowi, których znał, i Rossowi Haverilowi, którego chciał poznać.

— Señor — powiedział i skłonił się w stronę kudłatego, wyglądającego niezbyt elegancko Rossa Haverila. — Nie mam zaszczytu pana znać, ale przyszedłem zamienić z panem kilka słów. Czy mogę to zrobić?

— Pan jest Valdez z Rajskiej Doliny — odparł zrzędliwie Ross Haveril. — I chce pan ze mną porozmawiać? Czemu nie? To wolny kraj. Proszę strzelać.

Trudno byłoby znaleźć człowieka bardziej skłonnego do przesady w uprzejmości, grzeczności, gładkości i oleistości niż señor Valdez; i trzeba by przejść długą drogę, nawet w surowym kraju, aby znaleźć człowieka równego Rossowi Haverilowi pod względem swego rodzaju prymitywnej szorstkości. Nie był brutalem, ale jeśli chodzi o jego zachowanie, to było najlepsze, co można było o nim powiedzieć. Wydawał się czerpać zwierzęcą przyjemność z tego, że działa wbrew wszystkim sympatycznym konwenansom, według których Valdez żeglował w każdych warunkach pogodowych.

Dlatego też obaj, choć stali niemal nos w nos, byli od siebie bardzo dalecy, jakby na dwu różnych biegunach.

Po dosadnych słowach Haverila Valdez stał przez chwilę, wyglądając niepewnie. Lecz z tego człowieka tryskała elokwencja, nawet wtedy gdy jego usta, tak jak teraz, były mocno zaciśnięte. Całe drobne ciało właściciela Rajskiej Doliny, a zwłaszcza ramiona, ręce i oczy, mówiły za niego. Powiódł spojrzeniem z Rossa Haverila, na pozostałych i z powrotem na Rossa. Wyglądało to tak, jakby powiedział: „Ale, mój drogi panie, to z panem chciałem porozmawiać. Sprawa ma charakter prywatny. Czy nie moglibyśmy zostać sami?” Wszystko to, nie wypowiadając ani jednego słowa.

Haveril chrząknął. Jednak zarówno Bob Roberts, jak i Luke Oliver ruszyli w stronę drzwi.

— Chcę zabrać Boba do stajni i pokazać mu nowego ogiera, którego tam mam — powiedział Luke. — Nie będzie nas nie dłużej niż dziesięć minut.

Valdez wykonał jeden ze swoich delikatnych ukłonów. Powiedział to tak wyraźnie, jakby wygłosił słowa: „Dziękuję, panie Oliver. Dziękuję również panu, panie Roberts. Są panowie bardzo uprzejmi.”

Luke wziął latarnię i razem z Bobem, dwaj dobrzy przyjaciele, poszli do starego domku, w którym Luke mieszkał, gdy był zarządcą w Sekretnej Dolinie, i w którym wolał mieszkać po tym, jak został jej właścicielem. Wyciągnął butelkę i usiedli.

W międzyczasie z Górskiego Domu do Sekretnej Doliny zjechało dwóch innych jeźdźców. Poruszali się cicho, zatrzymując się w cieniu, na skraju sosnowego lasu, sto metrów od domu. Widzieli, jak Valdez wszedł do domu, widzieli też latarnię, którą niósł Luke Oliver.

— Na miłość boską, señorita! — błagał stary Romero.

Carmencita Valdez zsunęła się lekko z siodła.

— Mam zamiar podglądać, mam zamiar podsłuchiwać, mam zamiar się podkradać - dowiem się wielu rzeczy, Romero! — powiedziała szybko. — Poczekaj tu z końmi!

Wciąż błagał, ale pozostał na swoim miejscu i patrzył, jak biegnie w stronę domu.

A w domu nieostrzyżony barbarzyńca, jakim był Ross Haveril, warknął:

— No dobrze, Valdez, co też panu chodzi po głowie? Nie znam pana, nie wiem, czy mnie to obchodzi, nie podoba mi się pański wygląd, nie podobają mi się pańskie zwyczaje i nie lubię pańskich przyjaciół. Więc proszę zrobić to szybko albo wynosić się stąd.

Valdez uśmiechnął się.

— Pan jest señor Haveril, prawda? Kiedyś był pan właścicielem — a przynajmniej pańska rodzina, pańscy bliscy - Sekretnej Doliny. Teraz ją pan stracił. Wrócił pan tutaj i niech pan spojrzy, do czego pan wrócił! Do ruin!

— A co pana, do cholery...

— I — kontynuował Valdez, a na jego ustach pojawiła się nutka szyderstwa, gdy jego wzrok powędrował po nieokrzesanej, niechlujnie ubranej postaci gospodarza — wrócił pan do domu z pieniędzmi w kieszeni nie większymi niż te, które miał pan, gdy pan uciekał, jako kilkunastoletni chłopiec! Myślę, przyjacielu, że dla pana sto dolarów wyglądałoby tak samo jak księżyc w sierpniu!

— Ty przeklęty mały konusie! — zawołał Haveril i zrobił gniewny krok do przodu.

Lecz Valdez, nie cofnął się. Uśmiechnął się tylko i mówił spokojnie, sugerując słowami, tonem i wyrazem twarzy, że byłoby dobrze, gdyby młody, rozpędzony Haveril wstrzymał się i go wysłuchał. I Haveril wysłuchał.

Valdez zmierzył go wzrokiem, a przez całe życie robił tego rodzaju rzeczy, trafiając częściej niż chybiając. Powiedział, wciąż bardzo uprzejmie, ale tonem pewnym jak ostrze noża:

— Nie będę panu zabierał czasu, señor. Nie ma pan pieniędzy, prawda? Jeśli chodzi o mnie, to mam pieniędzy pod dostatkiem. A teraz przejdźmy do rzeczy: widziałem, jak przywitał się pan z Tomem Stormem z Zagubionej Doliny i słyszałem, co mu pan powiedział! Bueno! Jeśli potrzebuje pan pieniędzy, proszę przyjść do mnie. Można mnie znaleźć w Rajskiej Dolinie. I tylko proszę powiedzieć mi wszystko, co pan wie o señor Stormie - dlaczego określił go pan tak, jak pan go określił - i co takiego zrobił, że ma pan ochotę - jak by to powiedzieć? - no cóż, zastrzelić go jak psa.

— Oho! — oznajmił Ross Haveril, po czym roześmiał się. Następnie uderzył małego dona w ramię tak, że Valdez ugiął się w kolanach.

Po tym, jak zaczął się śmiać, wydawało się, że Ross Haveril nigdy nie przestanie. Mała señorita Carmencita na werandzie, zerkająca tak samo jak w Górskim Domu, wpatrywała się w niego zafascynowana; przerażał ją, dziwnie niepokoił.

— Wyjaśnijmy sobie wszystko — powiedział Haveril. — Co pana gryzie?

— Gryzie mnie? — Przez chwilę mały kogucik hidalgo był zdziwiony. Potem zrozumiał i podniósł wąsy. — Señor — oznajmił z godnością — nie ma na świecie niczego, co by mnie gryzło. *Nada*! Ale są sprawy, które sprawiają, że mam ochotę, jak na dobre hiszpańskie sherry przed kolacją, na poznanie inne rzeczy. A ja płacę za moje hiszpańskie sherry. A pan chciałby mieć trochę pieniędzy; mógłby pan sobie kupić nowy kapelusz, nowe buty, nowe ubranie - i mógłby pan pojechać gdzieś, gdzie mógłby pan kupić dobre wino i zdobyć ładną dziewczynę do towarzystwa.

Ross Haveril przestał się śmiać, ale w jego oczach pojawił się błysk zainteresowania.

— Kazał mi pan słuchać, senior Don Diablo de Valdez — powiedział drwiąco. — Bueno. Słucham. Proszę strzelać. Ponownie pytam, co pana gryzie?

Valdez znów nie zrozumiał słów, ale było jasne, że zrozumiał ich ton. Włożył rękę do kieszeni i wyciągnął kilka złotych dwudziestek. Miał zamiar postawić je dziś wieczorem przy stolikach Black Jacka, ale pojawiły się inne sprawy.

Dotknął palcami monet. Pięć z nich zatrzymał w dłoni.

— Oto sto dolarów. Cieszyłbym się, gdyby pan je przyjął. A kiedy już to pan zrobi, proszę tylko, aby opowiedział mi pan wszystko, co wie o tym Tomie Stormie.

Ross Haveril popatrzył na pieniądze, spojrzał w oczy małego mężczyzny, ponownie zerknął na pieniądze, a potem na swoje ubranie. Popatrzył na niechlujne, przekrzywione buty, pocerowany płaszcz i spodnie, zakręcił niełądnym kapeluszem i zastanowił się nad nim. Zauważył z wielką powagą:

— Wygląda mi pan, señor Don Diablo, na coś co właśnie wypełzło z piekła. Próbuje mnie pan skusić… próbuje pan kupić moją duszę!

Potem znów zaczął się śmiać, a jego śmiech był tak gromki, jak ryk młodego, rozjuszonego byka.

Przyćmione światło zadymionych lamp sprawiało, że złote monety lśniły ciepłym blaskiem. Złoto jest i zawsze było piękną rzeczą, nawet zanim ludzie zaczęli myśleć o pieniądzach.

Nagle Haveril wyciągnął rękę, zebrał monety w dłoń i wrzucił je do kieszeni, prostując przy tym swoje ogromne ramiona.

— Sto dolarów, Valdez. Czasami to dużo pieniędzy. Weźmy mnie: Znam czasy, kiedy nie przeszedłbym przez ulicę dla takiej drobnej kwoty. Weźmy mnie ponownie: Znam czasy, kiedy myślałem, że za połowę tej sumy udałbym się do samego piekła! Raz jest się na górze, a raz na dole - takie jest życie, co, *amigo*? *La vida es un sueño, no*? I czasami, tak jak dzisiaj, śnimy wielkie sny.

— Ma pan rację, panie Haveril. Więc proszę mi powiedzieć!

— Bueno — odparł Ross Haveril. — Zapłacił mi pan, więc zarobię trochę moich pieniędzy. Całe sto dolarów! Mój ty Boże, to są prawdziwe pieniądze, gdy jesteś na dnie!

— Tak, pewnie, że wiem — powiedział Valdez, zajęty swoimi wąsami.

— W porządku — powiedział Haveril. — Powiem panu co nieco. Znam Toma Storma. To przeklęty złodziej. Byłem z nim w Ameryce Południowej. Byliśmy partnerami. Zarobiliśmy trochę pieniędzy. Walnął mnie w głowę, kiedy nie patrzyłem i uciekł z gotówką. Taka wygląda ta historia.

Valdez zastanowił się. Po chwili powiedział:

— Tak. A jak dawno temu to było?

— Około sześciu lat temu — powiedział Haveril.

— Aha! Ahaha! A teraz powie mi pan, señor, z iloma pesos uciekł ten złodziej?

— W zaokrągleniu było to sto tysięcy dolarów.

Na cienkich wargach pod wąsami Valdeza pojawił się przelotnie dziwny uśmiech, z którego nikt obcy nie byłby w stanie niczego wywnioskować.

— A tak. I wtedy nasz señor Tom Storm przybył tutaj. Z mnóstwem pieniędzy w kieszeni. I kupił Zagubioną Dolinę. A ponadto… ale zostawmy to. — Przestał się uśmiechać, jego oczy zwęziły się. — Zeznałby pan to wszystko pod przysięgą, w sądzie?

— Do diabła, tak — oznajmił Haveril. — Dlaczego by nie? Tylko co by to dało? A poza tym, nie sądzę, by ta nasza mała sprawa kiedykolwiek miała się przeciągnąć aż do sądu.

— Chciałbym pana zapytać o jeszcze jedną rzecz — powiedział Valdez i popatrzył na niego z żalem. — Był pan z tym psem o nazwisku Storm przez kilka lat; musi go pan dobrze znać... Czy wie pan o innych jego złych uczynkach?

Było zupełnie jasne, że Valdez grał na przeczucia i że chciał zdobyć informacje, które sprawią, że sprawy staną się gorące - bardzo, bardzo gorące - dla Toma Storma. Haveril zaczął się zastanawiać dlaczego to jest takie ważne dla Valdeza.

A na zewnątrz, na werandzie, zaglądając przez nieumyte okna, mała señorita Carmencita Valdez, ogromnie zainteresowana, zastanawiała się nad Rossem Haverilem. Pomyślała:

— Gdyby go wykąpać, ogolić, kupić mu ładne ubranie, obciąć włosy i ujarzmić, byłby przystojny jak jakiś dziki pogański bóg!

I myślała dalej:

— Mój wujek jest wielkim kłamcą i to jest coś, co odkryłam dziś wieczorem. I dowiedziałam się wielu innych rzeczy — no i widziałam tę dziewczynę. A pan Roberts zupełnie zwariował na jej punkcie — i tak samo Tom Storm, który zalecał się do mnie! I tak samo ten pogański bóg, ten człowiek Haveril. I ja — *Vamos a ver*! Trzymajmy oczy otwarte i zobaczmy o wiele więcej rzeczy!

W domu Haveril potrzebował trochę czasu na przemyślenie odpowiedzi na pytanie Valdeza. W końcu powiedział, mówiąc z namysłem.

— Chce pan więcej pocisków na Storma, co? Zastanówmy się: to znaczy, że coś panu zrobił; chce się pan na nim zemścić; nie widzi pan sposobu; potrzebuje pan pomocy. — Podkreślił swoją uwagę chrząknięciem jak Indianin, a potem jak Indianin na chwilę zamilkł w stoicki sposób. — Co się za tym kryje, panie Valdez? — zapytał nagle.

Valdez wzruszył ramionami.

— Czy to ja panu płacę? Czy pan płaci mi?

Ross Haveril brzęknął złotymi monetami w kieszeni i pozwolił, by jego stwardniałe rysy twarzy rozluźniły się w szerokim uśmiechu.

— Jasne. Ma pan rację. No cóż, Señor Gallo, nie mogę powiedzieć panu więcej o Tomie Stormie niż już panu powiedziałem. Mam przeczucia, że mógł zamordować paru ludzi w swoim czasie, biorąc ich życie w swoje ręce, ale nie mogę być tego pewien; wiem tylko, że byłoby to do niego podobne. A teraz, czy zarobiłem na pańskie sto dolarów?

Na ganku mała Carmencita pomyślała z dreszczem:

— Ależ ci ludzie są jak dzikie bestie! Wszyscy. Mój wujek też!

Valdez przemówił bardziej bezpośrednio niż wcześniej.

— Haveril — powiedział, zwracając się do swojego rozmówcy tak, jak zwykł zwracać się do każdego ze sług, w większości Indian i mieszańców, — otrzymałem, jak mówisz, tyle ile trzeba za moje pieniądze. Ale porozmawiam z tobą jeszcze kiedyś. Być może nawet pomogę ci odzyskać ten twój stary dom, Sekretną Dolinę. Ale o wszystkich tych rzeczach porozmawiamy kiedyś w przyszłości.

Odwrócił się w stronę drzwi, jakby chciał odejść, lecz Haveril zauważył, że ten człowiek jeszcze nie był gotów zakończyć ich rozmowę. Valdez zawahał się, zawisł na pięcie i odwrócił się.

Ross Haveril wyszczerzył zęby w uśmiechu, patrząc na niego z oczekiwaniem, jak człowiek w teatrze czekający na rozwój wydarzeń.

— Wyrzuć to z siebie, stary — powiedział, lekceważąco postponując godność Valdeza. — Co jeszcze tkwi w twojej głowie?

— Widziałem, jak walczyłeś ze Stormem — rzucił Valdez i po raz pierwszy jego głos był cienki, zimny i ostry. — Jeśli kiedyś znowu będziesz z nim walczył - jeśli ci się to przydarzy — jeśli może uderzysz go tak mocno, że go zabijesz — no cóż, w takim razie nadal będę twoim przyjacielem. Rozumiesz mnie? *Bueno, y buenas noches*.

Po tych słowach wyszedł; zrobił to tak nagle, że jego mała siostrzenica, która całą uwagę skierowała na wytężanie uszu i oczu, niemalże została przyłapana na szpiegowaniu go. Nie odważyła się zbiec po schodach na podwórze; zamiast tego pobiegła wzdłuż ganku, do jego

najciemniejszego kąta, gdzie się zatrzymała, ponieważ nie mogła iść dalej nie zeskakując w ciemność, nie wiadomo z ilu stóp wysokości.

Ross Haveril podążył za odchodzącym gościem aż do drzwi; stał w nich przez moment, spoglądając z zamyśleniem za nim, gdy tamten poszedł do swojego konia, po czym pozostał tam jeszcze przez kilka chwil, zadumany.

On i Carmencita Valdez, której nigdy przedtem nie widział ani o której nigdy nie słyszał, stali oddaleni od siebie nie więcej niż o sześć stóp. Trzęsła się tak mocno, że aż wyraźnie czuła dygotanie kolan. Pragnęła zeskoczyć z ganku i uciec — lecz pragnęła także pozostać — i myślała, choć w niespójny i nieskoordynowany sposób: „Chcę poznać tego człowieka! Chcę z nim porozmawiać, oraz żeby on porozmawiał ze mną. On jest inny — a moje małe, krótkie życie nigdy nie było inne!” Wtedy Ross Haveril, który powinien był skręcić w prawo, żeby wrócić do domu, skręcił w lewo. Po prostu chciał podejść na koniec ganku, aby popatrzeć z niego na sad. I zobaczył stojącą tam dziewczynę. Zdjęła kapelusz, a włosy opadły jej na ramiona. Kuliła się w mroku, sprawiając, że jej maleńkie „ja” robiło się jeszcze mniejsze.

## Rozdział VIII

Kiedy zorientowała się, że ją odkrył, zesztywniała z przerażenia. A potem spróbowała przeskoczyć przez barierkę, nie dbając już o to, z jakiej wysokości spadnie. Ale on był szybszy od niej; był też dziesięć razy od niej silniejszy. Złapał ją za ramię i pociągnął do tyłu. Wtedy zaczęła walczyć, uderzając go w twarz, drapiąc...

Wykręcił jej ręce za plecy, chwycił je za nadgarstki jedną ze swoich wielkich dłoni i złapał ją wpół drugą ręką.

— Zaniesiemy cię do domu, żeby zobaczyć, jak wyglądasz w świetle lampy — powiedział.

Zaczęła krzyczeć, wołając Romero, ale Haveril zdążył już przenieść ją przez próg i zatrzasnąć drzwi; kiedy ją położył, zacisnął jej dłoń na ustach.

— Nie ruszaj się — rozkazał jej. — I przestań już wrzeszczeć. Jeśli jeszcze raz krzykniesz, wezmę z kuchni wielki rzeźnicki nóż i obetnę ci włosy! Zrobię z nich solidny sznur. Pewnie wezmę też trochę sadzy z kuchenki i poczernię ci czubek nosa. I, młoda damo, są jeszcze gorsze rzeczy, które mogą się przydarzyć młodej, pięknej i bezbronnej dziewczynie – czyż nie?

Wtedy zorientowała się, że się z niej śmieje, żartuje sobie z niej i nagle przestała się bać, a ogarnęła ją wściekłość. Zaczęła wykonywać swój ulubiony gest - tupnięcie małą, wysoko sklepioną stópką w atrakcyjnym, wysokim czarnym bucie - i przemawiać jak królowa Saby. Ledwie zdążył ją puścić, gdy rozpoczęła taką właśnie scenę. Jego odpowiedź była szybka i stanowcza, oraz uciszyła ją: Ponownie ją podniósł, tym razem w obu ramionach, i mała panna Carmencita otrzymała taki pocałunek, jakiego nie przeżyła nigdy wcześniej - jakiego nigdy nawet nie śniła, że dziewczyna może przeżyć.

— A teraz — oznajmił i popatrzył na nią, — czy będziesz już grzeczna?

Odsunął się i przyjrzał się jej - a Carmencita Valdez, w tę noc nowych rzeczy, otrzymała takie spojrzenie, jakim nigdy wcześniej jej nie obdarzono. Ross Haveril zagwizdał, a był to długi, miękki, pochlebny gwizd.

— Jesteś piękniejsza niż pożar lasu! — powiedział jej.

Natychmiast zrozumiała, że pełne wyższości i dumy zachowanie, nie zrobi na nim najmniejszego wrażenia. Zrobiła więc coś zupełnie przeciwnego. Złożyła dłonie, przyciskając je do swojej naprawdę trzepoczącej piersi i zaczęła go prosić.

— Proszę! — błagała. — Och, proszę! Tylko mnie wypuść. Oszalałam, a teraz jest mi przykro i boję się... Puść mnie!

— Kim ty do diabła jesteś? — chciał wiedzieć.

Pokręciła gwałtownie głową, zupełnie nie udając.

— Virgin Santissima! — wykrztusiła. — Nie wolno ci pytać! To nigdy nie może wyjść na jaw! Umarłabym ze wstydu, a poza tym zabiliby mnie!

— Oho! — stwierdził Ross Haveril i znów zaczął się śmiać, zaś ona pomyślała, że zawsze musi się śmiać albo szaleć z gniewu i walczyć - albo strasznie się kochać! Otarła usta grzbietem dłoni.

— Zachowałeś się w stosunku do mnie… bardzo niegrzecznie — powiedziała Carmencita i przewróciła w myślach oczami – a przy tym niebezpiecznie zbliżyła się do przewrócenia oczami w jego kierunku, ponieważ wzbudzał w niej dreszcz emocji. Nawet jeśli ją przerażał, ekscytował ją i wciąż myślała: „Gdyby tylko dobrze go umyć i obciąć mu włosy...”

— Nie muszę już pytać, kim jesteś — zachichotał Haveril. — Sposób, w jaki mówisz, sposób, w jaki się zachowujesz - i ten mały podskakujący kogucik Valdez, który był tu przed chwilą - jesteś jego córką, założyłbym się o to, i przyszłaś powęszyć.

Uniosła w jego stronę podbródek.

— Chyba o-oszalałeś. Bo on w ogóle nie ma córki. A poza tym my, z mojej rodziny, nie robimy takich wulgarnych rzeczy - nie węszymy.

Haveril przechylił głowę na bok, przyglądając się jej ponownie. Zapytał poważnie:

— Chcesz się znowu całować?

Popatrzyła na niego, starając się dziewczęco powstrzymać gorący rumieniec.

— Wolałabym umrzeć! Wolałabym zostać posiekana na kawałki.

— No cóż, nie dziwię ci się — stwierdził Haveril i potarł szczeciniastą szczękę. — Ale posłuchaj tylko: W jakiś sposób należysz do organizacji Rajskiej Doliny. Jesteś albo córką, albo wnuczką, albo babcią, albo drugą kuzynką Valdeza, albo kimś w tym rodzaju. Powiedz mi, a obiecuję, że nie pocałuję cię dziś już więcej, a może nawet nie poćwiartuję cię na kawałki.

— Wypuść mnie — prosiła Carmencita, zdesperowana.

— Luke Oliver będzie musiał zrobić jutro paszteciki — zauważył Haveril, westchnął i wyglądał na nieszczęśliwego.

— Ty wielki głupcze! — rzuciła Carmencita. — Dlaczego tak do mnie mówisz?

— W końcu będę musiał cię poćwiartować — stwierdził zasmucony Haveril. — Użyjemy cię na mięso mielone i...

— No dobrze! Jeśli ci powiem, pozwolisz mi odejść? I czy będziesz dżentelmenem, a w każdym razie na tyle dżentelmenem, na ile potrafisz, to znaczy chyba niezbyt wiele, i nie powiesz nikomu, że przyszłam tu dziś wieczorem? Nikomu i nigdy?

— Przypominasz mi młody półksiężyc, widziany przeze mnie niedawno na morzu — powiedział Haveril. — I jeszcze przywodzisz mi na myśl biało-różową orchideę, którą oglądałem się w Ameryce Południowej. Jesteś zabawnym dzieciakiem i zdradzę ci wielki sekret. Dziś wieczorem poszedłem do Górskiego Domu i zobaczyłem tę małą diablicę, córkę Black Jacka Devlina - i zakochałem się w niej od pierwszego wejrzenia!

— Uf! — stwierdziła pogardliwie Carmencita Valdez. — Taka dziewczyna jak ona! Ależ tak, pewnie się może podobać – takiemu mężczyźnie jak ty!

— A teraz ty spadasz tu jak nowa gwiazdka z nieba - i od pierwszego wejrzenia, wyobraź to sobie, zakochuję się w tobie! Co się stało z tą częścią świata, odkąd wyruszyłem w podróż?

— Aha! — prychnęła pogardliwie — Więc to tak! Widzisz dziewczynę i strasznie się w niej zakochujesz, a potem widzisz następną dziewczynę i łamiesz sobie serce jeszcze bardziej… A kiedy byłeś na oceanie i były tam te nowe półksiężyce, oraz kiedy byłeś w Ameryce Południowej i były tam orchidee - przez cały czas była tam pewnie jakaś dziewczyna…

— Ależ, ty już jesteś zazdrosna! — krzyknął Ross Haveril, zapominając o swojej świeżej obietnicy, podniósł ją po raz trzeci i pocałował. Tym razem dostał mocno w twarz. — Widzisz! Zaczynamy się dogadywać! — zachichotał.

— Idę już — oznajmiła Carmencita — nienawidzę cię i nigdy więcej się z tobą nie zobaczę. Nigdy a nigdy. I nie zamierzam ci mówić, kim jestem ani nic takiego.

Wtedy ją zaskoczył. Szybkim krokiem podszedł do drzwi i otworzył je przed nią.

— Złamałem obietnicę, więc pozwalam ci odejść. Ale znajdę cię ponownie i to bardzo szybko - w Rajskiej Dolinie. A kiedy będziesz odchodzić, moja mała, przemyśl sobie coś takiego: Były orchidee i były nowe księżyce, ale nigdy się nie zakochałem, aż do dzisiejszego wieczoru!

— Myślisz, że uwierzę w to…

— Ale to prawda! I to zakochałem się dwa razy! W córce Black Jacka i w kwiecie z Rajskiej Doliny! A teraz lepiej uciekaj i pozwól mi to rozgryźć: Jak mogę zdobyć was obie? A może sprowadzi się to do tego, że będę chciał tylko jedną z was? Ale którą?

I znów zaczął się śmiać - a Carmencita uciekła.

Kiedy Bob Roberts i Luke Oliver wrócili do domu, co zrobili zaraz po tym, jak dziewczyna wybiegła, zastali Rossa Haverila chodzącego w tą i z powrotem, z rękami wciśniętymi w kieszenie i zamyślonym grymasem na czole. Z początku ich nie zauważył, a kiedy to zrobił, odwrócił się i zaczął ich wypytywać:

— Przed chwilą była tu dziewczyna. Jest piękna jak diabli. Jestem pewien, że należy do mieszkańców Rajskiej Doliny. Kim ona może być?

Odpowiedział mu Luke.

— Niech mnie diabli, Ross, jest tylko jedna dziewczyna, jedna młoda dziewczyna, dziewczyna, która jest śliczna jak z obrazka, w Rajskiej Dolinie. To Carmencita Valdez.

— Córka tego małego kogucika, który był tu przed chwilą?

— Siostrzenica — odparł Luke. — Ale co z nią?

— Jestem zakochany — oznajmił Ross. — Jestem podwójnie przeklęty, bo zakochałem się dwa razy tej samej nocy! Raz w ukochanej Boba, Rose Devlin. A teraz w Carmencicie Valdez!

— A więc... — zaczął Luke, podczas gdy Bob Roberts spoglądał dziwnie na Haverila.

— A więc! — zawołał Haveril, tym razem bardzo poważnie. — Powiedz mi, Luke. Jak to się stało? Jesteś właścicielem mojej doliny, prawda? Opowiedz mi o tym. I zanim zaczniesz, pozwól, że coś ci powiem: Sekretna Dolina to Dolina Haverila i tak już zostanie!

— Odetchnąłbym z ulgą — stwierdził Luke i przesunął w ustach prymkę tytoniu. A potem, zauważywszy wyraz twarzy młodego Haverila i wziąwszy pod uwagę ton jego głosu, powiedział: — W porządku, opowiem ci historię tego nieszczęścia. Pamiętasz, jak swego czasu wyjechałeś. Byłeś jeszcze dzieckiem. Następnego dnia szukałem cię po całym ranczu i nie mogłem cię znaleźć. To było dzień po śmierci twojej mamy.

Przerwał i wziął głęboki oddech. Kiedy mama Rossa umarła, te wiele lat temu, Luke też chciał umrzeć. Lecz nikt na ziemi, poza Lukiem Oliverem, a już najmniej mama Rossa, nie domyślał się tego. Luke wpatrywał się teraz w Rossa, a nozdrza starego kowboja, zaczynając czerwienić się wokół krawędzi, rozszerzyły się jak u konia.

Ross nic nie powiedział.

— No dobrze — powiedział Luke. — Wściekłeś się i zwiałeś, a od tamtego dnia do dziś nie widziałem cię na oczy. Twój ojciec też cię nie widział, nie słyszał nic o tobie, ani nie wiedział, dokąd się udałeś. No cóż, on i utrzymywaliśmy wszystko dalej w ruchu. Tyle że nie szło to w dobrym kierunku. On splajtował, na dobre i na całego. Ja przez całe życie oszczędzałem swoje zarobki. Włożyłem w to cały swój grosz, mając nadzieję, że uratuję Sekretną Dolinę. Twój tata umarł i chyba się z tego cieszył, bo był cholernie samotny. Zostawił też testament. I przekazał Sekretną Dolinę mnie - zamiast tobie. Jeśli chcesz wiedzieć coś jeszcze, po prostu zapytaj, a ci powiem.

— Niech cię szlag, Luke! — zawołał Ross Haveril i wyciągnął rękę, by chwycić dłoń Luke'a i niemal wyrwać mu ją z nadgarstka. — Niech cię szlag, Luke Oliver!

— No dobrze już, dobrze — odparł Luke, wyglądając na rozdrażnionego. — I co teraz? Jeśli chcesz odzyskać swoje stare ranczo, przynieś mi kartkę papieru, pióro i trochę atramentu, a ja ci je oddam. Nie jest warte prochu, potrzebnego do wysadzenia go w diabły. A poza tym jest obciążone hipoteką na rzecz niejakiego Toma Storma, a słyszałem, że go znasz.

— Chcę z powrotem Sekretną Dolinę — powiedział Haveril, a jeśli wcześniej brzmiał poważnie, to teraz wręcz surowo. — Ile wynosi hipoteka, Luke?

— Pożyczyłem pięć tysięcy. Nie byłem w stanie nawet spłacać odsetek. Pożyczyłem kolejny tysiąc, co daje sześć i… do diabła, Ross, nie jestem matematykiem. Powiedziałbym, że około siedmiu tysięcy, może ośmiu.

— No dobrze już, dobrze! — zawołał Ross, kpiąc z Luke'a Olivera i śmiejąc się z niego. — Niezależnie od tego, ile wynosi hipoteka, spłacę ją. I dam ci tyle samo w gotówce, żeby odkupić Sekretną Dolinę. A ty możesz dodać do tego każdą dowolną cholerną kwotę, jaką chcesz, a ja też ją zapłacę! Umowa stoi?

— Ty? — parsknął Luke. — Ty? Co ty mi opowiadasz? Masz jakieś pieniądze? Nie rozśmieszaj mnie! Jak dla mnie robi się już późno. Napijmy

się i chodźmy spać. Rano, kiedy będziesz trzeźwy, jeśli w ogóle będziesz chciał, porozmawiamy.

— Chodź tu, Luke — uśmiechnął się Ross Haveril, — i pomóż mi podciągnąć koszulę!

Ale podciągnął koszulę sam, bez niczyjej pomocy. Wokół brzucha Rossa zapięty był szeroki pas na pieniądze - i zarówno Bob Roberts, jak i Luke Oliver zauważyli, że jego brzuch był szczupły i czysty jak u dobrego wojownika. Potem zapomnieli o anatomii młodego olbrzyma i wpatrywali się w jego pas z pieniędzmi. Pomysł, by Ross Haveril miał choćby dwie monety, którymi mógłby o siebie potrzeć!

Ross odpiął pas i rzucił go Luke'owi Oliverowi.

— Rzuć na to okiem, ty wychowany w górach potomku długiej linii przodków aligatorów — prychnął Ross Haveril.

Luke podszedł do starego, rozchwianego stołu pod najmniej przyciemnioną z lamp, otworzył kilka sakiewek i wysypał ich zawartość. Było tam złoto i banknoty. Luke policzył z grubsza, zgadując.

Potem oznajmił:

— A niech padnę na miejscu trupem!

— To byłoby coś co warto zobaczyć — zgodził się Ross. — A teraz ty mi mów. Jak miała na imię ta dziewczyna? Carmencita? A ta druga, dziewczyna Boba, piękność z Górskiego Domu, która trafia człowieka z odległości czterdziestu jardów...

— Ty cholerny pajacu! — krzyknął Luke. — Masz tu prawie sto tysięcy dolarów! Wiesz o tym? I gdybyś miał dostatecznie dużo oleju we łbie…

— Do diabła z tym — powiedział Ross. — Czy wiesz, że nigdy w życiu nie przejmowałem się żadną dziewczyną. A teraz są dwie! I nie mogę powiedzieć, która z nich.

— Jaki bank obrabowałeś, Ross? — powiedział Luke i tak właśnie pomyślał. — Musisz oddać te pieniądze. Jakoś cię z tego wyciągniemy, a potem, do cholery, wracaj do Ameryki Południowej. Albo Południowa Afryka. Jest dalej, lepiej jedź tam.

Ross nie zdążył nawet uporządkować swojej koszuli, kiedy rzucił się na Luke'a Olivera. Chwycił Luke'a w ramiona, niemal wycisnął z niego życie i wykonał z nim żwawego walca w dookoła pokoju. Luke kopał przez cały czas jak gniady wół.

— Luke! Luke, ty stary synu Senegambii! Razem odniesiemy sukces, nie rozumiesz tego? Ty i ja, a może i Bob, chyba że ukradnę mu dziewczynę i doprowadzę go do szału, a on spróbuje nas spalić! Ty stary głupcze, ta odrobina pieniędzy w tym pasie to tylko niewielka ich część! Tam, skąd pochodzą, jest ich więcej i wszystkie są nasze.

— Oszalałeś — oznajmił Luke, czerwony na twarzy i rozgrzany do czerwoności wokół kołnierzyka, kiedy w końcu opadł na krzesło. — Chodzi mi o to, że zawsze byłeś szalony.

Bob Roberts nie powiedział ani słowa. Był poważnym młodym człowiekiem. Kiedy stanął przed swoim starym przyjacielem, Rossem Haverilem i powiedział to, co miał do powiedzenia, był cały biały.

— Ross — powiedział — bardzo się cieszę, że cię dziś spotkałem, że do nas wróciłeś. Ale nie wiem, co zrobiły z tobą te wszystkie lata, od czasu

gdy widziałem cię po raz ostatni. Nie podoba mi się to twoje dzisiejsze gadanie. Zdarzyło się, że dwa czy trzy razy wspomniałeś imię pewnej młodej damy i nie spodobał mi się sposób, w jaki to zrobiłeś. Może jesteś pijany, a może trzeźwy; skąd mam to wiedzieć? Załóżmy, że zostawimy to na inny dzień. Przyjedź do mnie jutro - albo ja przyjadę tutaj.

— A może zachowasz spokój i chwilkę poczekasz, stary…

Ale Bob Roberts powiedział swoje i skończył. Wyszedł na zewnątrz, wsiadł na konia i odjechał.

Ross Haveril krzyknął za nim, zmieniając swoje gardło w róg przeciwmgielny:

— Nie mów nikomu ani słowa o tym, że mam ten pas z pieniędzmi, stary. Chcę się trochę zabawić.

## Rozdział IX

Zaś do Luke'a Olivera, który ciągle siedział bez ruchu jak sparaliżowany, Ross Haveril powiedział:

— Luke! Luke, stary! Miło znów widzieć twoją brzydką gębę!

Luke popatrzył na niego kwaśno.

— Co do mnie, nie mogę powiedzieć tego samego — warknął. — Oto wracasz z podkulonym ogonem po wielu latach włóczęgi i wycierania się po wszystkich brudnych portach całego świata, i to wracasz obładowany pieniędzmi, a ja, do cholery, dobrze wiem, że nigdy nie zapracowałeś nawet na centa z tego. Dobrze wiem, że je ukradłeś. I jakoś tak, czuję w kościach, że będę musiał wyciągać cię z nowych kłopotów. Mam na to tylko jeden pomysł, żeby wezwać szeryfa i powiesić na najbliższej gałęzi, aż będziesz martwy, martwy, martwy!

Śmiech Rossa Haverila prawie zerwał dach.

— Kocham cię, Luke Oliverze! Jak do jasnej cholery mogłam żyć tyle lat bez ciebie? Zakładaj ten swój kapelusz!

— Tak? — oznajmił Luke, złośliwym i sarkastycznym tonem. — Mam gdzieś jechać z kimś takim jak ty? Kiedy tylko wasza wysokość zechce!

— Luke! Lata zrobiły z ciebie tonący wrak – zmieniłeś się w starego człowieka, stetryczałego głupca - jesteś tak pozbawiony energii, nieświeży i sflaczały jak butelka piwa otwarta w zeszłym tygodniu. Wiesz, czego potrzebujesz? Dobrej dawki Haverila! To ja. — Zgarnął ze stołu stary, zniszczony kapelusz Luke'a i włożył mu go na jego na wpół łysą głowę. — Śmiało, stary. Pojedziemy w parę różnych miejsc. Tylko my dwaj.

— Domyślam się nawet, gdzie — westchnął Luke.

— Strzelaj, stary.

— Do Rose Devlin. A potem rzucić okiem na Carmencitę Valdez! Do diabła, niedobrze mi się robi!

— Gdziekolwiek mamy jechać, tak czy inaczej jedźmy — stwierdził młody Haveril, podniósł Luke'a za ramię i ruszył do drzwi.

Luke pokręcił głową i popatrzył na to, co leżało na stole.

— Jasne — zauważył. — Jedźmy. I zostawimy pas z pieniędzmi tam, gdzie leży. Cholera, to tylko tyle pieniędzy, że można by za nie kupić połowę Stanów Zjednoczonych z częścią Meksyku, więc co nam tam zależy?

Ross Haveril zawrócił, ponownie włożył pieniądze do kieszeni szerokiego skórzanego pasa, zapiął go na brzuchu i rozprostował dół koszuli, po czym obaj mężczyźni wyszli ramię w ramię. Zostawili nawet zapalone lampy, żaden z nich nie przejmował się takimi drobiazgami.

Poszli do stajni, wzięli konie i ruszyli w drogę. Luke nie wiedział, dokąd jadą; skierowali się przez Sekretną Dolinę na zachód; w ten sposób mieli przed sobą Górski Dom, a także Zagubioną Dolinę, gdzie urzędował Tom Storm, a nawet Rajską Dolinę.

Ross miał niemalże dziesięć tysięcy pytań do zadania. Tak dawno tu go nie było i tak wiele musiało się wydarzyć. Chciał wiedzieć wszystko: o kopalniach, gdzie pracował Bob Roberts, o Black Jacku Devlinie, o Zagubionej Dolinie, której właścicielem był Storm, i o Rajskiej Dolinie.

Luke odpowiadał, za każdym razem zwięźle i na temat, a kiedy nadarzyła się okazja, zapytał:

— Te pieniądze, które masz, Ross. Powiedz mi! Zostałeś rabusiem?

— Czy to ma znaczenie? — odparł Ross i jego głos brzmiał na mocno naburmuszony.

— To cholernie ważne — oznajmił Luke. — Posłuchaj mnie. Ty i ja jesteśmy sobie obcy, nie widziałem cię od tak dawna i nie wiem już, kim jesteś. Jeśli to kradzione pieniądze, jeśli to pieniądze z napadu - a jestem bliski pewności, że tak właśnie jest - to...

— Minęło sporo czasu, Luke, odkąd jeździłem po tych szlakach. Czuję się naprawdę nieźle. Pamiętasz tę małą klacz o musztardowym umaszczeniu i szczurzym ogonie - nazywaliśmy ją Żółty Kwiat? Ostatnim razem, kiedy na niej jeździłem, przejeżdżając koło stodoły, ta mała diablica nagle skręciła na bok i przeskoczyła rów, ja zaś nie zadałem sobie trudu, by mocno docisnąć popręg i siodło obróciło się, zjeżdżając jej pod brzuch, a ja poleciałem na łeb na szyję…

— Może to to wiele wyjaśnia — burknął Luke Oliver. — Może to lądowanie na głowie wyjaśnia te wiele cholernie głupich rzeczy, jakie zrobiłeś w swym życiu.

— Opowiedz mi wszystko o tych dwóch dziewczynach — powiedział Ross. — O Rose Devlin i Carmencicie Valdez.

— To miłe dziewczyny — stwierdził sztywno Luke. — Żadna z nich nie jest dla takich jak ty. Zarówno Tom Storm, jak i Bob Roberts są zakochani w dziewczynie Black Jacka, ale słyszałem, że Storm zamierza poślubić Carmencitę, tylko dlatego że zależy mu na pieniądzach Valdezów i Rajskiej Dolinie. Więc przypuszczam, że Bob ożeni się z Rose Devlin, a Bob jest twoim przyjacielem, prawda? Więc jeśli chodzi o ciebie, to ręce precz. Jeśli chcesz mieć kobietę, lepiej wracaj do Ameryki Południowej.

— To wygląda na podobne do Toma Storma — zauważył Haveril. — Będzie kochał jedną dziewczynę, a wieloma innymi zajmie się dla pieniędzy! Do diabła! Może zrezygnuję z dziewczyny Boba i zacznę się zalecać do Señority, żeby wyrwać ją ze szponów Storma! To jakiś pomysł, co, Luke?

— Zawsze wpadałeś w kłopoty. Zrobiłbyś coś takiego, gdybyś mógł. Ale myślę, że obie dziewczyny są przed tobą bezpieczne. One nie są ślepe jak krety, mój chłopcze. — Zabrzmiało to, jakby mówił poważnie, ale Ross tylko się roześmiał.

— Nie powiedziałeś mi — przypomniał mu Luke — dokąd jedziemy. I nie powiedziałeś mi o tych pieniądzach.

— Jeśli ty zajmiesz się swoimi sprawami, ja zajmę się swoimi — odparł Ross.

Słysząc te słowa, Luke Oliver miał ochotę zawrócić. Do diabła z tym włóczęgą Haverilem. Ale jechał dalej, jego umysł był rozdarty na dwoje, a zainteresowanie wzrosło. Chciałby się dowiedzieć, co młody Ross ma w zanadrzu i dokąd zmierza.

Zjechali nad małą rzeczkę i pokonali z pluskiem bród, unosząc nogi ze strzemion, jako że woda zachlupała aż do końskich brzuchów. W ciemnym nurcie błyszczały drobinki światła, jakby iskry spadały z jasnych, kruchych gwiazd.

Po długiej ciszy Ross Haveril powiedział:

— Był taki facet, którego znaliśmy ze Stormem. On i Tom mocno się zakumplowali. Nazywał się Hale, Willard Hale. Nie przyjechał tu ze Stormem, prawda?

— Nie — odparł Luke, mało zainteresowany. — Nic mi o tym nie wiadomo. — Ale po ostatnim słowie urwał. Powiedział pod nosem: — Hale? Willard Hale?

— I co? — spytał Haveril.

— Zastanawiam się — powiedział Luke. — Kilka lat temu ze Stormem był pewien człowiek. Widziałem go tylko raz. Nie jestem pewien, czy pamiętam jego nazwisko. Może to było Hale; brzmi podobnie.

— I co z nim? — zapytał Ross. — Nie ma go już tutaj?

— Nie ma. Wylądował w niebie lub w jakimś innym miejscu, to zależy. Nie żyje.

— Nie żyje? Willard Hale? Był silny jak wół, zdrowy jak beczka gwoździ za dziesięć groszy. Co się stało?

— Został zabity, jeśli to o niego chodzi. Zatrzymał się u Storma w Zagubionej Dolinie. Ludzie mówili, że byli partnerami. Storm miał takiego wrednego konia; nadal ma tę bestię i czasami na nim jeździ. Wielkiego czerwonego ogiera, którego znają wszyscy w promieniu pięćdziesięciu mil; nazywają go Zniszczenie. Hale - jeśli tak się nazywał - musiał być pijany. Znaleźli go następnego ranka w boksie starego Zniszczenia. Ogier zatłukł go na śmierć. To był bałagan. Trudno było nawet mieć pewność, co to za człowiek - widziałem go i aż mnie ciarki przeszły.

— Chętnie bym się tego dowiedział — mruknął Haveril. — Chciałbym wiedzieć, czy to był Hale. Widzisz, Luke, to było tak: Na początku było nas tylko dwóch. Tom Storm i ja. Potem w Rio poznaliśmy innego Amerykanina, pochodzącego z Nowej Anglii, ale nie takiego, za jakiego można by go uważać; Willard Hale był dziki jak żbik. Później on i Storm bardzo się zaprzyjaźnili. Kiedy Storm pozbawił mnie tego, co do mnie należało, Hale współpracował razem z nim. Obaj razem szli ręka w rękę. Zawsze uważałem, że byli w zmowie, aby obrać mnie ze wszystkiego co miałem. No cóż, chciałbym to wiedzieć!

— Lepiej uważaj, mały — warknął Luke — bo jeszcze mi coś powiesz!

Ross tylko się roześmiał i wychylił z siodła, by położyć ciężką dłoń na kościstym ramieniu Luke'a Olivera.

— Powiem ci wszystko, staruszku. Wszystko, co wiem. Tylko daj mi trochę czasu, dobrze?

— Może nawet się złamiesz i powiesz mi, jaki bank obrabowałeś albo który pociąg zatrzymałeś, żeby zdobyć te sto tysięcy dolarów, które masz owinięte wokół brzucha — rzucił Luke, starając się zachować szyderczy ton.

— To trochę dziwne — zauważył Ross cichym głosem — że koń zmasakrował Willarda Hale'a. Niewiele koni tak się zachowuje. Niewielu ludzi tak kończy. Tak, to trochę dziwne. Ilu ludzi to widziało?

— Do czego zmierzasz? Mówiłem ci, że znaleźli go w boksie, następnego ranka. Nikt tego nie widział, nikt poza starym Zniszczeniem.

Jechali dalej, znów w milczeniu. Ross Haveril, przemierzając stare szlaki, odnajdując wspomnienia w skałach, drzewach i zakrętach, mocno zatonął w myślach. W końcu jednak, mając wiele na głowie, odezwał się.

— A więc Tom Storm, który nigdy nie był w tej części świata, przyleciał tu jak gołąb pocztowy, z powodu tego, co mu opowiadałem; ponieważ byłem samotny i tęskniłem za domem, opowiedziałem mu wszystko o Sekretnej Dolinie, Zagubionej Dolinie i Rajskiej - i zapragnął tego wszystkiego. To najlepsza kraina na świecie, Luke.

— Czy ja tego nie wiem?

— Może. Może i tak. W każdym razie sprawa wygląda następująco. Tom Storm, z kieszeniami wypchanymi złotem, które wyjął z moich spodni, przyjechał tutaj zabierając ze sobą Willa Hale'a, i zdobył Zagubioną Dolinę. On i Hale siedzieli tam we dwu, upijali się i być może zakochali się w tej samej dziewczynie, a ogier Storma, Zniszczenie, zamordował Willarda Hale'a - i nikt tego nie widział! Chcesz mnie rozśmieszyć, ty stary pastuchu?

— Cholera, już raz cię o to pytałem, do czego zmierzasz?

— Nieważne — powiedział Ross Haveril. — Jedźmy dalej!

— Ale ty mi jeszcze nie powiedziałeś, dokąd jedziemy! Mam ochotę zagrodzić ci tu drogę, zrzucić cię z twojego wielkiego konia, ściągnąć ci spodnie i spuścić ci lanie, jak to robiłem, gdy miałeś trzy-cztery lata. W swojej głowie nie stałeś się dzisiaj dużo starszy.

Ross Haveril znów zaczął się śmiać i wychylił się, by klepnąć starego przyjaciela w ramię, ale Luke Oliver uchylił się. Jechali więc dalej. Przez cały czas Luke Oliver zastanawiał się:

— Gdzie my jedziemy? Dokąd wlecze mnie ten dziki Komancz?

## Rozdział X

**R**oss Haveril prowadził ich prosto w górę grzbietu, starym, przetartym, stromym szlakiem, aż do Górskiego Domu, siedziby Black Jacka Devlina. Było jeszcze wcześnie jak na sobotnią noc; dom był jasny od blasku lamp naftowych błyskających światłem z dwunastocalowych posrebrzanych reflektorów; kulka ruletki klikała staccato swoje żwawe zaproszenie, wokół niewielkiej misy fortuny, słychać było suchy trzask żetonów pokerowych i turlanych kości, podczas gdy ponad tymi pomniejszymi dźwiękami wznosił się dudniący, lekki grzmot ludzkich głosów, ludzi, którzy pili i którzy byli gotowi w każdej chwili przerwać i zaśpiewać *Sweet Adeline* lub puścić się w rytm *Down Where the Wurtzburger Flows*.

Ross Haveril podszedł do drzwi, a potem tylko na krok wszedł do sali i stanął, przyglądając się wszystkiemu. Luke Oliver, stojący tuż za nim, w pierwszej chwili nie dostrzegał nikogo spoza Rossa Haverila, i oczy Luke'a wydłużyły się w wąskie szparki.

Rose Devlin była oczywistym obiektem, siedziała na wysokim stołku nad układem faraona. Luke zauważył, że poszukujące spojrzenie Haverila odnalazło ją, a oczy Rose Devlin przelotnie opuściły stół, by spojrzeć na Rossa, lecz zauważył też, że Ross zaraz odwrócił głowę, nie zwracając na nią uwagi, szukając wyraźnie kogoś innego.

Przez chwilę wszystkie oczy skupiały się na młodym Haverilu. Do tej pory wszyscy wiedzieli, kim on jest, włóczęga Haveril, który powrócił po tylu latach, i wszyscy wiedzieli o jego spotkaniu z Tomem Stormem, którego wielu było świadkiem. Za barem Hannigan przyglądał mu się uważnie i z niechęcią w oczach, a w innej części sali stał Black Jack Devlin. Między Black Jackiem i jego wiernym sługą Hanniganem, przemknęło szybkie pojrzenie. Hannigan sięgnął pod bar.

Na krótką chwilę w sali zapanowała cisza; karty przestały szeleścić, żetony przestały stukać i nawet wesoła, mała kulka z kości słoniowej leżała nietknięta tam, gdzie wpadła w kole. Wędrujące spojrzenie Rossa Haverila w końcu odnalazło Black Jacka Devlina.

— Gdzie jest Storm? — zapytał.

— Pojechał do domu — odpowiedział Devlin. Haveril odwrócił się i wyszedł, a Luke Oliver deptał mu po piętach. Wsiedli na siodła i pojechali dalej. Luke nawet nie zapytał dokąd. Teraz było już jasne, że jadą do Zagubionej Doliny.

— A tak właściwie, co za ptaszek z tego małego kogucika Valdeza? — zapytał nagle Ross. — To grzechotnik, skorpion, tarantula – czy po prostu ropucha domowa?

— Co ci zrobił Valdez? — spytał Luke.

— Kupił mnie razem z moją skórą, kopytami i rogami. Dał mi sto dolarów, żebym sprzedał mu duszę. A ja wziąłem tę stówę! Jeszcze ją mam.

— Valdez stracił pieniądze — mruknął Luke. — Ty nie masz duszy i nigdy jej nie miałeś.

— Co jest między Valdezem a Tomem Stormem?

— Przyjaźń, jak sądzę. Często są widywani razem. Ten hiszpański dżentelmen jest niezłym hazardzistą, albo tak mu się wydaje; w każdym razie ciągle gra i przegrywa. Idzie do swojego *buen amigo* Storma po pieniądze; Storm zawsze ma pieniądze i mu je pożycza.

— I wchodzi na hipotekę Rajskiej Doliny?

Luke wzruszył ramionami.

— Skąd mam wiedzieć? Może.

— Ale oni są przyjaciółmi, prawda? I Valdez daje mi sto dolarów, żebym mu powiedział, co takiego Storm mi zrobił, że go tak zaatakowałem dzisiejszego wieczora! Zaś sam Valdez nazywa Storma tchórzliwym psem! W dodatku Storm jest zakochany w dziewczynie Devlina - i chce poślubić tę małą Valdezów? Luke, mój stary, mam przeczucie, że życie czasami może zrobić się bardzo ciekawe!

— Do diabła z tobą, Ross! Nie wiem, czy pojadę z tobą dalej! Nie powiedziałeś mi ani słowa o tym, skąd wziąłeś tyle pieniędzy. Ja nie jestem mięczakiem, ale jeśli wdałeś się w rozbój na drodze, a jestem pewien, że tak, no cóż, płyń sobie dalej własnym canoe, a mnie pozwól dopłynąć do brzegu.

Te słowa - a raczej myśl zrodzona ze słów – spowodowały, że Ross zastygł jak wryty. Wstrzymał konia i wyciągnął rękę, żeby zatrzymać Luke'a.

— Luke! Mam pomysł! Tak, wybierałem się z wizytą do Storma, ale to może trochę sobie poczekać. Chciałem, zanim zatłukę szczeniaka na śmierć, spłacić hipotekę Sekretnej Doliny. Lecz wtedy Storm też zacznie pytać, skąd wziąłem te wszystkie pieniądze. Nie chcę tego. Niech myśli, że jestem spłukany. Niech Valdez też tak myśli i wszyscy inni. Ty i ja wpadniemy z powrotem do Black Jacka i zagramy sobie w faraona albo w ruletkę! Zgarniemy parę tysięcy, a potem pójdziemy do Storma z naszymi uczciwie wygranymi pieniędzmi. No dalej!

— Miałeś jakieś dwanaście-piętnaście lat, kiedy stąd zwiałeś — prychnął Luke. — Teraz zachowujesz się, jakbyś miał sześć. A skąd ci przyszło do głowy, że wygramy?

Po raz drugi tej nocy Ross Haveril sięgnął do swojego pasa z pieniędzmi. Luke zapalił mu zapałkę, w czasie kiedy liczył. Potem Ross wepchnął w pomarszczoną starą dłoń Luke’a garść pieniędzy, złota i pogniecionych banknotów.

— Tu jest około pięciu tysięcy, Luke — powiedział i ponownie zapiął pas. — Weź je. Niech ludzie myślą, że to twoja forsa. Ja pożyczę od ciebie. Rozbijemy bank.

— Niech mnie diabli, jeśli się zgodzę! — odparł mu Luke i zabrzmiało to równie groźnie jak świst kuli.

Pięć minut później Luke Oliver i Ross Haveril, ramię w ramię, weszli ponownie do Górskiego Domu. Ross podszedł prosto do Black Jacka Devlina.

— Nie jestem tutaj, żeby sprawiać kłopoty, Devlin — powiedział. — Gdyby Storm tu był, mogłoby być inaczej, ale go nie ma. Oto mój stary przyjaciel, Luke Oliver. Jechał do Doliny Storma, żeby spłacić hipotekę. Kazałem mu tu wpaść i spróbujemy podwoić jego pieniądze. Zamierza na mnie postawić, obaj chcemy tylko zagrać - i będziemy spokojni jak trusie.

— W porządku — powiedział Black Jack. — Jak chcesz, Haveril.

A potem popatrzył na Luke'a i Ross wiedział, że zastanawia się, skąd Luke ma pieniądze.

Ross szybko ocenił możliwości sali. Lubił pokera, ale nie widział gry, która obiecywałaby szybką akcję i spore stawki. Był faraon, dziewczyna Devlina siedziała nad nim na swoim stołku, a faraon był dobrą, czystą grą. Potem były kości, a kości toczyły się szybko. No i była ruletka. Pomyślał: „Zagram w ruletkę, jeśli uda mi się zmusić tego hazardowego dzieciaka Devlina do współpracy!”.

Na ile mogła stwierdzić, nawet na nią nie spojrzał. Godzinę temu krzyknął: „Dziewczyno!” i wydawał się być gotów wyrwać ją spod dachu jej ojca i pogalopować z nią na pustkowia. Tym razem ją ignorował.

Ale Black Jack go zaprosił, żeby wybrał sobie grę, podszedł więc do stołu z faraonem i stał przez minutę lub dwie, obserwując co się dzieje. Wtedy po raz pierwszy zdawał się ją zauważyć.

Zdjął kapelusz.

— Dobry wieczór, panienko — powiedział uprzejmie.

Rose-alba schyliła głowę o ułamek cala.

— Dobry wieczór — powiedziała. — Czy teraz faraon?

Pokręcił przecząco głową.

— Czy kiedykolwiek grywasz w ruletkę? — spytał.

— A czy ryba kiedykolwiek pływa, drogi panie? — odparowała.

— Luke! — zawołał Haveril. — Chodź tutaj. Ile masz pieniędzy?

On i Luke zainscenizowali swój numer, Haveril zrobił większość roboty, Luke przyjął tylko jego wskazówki.

— Ile chcesz, mały? — spytał.

— Chciałbym milion — uśmiechnął się Haveril. — Ale wezmę parę setek. Masz tysiąc? Może dwa-trzy tysiące? Daj mi!

Wyciągnął rękę. W sali znów zapadła cisza. Czy ktoś kiedyś słyszał, żeby zadano takie pytanie Luke’owi Oliverowi? Kiedy ten pechowiec Luke miał więcej pieniędzy, niż wystarczyłoby mu na następną parę butów?

Luke włożył rękę do kieszeni i wyjął garść pieniędzy, złota i pogniecionych banknotów, które wyglądały niechlujnie i niesamowicie bogato. Odliczył Rossowi Haverilowi trzy tysiące dolarów.

— Daj jeszcze, Luke — powiedział Ross. — Trzy nigdy nie było moją szczęśliwą liczbą. Jeszcze tysiąc, stary.

Luke dał mu kolejny tysiąc. Ten tysiąc Ross natychmiast podał dziewczynie Black Jacka Devlina.

— To twoje, mała — powiedział, — jeśli zrobisz dla mnie parę obrotów kołem.

Z jakiegoś niejasnego powodu, którego Rose Devlin nie miała czasu zgłębiać, zaczerwieniła się. Miała zamiar rzucić mu pieniądze z powrotem w twarz. Ale powstrzymała ten impuls i zsunęła się ze swojego stołka, nie mówiąc ani słowa. Poprowadziła ich do stołu do ruletki, zaś krupier, który tam stał, słysząc każde słowo, tak jak wszyscy inni w pomieszczeniu, oddał jej swoje miejsce. Następnie rzuciła na stół pieniądze Rossa Haverila.

— Nie lubię cię ani niczego co jest z tobą związane, panie Jakiśtam — powiedziała — ani nie życzę sobie żadnej twojej dobroczynności - zwłaszcza, że to pieniądze Luke'a Olivera, a nie twoje. Jeśli chcesz się ich pozbyć, obstaw, a kasyno przyjmie je dosyć szybko.

Ross stał tam, patrząc na nią i na początku w jego spojrzeniu było tylko bardzo żywe uznanie: potem pojawił się szeroki uśmiech.

— Daję ci ten tysiąc dolarów, Rose Devlin — oznajmił.

— Nic takiego, Rossie Haveril! Nie wezmę tego!

— Ależ weźmiesz! Zrobisz to!

— Nie zrobię! A teraz chcesz grać, czy…

— Jestem gotów, kiedykolwiek tylko będziesz chciała. Wiesz, co to znaczy, mała panienko?

Zakręciła kołem, a kulka z kości słoniowej zaczęła wirować jak szalona. Wtedy Ross powiedział:

— Stawiam tysiąc dolarów na czerwone. To dlatego, że wiem, że wypadnie czarne! Widzisz? A ty zgarniesz tysiąc, a to mój prezent dla ciebie — a jeśli chcesz pobiec i oddać go kasynu, to też w porządku. A tak, na marginesie, zakładam się z tobą — z tobą, Rose Devlin — zakładam się o darmowego drinka dla wszystkich, że wypadnie czarne i że przegram swój tysiąc!

Postawił tysiąc dolarów na czerwone i stał, patrząc na nią, jego oczy drażniły ją i szydziły z niej.

— Przyjmuję zakład — odparła dziewczyna, jej głos przypominał cienki lód pękający na zimowym stawie. A ona przyjęła go, ponieważ dla córki Jacka Devlina było niemożliwym, żeby odrzucić jakikolwiek zakład.

Ludzie zaczęli zbierać się przy stole. Ross nie obserwował kulki, jak większość ludzi, ale utrzymywał wzrok na jej twarzy. Na twarzy, która była starannie odwrócona od niego.

Kulka wskoczyła do misy i zaczęła klikać na przegródkach, zdając się mieć wielkie trudności z podjęciem decyzji, czy wypadnie czerwone czy czarne, czy parzyste czy nieparzyste, czy na tę, tamtą czy inną kolumnę; być może miała wylądować na zielonym, zerze czy podwójnym zerze. Ale Ross na nią nie spojrzał. Nawet kiedy się zatrzymała, przez cały czas patrzył na twarz dziewczyny. Chciał zobaczyć, czy w ten sposób będzie w stanie rozróżnić, jaki jest wynik.

Nie, nie potrafił niczego powiedzieć. Black Jack ją tego nauczył. Więc w końcu spojrzał w dół. A potem nagle wybuchnął jednym ze swoich wielkich, donośnych śmiechów.

— Oho! — krzyknął do niej. — Jak ci mówiłem! Jest czarne, więc bierzesz tysiąc jako prezent od swojego nowego przyjaciela! Jest czarne, więc stawiasz darmowe drinki! Wygrywam w obie strony! — i dalej się śmiał.

Wśród zebranych ludzi byli tacy, którzy patrzyli to na niego, to na siebie, a ich spojrzenia mówiły: „Ten facet jest szalony!” Ponieważ nie było wątpliwości co do jego szczerości, jego wielkiej radości. Stracił tysiąc dolarów, które jej obiecał, i naciągnął ją na drinki dla wszystkich!

Rose Devlin zgarnęła pieniądze. Odwróciła się w stronę baru.

— Hannigan — powiedziała zupełnie chłodno, ale rumieniec na jej policzkach zrobił się jeszcze większy niż przedtem, a kąciki jej ust lekko drgnęły, — drinki ode mnie. — Potem spod wysoko uniesionych brwi, odrzuciwszy głowę do tyłu, patrząc z góry na Haverila najlepiej, jak potrafiła, powiedziała: — Szampana, panie Haveril?

— Błogosławię twoją duszę, mogłabym się w tobie zakochać! — ryknął Haveril, bardziej zachwycony niż kiedykolwiek. — Szampana, tak. Jeśli napijesz się ze mną!

— Dziękuję, ale…

— Och, bądź sobą, mała. Zachowuj się sportowo, bo i tak taka jesteś.

Uśmiechnęła się do niego i sprawiła, że uśmiech ten wyglądał równie okrutnie jak ostrze noża.

— Dziękuję. Chętnie wypiję z tobą kieliszek.

— A teraz — ostrzegł ją, gdy ich kieliszki się spieniły, — przyjaźń się kończy. Patrz na mnie. Jeśli twoje koło nie jest o wiele bardziej fałszywe niż uśmiech finansisty, rozbiję bank.

— Powodzenia, panie Haveril — powiedziała i nawet stuknęła się z nim kieliszkiem.

— Mam na imię Ross — powiedział jej. — Urodziłem się tutaj. To mój dom. Jestem jednym z was. I mam na imię Ross.

— Powodzenia, Ross!

— Na zdrowie, Ross!

Wypili i, kiedy wszyscy inni pili a przy stole zebrał się gęsty tłum ludzi, Ross Haveril zaczął grać.

Grał szaleńczo, grał lekkomyślnie; miał tylko jeden system, i może to był jedyny system, jaki kiedykolwiek mógłby wygrać, a mianowicie gra bez żadnego systemu. Jeśli jakaś liczba pobudziła jego wyobraźnię, grał na nią. Grał na całej planszy. Ale nie bawił się już czerwonymi i czarnymi, i nie miał zamiaru stawiać na inne, niemal równe zagrania. Zapytał:

— Jaka jest górna stawka, Rose?

Black Jack Devlin stał teraz koło swojej córki.

— Zdejmij mu dziś limit, Rosie — powiedział Black Jack.

Z uporem pokręciła głową.

— Nie! Ten człowiek zawarł pakt z diabłem. I kto w ogóle rządzi tym kołem?

— Czego chcesz, Haveril? — zapytał Devlin.

— Wydać swoje pieniądze — powiedział Ross — Ale żeby było ostro. Mam dokąd pójść.

— Obstawiaj — powiedział Devlin. — Pokryję, nawet choćbym musiał oddać ci mój dom. Niech się kręci, Rose.

Podczas pierwszego ataku Ross rozrzucił po stole kompletnie chaotycznie pięćset dolarów, grając po około sto dolarów na każdą liczbę, która wydawała mu się szczęśliwa. Przegrał, a Rose Devlin zgarnęła wygraną. Wyglądała na zupełnie obojętną; on z kolei na szczerze zainteresowanego, jak chłopiec.

Ponownie postawił pięćset dolarów, stawiając po sto na pięć różnych liczb. Koło znów się zakręciło, a kościana kula popędziła po misie, podczas gdy on stał, obserwując nie grę, lecz dziewczynę. Wtedy po raz pierwszy zdał sobie sprawę z obecności Boba Robertsa. Młody górnik właśnie stanął za Rose. Spoglądał jej przez ramię na starego przyjaciela, i miał poważne, zaniepokojone oczy.

Żadna z liczb Haverila nie wypadła. Pieniądze zostały zgarnięte. W trzech kolejnych szybkich grach poszło dwa tysiące z czterech.

— Nie chcemy przecież przeciągać tej sprawy przez całą noc — powiedział. Wziął pozostałe dwa tysiące w rękę i powiedział: — Daj mi cztery żetony, dobrze?

Wypchnęła je do niego.

— Każdy żeton wart jest pięćset, panie Haveril.

— Jesteś dobra w arytmetyce — uśmiechnął się do niej. — Zobaczmy, jak szybko potrafisz obliczyć, ile jest trzydzieści pięć razy pięćset.

— Siedemnaście tysięcy, pięćset — odparła Rose.

Wyciągnął się nad stołem, by rozłożyć cztery żetony. Jeden na podwójnym zerze, jeden na siedemnastu, jeden na jedenastu, jeden na ostatniej liczbie, trzydzieści sześć. I znów, podczas gdy wszyscy inni w sali obserwowali koło, niektórzy z nich wstrzymując oddech, on utrzymywał wzrok stale na jej twarzy. Pomyślał: „Założę się, że tym razem potrafię wyczytać odpowiedź z jej twarzy!”

Kulka wydawała się wahać, bardziej niż kiedykolwiek wcześniej, by zatrzymać się, klikając, odbijając się i ponownie ześlizgując. Ale wreszcie stanęła na swojej liczbie, historia dobiegła końca, i w sali zapadła cisza — a Ross nadal patrzył na dziewczynę. Powoli uniosła głowę; spojrzała mu prosto w oczy, jej oczy były równie spokojne jak jego — i za nic w świecie nie był w stanie dostrzec na jej obliczu najmniejszej wskazówki, czy wygrała, czy przegrała.

Nie odezwał się nawet słowem, tylko szybko spojrzał na stół. Potem, dokładnie tak jak zrobił to przy pierwszym zakładzie, kiedy przegrał swój pierwszy tysiąc, wybuchnął salwą śmiechu. Był to śmiech, który brzmiał jak radosny grzmot; nie było w nim żadnej złośliwości ani kpiny, tylko nieskrywana radość. Był równie prosty, szczery i radosny jak śmiech dziecka.

Żeton, który postawił na numer trzydzieści sześć, wygrał. Jego strzał na chybił trafił z hukiem do celu. Wygrał siedemnaście tysięcy pięćset dolarów, podczas gdy jego trzy pozostałe żetony przegrały; czysty zysk z gry wyniósł szesnaście tysięcy dolarów.

— Czy życzy pan sobie w żetonach, czy w gotówce, panie Haveril? — zapytała Rose Devlin i nadal nawet nie drgnęła.

— Ależ, oczywiście w żetonach!

Wtedy nagle jakby zdawał się zastanawiać; odwrócił się do Luke'a Olivera stojącego tuż za nim i powiedział:

— A co ty na to, Luke? Skoro to twoje pieniądze, a ja po prostu dobrze się bawię, grając dla ciebie, może lepiej byś się odezwał, zanim będzie za późno!

Luke popatrzył na niego wściekle: był niebezpiecznie blisko wybuchu, w stylu: „To nie moje pieniądze i dobrze o tym wiesz, i niech mnie diabli wezmą, jeśli dam się wkręcić w którekolwiek z twych szalonych poczynań.” W końcu jednak Luke tylko spojrzał wściekle i trzymał język za zębami.

Ross zaś oznajmił:

— Dobra! — jakby przyjął milczenie Luke'a i jego złowrogie spojrzenie, jako pełne pozwolenie na dalszy ruch do przodu. I powiedział po raz drugi:
— No pewnie, oczywiście żetony. Siedemnaście niebieskich za siedemnaście tysięcy i jeden czerwony za pięćset. Będziemy się dobrze bawić, ludziska.

Zręczne palce dziewczyny szybko ułożyły potrzebne żetony i popchnęły je do przodu. Ross je zabrał.

Dziewczyna i jej ojciec wymienili spojrzenia. Było to tylko krótkie spojrzenie i nie powiedziało niczego żadnemu pobocznemu obserwatorowi. Nawet nie uniosła brwi, Black Jack nie potrząsnął głową, nie skinął głową, nie wzruszył ramionami.

Koło się zakręciło, kula popędziła — a Ross Haveril zauważył, że patrzy na Boba Robertsa stojącego blisko córki Devlina. Pomyślał, że szczęka Boba stwardniała, że w jego oczach również pojawiło się coś twardego.

„Kocha tę dziewczynę całym sercem”, pomyślał Haveril.

Następnie zwrócił uwagę na stół i szybko obstawił zakład.

Ponieważ nie grał według żadnego systemu, nie miał żadnego planu; taki był jego sposób na obstawianie zakładów: chaotycznie, gdy tylko naszedł go jakiś impuls. Teraz miał zamiar rozłożyć żetony na zupełnie przypadkowe liczby, ale nagle zmienił zdanie. Kiedy kulka wciąż wirowała, przesunął cały swój stos, który w tej chwili zawierał osiemnaście tysięcy dolarów, na czerwone.

Tak jak poprzednio, wszystkie oczy, oprócz jego, zwrócone były na grę, ale tym razem nie patrzył na twarz dziewczyny, lecz na twarz Boba Robertsa. Szczęki Boba zacisnęły się mocniej niż kiedykolwiek, a Ross zrozumiał. W oczach Boba to nie Black Jack Devlin grał, lecz córka Black Jacka. I może Bob wiedział, że jeśli szalone szczęście Rossa Haverila będzie mu sprzyjać dalej, przez kolejną grę lub dwie, prawdopodobnie znajdzie się w miejscu, w którym poczuje ukłucie nieszczęścia.

Kulka kliknęła, wpadła i zatrzymała się — a Ross zobaczył nagły skurcz mięśni Boba wokół ust i oczu.

Wylosowana zostało czerwone. Osiemnaście tysięcy Haverila zmieniło się teraz w trzydzieści sześć.

Ponownie się roześmiał, nie z drwiną, złośliwością, pychą czy nawet triumfem; po prostu roześmiał się z czegoś zabawnego. Śmiał się, jakby oczekiwał, że inni dołączą do niego — jakby ta rzecz była tak przyjemnie

zabawna, że z pewnością Black Jack i Rose również dołączą do niego z wybuchami radości.

Nikt inny się nie zaśmiał. Nawet Luke, który tylko stał i gapił się.

Black Jack był przyzwyczajony do sporadycznego przegrywania, tak samo jak i do wygrywania, i nie dawał tego po sobie poznać. Jego córka wyglądała tak samo chłodno i niewzruszenie jak on. Lecz jej głos zabrzmiał bezbarwnie i cicho, gdy spytała:

— Gotówka czy żetony, panie Haveril?

— Żetony! — odpowiedział jej natychmiast. — Niech będą żetony!

Wtedy Black Jack Devlin powiedział, równie bezbarwnie jak Rose:

— Z niechęcią łamię zasady, ale pragnąc zachować uczciwość w stosunku do ciebie, muszę powiedzieć, że nie będąc przygotowanym dziś wieczorem na żadną znaczącą grę, zapasy gotówki jakie mam pod ręką, są ograniczone. Załóżmy, że jeśli zagrasz tak jeszcze raz i wygrasz, dom będzie ci winien łącznie pięćdziesiąt cztery tysiące dolarów. I to mniej więcej wszystko, co mam przygotowane.

Haveril popatrzył na niego uważnie, próbując ocenić sytuację. Devlin mówił wcześniej: „Zdejmij mu limit", i jeszcze dodał: „Pokryję, nawet choćbym musiał oddać ci mój dom". Być może Black Jack wychwycił jego myśli; z pewnością przypomniał sobie swoje własne słowa sprzed kilku minut. Dodał więc:

— Gdybyś wygrał całą moją gotówkę i kontynuował grę, zrobiłbym to, co obiecałem i postawiłbym mój dom.

— Jaką wartość mu przypisujesz? — zapytał Haveril.

— Sto tysięcy i przekazałbym go w całości, bez reszty.

Ross zwrócił się do Luke'a Olivera.

— Co ty na to, Luke? Skoro to twoje pieniądze, lepiej się odezwij. Chcesz mieć ten tu dom Devlina? Wart jest dla ciebie sto tysięcy?

— A co, do cholery, zrobiłbym z takim domem? — odgryzł mu się Luke i po raz pierwszy ludzie się roześmieli, bo wszyscy wiedzieli, że Luke z wyboru mieszkał całe życie w niemal pustym starym baraku.

— No to jedźmy dalej — oznajmił Ross i zwrócił się do Rose Devlin. — Ale gdybym nawet rozbił bank dla Luke'a, to on i tak jest gotów pozwolić ci zachować dach nad głową.

Nie odezwała się, nawet nie skinęła głową, ani się nie zawahała. Mała, kościana kuleczka znów wesoło zawirowała.

Tłum w tej chwili stłoczył się ciasno przy stole; ludzie stali na palcach i wyciągali szyje, żeby lepiej widzieć. Haveril nie śpieszył się z grą. On również stał, obserwując kulkę; czekał na swój czas, na „przeczucie". Ale w końcu, kiedy pozostało jeszcze trochę czasu, zdecydował.

— Osiemnaście tysięcy na czerwone, powtórzmy — powiedział.

Teraz nie musieli już długo czekać; energia kulki była prawie na wyczerpaniu. Wpadła do misy, podskoczyła, kliknęła i zatrzymała się.

Powtórzyło się czerwone.

Ross tym razem się nie roześmiał. Człowiek nie może ciągle śmiać się spontanicznie z tego samego dowcipu; stałby się on wtedy nudny na skutek powtarzania, nawet gdyby to był jeden z najweselszych żartów na

świecie. Black Jack Devlin odliczył pięćdziesiąt cztery tysiące dolarów, część w złocie, większość w rewersach na zakłady.

Rose Devlin nakryła stół płótnem. Black Jack powiedział do ucichłej sali:

— To wszystko na dzisiejszy wieczór, chłopcy. Bank jest pusty.

Ross Haveril bez liczenia zebrał swoje łupy, zerwał z głowy Luke'a Olivera stary zniszczony kapelusz, wrzucił do niego pieniądze i oznajmił z uśmiechem:

— Proszę, Luke. Weź i baw się dobrze. Ale pamiętaj, że pracowałem dla ciebie dziś wieczorem, jako twój dobry i wierny sługa, więc jeśli pewnego dnia przyjdę do twoich tylnych drzwi po jałmużnę, może dasz mi kubek kawy i kanapkę.

Po czym przecisnął się przez tłum i wyszedł.

Luke Oliver stał jak człowiek we śnie. Otworzył usta, żeby powiedzieć coś Black Jackowi Devlinowi, coś córce Black Jacka — lecz nie potrafił wymyślić niczego, co mógłby powiedzieć. Pośpieszył za Rossem Haverilem, mrucząc pod nosem do siebie, trzymając ostrożnie swój stary kapelusz w obu rękach, jakby zawierał jajka.

# Rozdział XI

Gdy za Haverilem i Lukiem zamknęły się drzwi, ciszę w sali gier przerwał wybuch rozmów. Niektórzy ludzie wrócili do baru na drinka lub dwa przed długą jazdą do domu; inni stali w grupach, dyskutując o tym, co się wydarzyło. Wielu chciało dowiedzieć się wszystkiego o Rossie Haverilu, kim i czym był oraz skąd pochodził.

Rose Devlin nawet nie spojrzała na ojca. Ruszyła w stronę drzwi, chcąc wymknąć się samotnie w ciemności werandy.

Bob Roberts podążył za nią.

— Nie teraz, Bob…

— Posłuchaj. Chciałem z tobą porozmawiać…

— O tym twoim przyjacielu? Rossie Haverilu? Czy on w ogóle jest człowiekiem, czy tylko diabłem, który wpadł tutaj na wakacje?

Choć potrafiła skrywać swoje emocje, wiedział, co dla niej znaczy tak wielka strata. Powiedział:

— Nie wiem, czy jest moim przyjacielem.

— Dlaczego? Bo wygrał? Bo jest ci mnie żal?

— Nie. Nie o to chodzi. Z powodu czegoś innego, o wydarzyło się w Sekretnej Dolinie, po tym jak stąd wyjechaliśmy. Padły pewne słowa.

Otworzyła drzwi, by wyjść; stała w nich przez chwilę, spoglądając na salę, jakby nagle żywo czymś zainteresowana - nie potrafił zrozumieć, co tak przykuło jej uwagę. Przy barze Hannigan z ponurą miną rozstawiał butelki i kieliszki.

— Ten łazik, ten włóczęga Haveril — warknął, — z pewnością ma diabelskie szczęście.

Wychodząc z sali, Black Jack Devlin przeszedł przez drzwi prowadzące w głąb rozległego domu. Gdy to robił, jego wzrok przykuło spojrzenie człowieka, który już wcześniej uważnie go obserwował; jego spojrzenie było niemalże głodne. Black Jack wykonał leciuteńki gest, prawie niezauważalne uniesienie podbródka, któremu towarzyszyło nieznaczne opadnięcie powiek. Nie zatrzymał się, przeszedł przez drzwi i zamknął je za sobą.

Człowiek, który posłał za hazardzistą tak badawcze spojrzenie, był jednym z pół tuzina przybyszy, którzy przyjechali z okolicy Broken Ridge, położonej nieco na uboczu, mniej więcej w połowie drogi między Górskim Domem a kopalniami na północy. Zbudowany jak goryl, miał czarną brodę, wyłupiaste oczy i długie wargi, ubrany był w znoszone kowbojskie buty i skórzane nogawice, kraciastą koszulę oraz skórzaną kurtkę, cieszył się równie twardą reputacją jak każdy, kto kiedykolwiek tu przybył; i tak też wyglądał.

Nazywał się Bull Strake.

Kołysząc się niezgrabnie na pałąkowatych nogach, podszedł do baru. Jeden rzut oka przez ramię przyciągnął do niego kolejnych ludzi, dwóch chłopców o nazwisku Bedloe oraz Jake'a Go-downa, mieszańca krwi indiańskiej, murzyńskiej i portugalskiej. Razem z Bullem Strake, wszyscy pochodzili z Broken Ridge.

Cała czwórka dopiła w pośpiechu swoje drinki i wyszła na zewnątrz. Stojący na werandzie Bob Roberts i dziewczyna Devlina widzieli, jak dobiegają do koni, wskakują na siodła i odjeżdżają.

Ross i Luke, z nocną wygraną znajdującą się ponownie w posiadaniu Rossa, jechali już powoli w kierunku Zagubionej Doliny i Toma Storma. Ross miał przy sobie pieniądze, jako że Luke nie chciał mieć z nimi nic wspólnego. Warcząc przy każdym kroku, zaciekle ściskając swój stary kapelusz, który, jak mamrotał Luke, nie był przeznaczony do trzymania w środku niczego cenniejszego niż głowa jego właściciela - a to, jak oznajmił Luke, nie było warte złamanego grosza, co dobrze wiedzieli on i wszyscy inni - podążał za młodym Haverilem do ich koni. Tam wreszcie wybuchł.

— Bierz to ode mnie, do cholery — oświadczył. — Nie tknąłbym tego więcej, nawet kijem o długości dziesięciu stóp i powiem ci dlaczego. To nie jest moje, ponadto zostało zdobyte za kradzione pieniądze, a poza tym…

— Daj spokój, Luke — powiedział Ross.

— Bierz to, do diabła, albo rzucę to na ziemię!

Ross wyciągnął zawartość kapelusza obiema rękoma i upchnął ją po kieszeniach.

— No dalej, stary obolały łbie — szturchnął go Ross, a Luke wiedział, że się uśmiecha, gdy wsiadał na konia.

— Nie. Ja wracam do domu.

Lecz choć marudził, dał się przekonać. W końcu nie widział Rossa od wielu lat i lubił tego głupiego dzieciaka, a co więcej, z całego swego starego, pomarszczonego serca pragnął być obecnym przy scenie, kiedy Haveril i Tom Storm znów się spotkają.

Nie skończył jednak z szukaniem winnych. Potępił wszystko, co Ross kiedykolwiek zrobił, przez wszystkie dni swego życia, a na koniec szydził z niego ze szczerą rozkoszą:

— Czy nie masz dość rozumu, by wiedzieć, że to największa głupota, jaką można sobie wyobrazić, jechać przez ten kraj z beczką pieniędzy przy sobie, tak jak my to teraz robimy? W okolicy jest mnóstwo ludzi, którzy wiedzą, że masz przy sobie ponad pięćdziesiąt tysięcy dolarów. To jak błaganie watahy wilków, by odwiedziły tłuściutką owieczkę.

— Cholera, Luke. Ci chłopcy nie są jakąś bandą rzezimieszków. Większość z nich…

— Sporo o nich wiesz — burknął Luke. — Przyjrzałem się tej czeredzie i znam każdego z nich. W każdym razie, w tym domu jest w tej chwili przynajmniej z tuzin takich, którzy podziurawiliby cię serią kulek za pięćset dolarów, nie mówiąc już o tysiącu. A pięćdziesiąt tysięcy - uff!

Ściągnął kapelusz, który dopiero co nałożył, i pomasował czoło zrogowaciałymi palcami.

— Jeszcze jedna rzecz — dodał — najprawdopodobniej pomyślą sobie, że wracamy do Sekretnej Doliny. Myślę, że to może być szczęśliwy traf, iż jedziemy w drugą stronę.

— Zauważyłem, że wciąż nosisz czterdziestkę piątkę — odparł Haveril, a Luke zauważył, że wciąż się uśmiecha. — Założę się, że to ta sama stara armata, którą miałeś, kiedy byłem dzieckiem; założę się, że strzelałem z niej wiele razy. Raz udało mi się z niej ustrzelić królika, pamiętasz? A ja nabrałem zwyczaju noszenia kabury pod pachą. Gdyby chłopakom przyszło do głowy, żeby się zabawić, założę się, że dostalibyśmy co najmniej tylu z nich, ilu oni nas.

— Nie licz na mnie — zadeklarował Luke. — Schowałbym się w krzakach i pozwolił ci walczyć samemu.

W odpowiedzi Ross wyciągnął do niego rękę, poklepał go po ramieniu i roześmiał się. Potem Ross zaczął mówić o planach.

— Sprawy osobiste Toma Storma i moje mogą chwilę poczekać - powiedział w zamyśleniu. — On nie ucieknie, ja też nie. Przede wszystkim musimy spłacić hipotekę, którą ma na Sekretnej Dolinie. Potem, Luke, mój stary, jeśli zechcesz odsprzedać ją Haverilowi, podasz swoją cenę, a ja ją zapłacę.

— Nie wiem, czy będę miał na to ochotę — mruknął Luke, nie będąc w nastroju na godzenie się na cokolwiek.

Jakieś dwie lub trzy mile od Górskiego Domu wjechali na stromy, zygzakowaty szlak, który prowadził w dół ze szczytu górskiego grzbietu do długiego, otwartego odcinka równego terenu, osadzonego jak szeroki stopień na zboczu góry. Zanim jednak wjechali na ten pas poziomej ziemi, pomimo odgłosu kopyt koni stukających o skaliste podłoże, oraz staczających się kamieni, usłyszeli za sobą stukot kolejnych kopyt. Luke wykręcił głowę, nasłuchiwał przez chwilę uważnie, po czym zauważył gniewnie, acz z nutką ponurego rozbawienia w tonie:

— A nie mówiłem? Jadą za nami, czterech czy pięciu ludzi, i pędzą co sił w końskich nogach.

— Paru z chłopców wraca do domu — stwierdził Ross beztrosko. — Albo po zamknięciu sali gry jadą sobie gdzie indziej.

— Bardzo im się spieszy, mały. Przypuśćmy, że ty i ja też się trochę przyśpieszymy.

Dwójka towarzyszy zjechała więc stromym zjazdem najszybciej jak potrafiła i wkrótce znalazła się na równym terenie. W ten sposób wydostali się z ciemności skalistego szlaku wijącego się wśród karłowatego lasu i głazów wielkości domu, oraz wyłonili się w świetle gwiazd. Usłyszeli jeszcze głośniejszy stukot kopyt; niewidzialni jeźdźcy, jadąc ostro, doganiali ich.

— Każde obślizgnięcie złamie koniowi nogę przy takiej jeździe! — powiedział gniewnie Ross. — Muszą być pijani.

— Pijani, niech cię. Wyczuli łatwe pieniądze. Wystarczająco dużo, by uczynić tę bandę bogaczami na całe życie. Nosisz ostrogi, co? Umiesz się nimi posługiwać?

— Jeśli przypadkiem masz rację… No cóż, ucieczka nie jest zbyt zabawna, Luke.

— Jest zdecydowanie bardziej zabawna niż bycie okradzionym, mały, i ze dwa razy zabawniejsza niż zarobienie kulki.

Pogonili więc konie i pojechali po równym terenu. Nie ujechali jednak daleko, gdy jadący za nimi ludzie, tak niebezpiecznie zjechali ze szlaku z góry, docierając na krawędź półki, i jakiś głos krzyknął do nich:

— Hej, tam! Zaczekajcie chwilę.

Ross nie zatrzymał się, ale zwolnił i obrócił się w siodle, wołając:

— Czego chcecie? Kim wy w ogóle jesteście?

— Poczekaj chwilę — padła po krótkim wahaniu odpowiedź.

— Wygląda na to, że masz rację, Luke — przyznał Ross.

— W takim razie, jedźmy dalej.

— Ruszaj przodem. Ja będę za tobą.

Luke pomknął przed siebie jak ciemna plama w nocy; Ross podążał za nim, choć niechętnie. Wciąż oglądał się za siebie i wydawało mu się, że dostrzega kilka szybko poruszających się postaci, choć widział je bardzo niewyraźnie, ponieważ ciemność była najgęstsza tam, gdzie górski szlak schodził na równy teren. Chwilę później był już pewien, bo rozległ się huk wystrzałów i zobaczył gorące, wściekłe plamy ognia.

Zakręcił koniem po łuku, wyciągając rewolwer z kabury, w której wisiał pod lewą pachą, i wystrzelił dwa razy w odpowiedzi, celując w rozbłyski jakie dostrzegł.

Luke, przeklinając go, zwolnił.

— Ty szalony głupcze, zostaw ich w spokoju. Zatrzymaj się i zacznij walczyć, a na pewno cię dopadną.

— Nie mogą w nic trafić, jadąc w ten sposób, my też przecież się poruszamy, a światło jest takie, jakie jest.

— Jeśli oni nie mogą, to ty też nie możesz, więc jaki sens ma strzelanie?

— Może będę miał szczęście — odparł Ross. — Wygląda na to, że to moja szczęśliwa noc. Ruszaj, Luke, ja cię dogonię.

Ścigający ich ludzie zwolnili, gdy Ross zaczął strzelać; wyczuł wolniejszy rytm kopyt ich koni. Być może myśleli, że zatrzymał się, by walczyć, więc zaczęli jechać ostrożniej.

Przez cały czas Luke Oliver zasypywał Rossa przekleństwami i gniewnymi naleganiami, by jechali dalej z pełną szybkością i wynieśli się z tego bałaganu, ale on też zaczął strzelać. Wyglądało to tak:

— Niech cię szlag, Rossie Haveril! — Bang! — Gdybyś miał choć tyle rozumu, ile Bóg dał gęsiom... — Bang! — Już byśmy się stąd wynosili! — Bang! Bang!

W końcu on i Ross byli w stanie zobaczyć swoich prześladowców na tyle wyraźnie, aby ich policzyć: czterech ludzi, w świetle gwiazd widać było, że jeden z ich wierzchowców to izabelowaty jasny kasztan. Luke już miał zawołać do Rossa, że wie, kim jest jeden z jeźdźców i może odgadnąć nazwiska reszty, gdy do gry włączył się nowy czynnik. Z niewielkiej odległości za czterema mężczyznami i nieco z góry, ze ścieżki prowadzącej w dół od Górskiego Domu, zaczął wołać jeszcze jeden mężczyzna, a jego głos zabrzmiał czysto i wyraźnie w ciszy, która na krótko zapanowała między strzałami. Głos krzyczał:

— Ty tam, Strake! Bull Strake! Uważaj co robisz!

Ross, nadstawiając uszu, wykrzyknął:

— To głos Boba! Ruszył za nimi!

Z byczego gardła Bulla Strake'a wydobył się ryk, a jego rewolwer błysnął i zaczął pluć ołowiem w górę szlaku, gdzie bez wątpienia musiał dostrzec pędzącego za nim młodego Boba Robertsa.

Podczas gdy grupa Strake'a oraz Luke i Ross gwałtownie się zatrzymali, Bob Roberts wciąż jechał. I wciąż się zbliżał. Jego broń również była wyciągnięta i strzelał do Strake'a.

— Dobry, stary Bob! — wrzasnął Ross i wydał z siebie okrzyk którego nie powstydziłby się Komancz, a następną rzeczą, jaką Luke dostrzegł, była szarża Rossa z powrotem przez równy teren, i jego gniewne wrzaski do starego przyjaciela: — Dalej stary, dalej Bob! Złapaliśmy te szczury między nas! Urządź im piekło, Bob!

Wtedy Luke Oliver, niemal płacząc z wściekłości, wbił ostrogi w końskie boki, ale nie po to, by skierować się ku bezpiecznemu miejscu; popędził tuż za Rossem, którego przeklinał przy każdym końskim skoku, a którego w głębi serca kochał jak syna.

W tej właśnie chwili, kiedy najmniej się tego spodziewał, do gry włączył się jeszcze jeden czynnik. Tak jak bez uprzedzenia pojawił się Bob Roberts, tak samo teraz zrobił to inny człowiek, który czaił się w ciemnościach u podnóża stromego zbocza, po którym zjeżdżał młody górnik. Człowiek ten nie odzywał się, ale zarówno Ross, jak i Luke zobaczyli błysk jego broni. Wystrzelił kilka razy w krótkim odstępie czasu i nie byli w stanie stwierdzić, do jakiego celu strzelał. Usłyszeli jednak nagły, szybki stukot końskich kopyt, gdy po oddaniu strzałów odjechał, głębiej w mrok, kierując się na drugi koniec równego terenu. I zdali sobie sprawę, że nagle Bob Roberts przestał strzelać, a jego głos nie odpowiadał na okrzyki Rossa Haverila, zaś sam Ross, rozumiejąc co się stało, opróżnił bębenek broni za niewidocznym, uciekającym jeźdźcem.

Przekleństwa Luke'a Olivera znalazły nowy cel.

— Niech go diabli! — rzucił. — Jakiś strzelec, ukryty w ciemności, zaatakował z zasadzki młodego Robertsa! Niech ich wszystkich diabli, mały. Bierzmy się za nich!

Lecz Ross już pędził jak potwór z samego dna piekieł. Nagle role się odwróciły i to dwóch mężczyzn, szalejących z wściekłości, rzuciło się na czterech, którzy przed chwilą ich atakowali. I w jakiś sposób, ostro jadąc, zarówno Ross Haveril, jak i Luke Oliver, ludzie, którzy wcześniej już nieraz byli w trudnych sytuacjach i zachowali trzeźwość umysłu oraz pewne dłonie, napełnili puste bębenki swoich rewolwerów.

Wjechali prosto w trzask wystrzałów, zobaczyli wściekłe rozbłyski ognia prochowego i pędzili dalej. Przez chwilę wstrzymywali swój ogień i słyszeli tylko świszczące im koło uszu kule, nie odpowiadając. Wiedzieli, że nie będzie drugiej szansy na przeładowanie. Potem Luke krzyknął:

— Załatw ich, mały! — szarpnął konia w tył, zsunął się na ziemię, po czym otworzył ogień.

Buty młodego Haverila dotknęły ziemi niemal w tej samej chwili, co buty Luke'a; ich strzały rozległy się równocześnie. A ponieważ role się

odwróciły, cała sytuacja uległa zmianie. Bull Strake, chłopcy Bedloe - Bud i Carter - oraz Jake Go-down liczyli na atak z zaskoczenia, na przewagę dwóch na jednego; byli zbyt śmiali i pewni siebie, i teraz ponieśli całkowitą klęskę. Nie doładowali wcześniej swoich pustych rewolwerów. Bull Strake ryknął tym swoim byczym głosem, wykręcił koniem i poprowadził odwrót. Pozostali deptali mu po piętach, unikając w czasie jazdy ołowiu, pochyleni nisko nad grzywami koni. Podobnie jak nieznany człowiek, który skrył się w ciemnościach i strzelił do Boba Robertsa, pognali na północ w kierunku górnego krańca równinnego terenu.

— Zostaw ich. mały — powiedział Luke, gdy ich broń znów parzyła dłonie i była pusta. — Tym razem ich nie dorwaliśmy, ale wiemy, kim byli. I lepiej sprawdźmy, co z Bobem. Nie dałbym za niego ani grosza. Boję się, Ross.

Wrócili więc na stromą ścieżkę, a następnie pokonali nią krótką odległość do miejsca, w którym w końcu dostrzegli niewyraźny zarys konia; zwierzę stało bez jeźdźca, wiercąc się, podnosząc głowę, potrząsając nią, ponownie podnosząc, cofając się i zatrzymując, szarpiąc się i cofając ponownie.

Nerwowy koń był równie dobry, jak wskaźnik, który ujawnił im, gdzie obok szlaku leży Bob Roberts. Luke podbiegł do niego pierwszy i padł na kolana, pochylając się nad nim, gdy dołączył do niego Ross. Obaj mężczyźni spojrzeli na siebie w słabym świetle gwiazd; początkowo myśleli, że Bob już nie żyje.

Ale człowiek, nieważne jak ciężko ranny, z reguły nie umiera tak szybko. Po omacku odkryli, że Bob wciąż jeszcze czepia się życia. Kiedy mówili do niego, a on nie odpowiadał, zapalili zapałki, by lepiej mu się przyjrzeć i zbadać jego ranę. Oczy miał szeroko otwarte, odbijały one płomienie zapałek.

— Bob — powiedział Ross Haveril łagodnie, łagodniej niż Luke kiedykolwiek wcześniej. — Bob, stary.

— Dostał postrzał w klatkę piersiową, w górną część — powiedział Luke, a jego dłoń była mokra i lepka od krwi. — Spróbuj znaleźć jakiś suchy sosnowy patyk, Ross, albo coś, co da nam światło. Musimy zatamować krew.

Bob zobaczył ich i próbował coś powiedzieć, ale nie był w stanie. Mięśnie jego szyi rozluźniły się, głowa potoczyła się na bok, a powieki opadły jak ciężkie zasłony.

— Nie żyje! — wyszeptał Ross.

— Nie — powiedział po chwili Luke. — Ale jest prawie martwy, Ross. Ale może uda nam się powstrzymać ten cholerny krwotok, zanim wykrwawi się na śmierć…

Znaleźli spróchniały kawałek martwej sosny, podpalili go i przy jego przesłoniętym dymem świetle starali się zasklepić paskudną ranę Boba paskami materiału z własnych koszul. Potem usiedli na piętach i znów wpatrywali się w swoje kamienne twarze.

— Musimy go gdzieś zabrać…

— Przeniesienie może go zabić. Pozostawienie go tutaj, na pewno.

Z powrotem do Górskiego Domu. Nie ma innego miejsca — powiedział Luke.

Ale Ross, rozważnie podejmując decyzję, był innego zdania.

— Do Lost Valley jest mniej więcej taka sama odległość, Luke. Z tego miejsca droga jest łatwa. Przenosiny z powrotem w górę szlaku, do Górskiego Domu, z pewnością by go zabiło. Co więcej, wydaje mi się, że najlepiej szukać lekarza w Liberty, prawda? Z Zagubionej Doliny mielibyśmy bliżej i nie tracilibyśmy czasu, jadąc do Black Jacka i z powrotem.

— Nie podoba mi się to — mruknął Luke. — On i Tom Storm nienawidzą się do szpiku kości. Nigdy nie byli przyjaciółmi, nawet jeszcze zanim pojawiła się kwestia Rose Devlin. I pamiętaj, że Bob zwarł się dziś ze Stormem, aby dokończyć za ciebie walkę.

— To nie ma znaczenia — z uporem obstawał przy swoim Ross — nawet gorszy człowiek od Toma Storma, jeśli w ogóle ktoś taki istnieje, nie wyrzuciłby człowieka, w stanie w jakim jest Bob. Jedziemy. To jedyna szansa dla Boba, jeśli w ogóle jakąś ma.

Podszedł do konia usadowił się na miejscu za siodłem i powiedział:

— Podaj mi go, Luke. Ten koń to wytrzyma.

Kiedy Luke objął ramionami nieruchome ciało Boba i podniósł go, ukłucie bólu przywróciło rannemu półprzytomność. Usłyszeli jego cichy, niewyraźny głos, który próbował coś powiedzieć. Przez chwilę Luke stał bez ruchu, z głową przechyloną na bok i uważnie nasłuchiwał. Potem zarówno on, jak i Ross usłyszeli kilka wymamrotanych słów.

— Rosalie… widzisz, kochanie… mówiłem ci… to moja szczęśliwa noc! Rosalie, mamy zamiar… pamiętasz...

Szmer jego głosu ucichł. Luke wpatrywał się w Rossa.

— Lepiej wracajmy do Black Jacka, mały.

Ross jeszcze raz się zastanowił i pokręcił przecząco głową.

— Nie. Tamten sposób jest lepszy, łatwiejszy, bardziej zdroworozsądkowy. Zabiorę go. Będę musiał jechać powoli. Ty wracaj do Górskiego Domu i opowiedz o wszystkim Devlinom. Możesz zabrać ze sobą dziewczynę. Zanim ja tam dotrę, powinieneś być już u Storma.

Trzymając go między sobą wsadzili Boba na siodło. Ross objął go ramieniem, wolną ręką trzymał wodze i powoli ruszył w dół szlaku. Luke odprowadził go wzrokiem, po czym wsiadł na swojego konia i pospieszył z powrotem do Górskiego Domu.

## Rozdział XII

**C**hociaż Ross Haveril nie śmiał się zbyt mocno śpieszyć, ale również się nie ociągał i zjechał najpierw ze swoim brzemieniem na dno Zagubionej Doliny, pokonał Lost River i ruszył przez rozległe, porośnięte dębami pola, słabo widoczną drogą dla wozów, która doprowadziła go do domu ranczera. Zobaczył z daleka migoczące pośród dębów światła.

Teren, na którym stał dom, otoczony był wysokim, białym płotem, który został wzniesiony w czasie, gdy Tom Storm przejął posiadłość, praktycznie przebudowując cały stary, rozpadający się dom i czyniąc z niego miejsce z daleka przyciągające wzrok. Od samego początku Storm zamierzał wykorzystać posiadłość do skupienia na sobie powszechnej uwagi; to był jego sposób na manifestację swej roli grubej ryby, w każdym stawie, dużym czy małym, w którym się zatrzymywał. Przybywając tutaj, był zadowolony z tego co zobaczył; zamierzał się tu osiedlić i pozostać na stałe; już na samym początku zaczął więc ogłaszać na cały stan, że przybył Tom Storm oraz że należy się z nim liczyć.

Ross Haveril, dotarłszy do ogrodzenia, krzyknął, aby ktoś otworzył mu bramę. Ciężko było mu to zrobić samemu, z ciałem nieprzytomnego - lub martwego – człowieka, trzymanym w zgięciu ramienia. Nikt się jednak nie pojawił, choć krzyknął po raz drugi. W końcu jednak udało mu się, zmuszając konia do zbliżenia się do ogrodzenia i puszczając wodze na czas potrzebny do odpięcia bramy i otworzenia jej. Podjechał ścieżką wśród młodych drzew, które Storm posadził, by stworzyć sobie ogród, i dotarł do frontowego ganku. Wciąż nikt nie otwierał drzwi.

Zawołał jeszcze raz, lecz bez skutku, i już zaczął się zastanawiać, czy w oświetlonym domu o tak dosyć wczesnej porze może nikogo nie być. Sam Storm przecież wrócił z Górskiego Domu już kilka godzin temu.

Bez wątpienia znalazłby ludzi w jakichś zewnętrznych zabudowaniach, gdzieś na tyłach domu, ale nie widział tam żadnych świateł, zaś chciał bezzwłocznie umieścić Boba Robertsa pod dachem i w łóżku. Uspokoił więc konia mocno ściągając wodze, a następnie łagodząc go cichym, rozkazującym głosem. Ześlizgnął się na ziemię i zdjął Robertsa z siodła. Zaniósł swoje brzemię do drzwi, otworzył je i wszedł do dużego salonu Toma Storma.

Stały tam stoły z lampami na blatach, duże, wygodne fotele z czerwonej i niebieskiej skóry, na podłodze rozrzucone były niedźwiedzie futra i dywany Navaho, zaś przed kominkiem znajdowała się wygodna sofa. Na niej, podkładając pod głowę poduszkę, położył bezwładne ciało swojego starego przyjaciela. Stał chwilę, wpatrując się w jego bladą, pozbawioną krwi twarz, pochylił się, by sprawdzić prawie niezauważalny

oddech, po czym pośpiesznie przeszedł przez dom, wołając przyciszonym głosem.

W domu panowała głucha cisza, nie licząc odgłosów, które sam wydawał; jego głos i stukot obcasów butów na gołej podłodze rozbrzmiewały głośnym echem. Podszedł do podnóża schodów; na górze było ciemno, wrócił więc korytarzem i skręcił do kuchni. Na stole stała butelka, do połowy pełna; obok niej zaś szklanka z kilkoma kroplami alkoholu na dnie.

Upewniwszy się, że w domu nikogo nie ma, wrócił do frontowego pokoju; rzut oka na Boba Robertsa powiedział mu wszystko, czego potrzebował. Ranny nie poruszał się, wciąż wyglądał jak martwy.

Ross wiedział, że szanse Boba maleją z każdym niepewnym uderzeniem pulsu; jeśli jakkolwiek pomoc miała się tu przydać, nie mogła się opóźnić ani o sekundę. Ross pośpiesznie wybiegł na zewnątrz i obiegł dom, kierując się do kwater ludzi, które znajdowały się gdzieś na tyłach. W końcu dostrzegł słaby błysk światła; jak sądził, w sypialniach kowbojów wciąż paliła się świeca.

Wciąż biegnąc, okrążając narożnik stodoły zderzył się z człowiekiem pędzącym niemal równie szybko, jak sam Ross. Człowiek ten niósł siodło i miał właśnie skręcić w drzwi stodoły.

— Ty ośle! — warknął gniewnie mężczyzna z siodłem. — Co do diabła...

— Storm? — wykrzyknął Ross Haveril. — To ty, Storm?

— Kim ty do diabła jesteś? — dopytywał się Storm. A potem: — Haveril? Ross Haveril, tu u mnie?

— Szukałem cię wszędzie. Zawołaj jednego ze swoich ludzi, każ mu jak najszybciej osiodłać konia i przyjść do domu. Ty chodź ze mną. Szybko, człowieku!

— Słuchaj, co to wszystko ma…

Ale Ross już się odwrócił i pośpiesznie popędził do domu. Zdawał sobie sprawę, że bez względu na to, jak bardzo posłaniec będzie się śpieszył, miną godziny, zanim uda mu się znaleźć lekarza i sprowadzić go tutaj. W międzyczasie stan Boba wręcz wołał o jakąś pomoc. Nie zwracał więc uwagi na krzyczącego za nim Toma Storma.

Storm pospiesznie pozbył się swojego siodła, wrzucając je do pomieszczenia na uprząż, w znajdującej się za jego plecami stodole.

Ross Haveril odsłonił klatkę piersiową Boba, chcąc dobrze się przyjrzeć ranie, przy świetle lampy, i zrobić wszystko co było w jego mocy, gdy usłyszał Storma wchodzącego do salonu z kuchni. Wyprostował się i odwrócił; Storm szedł do przodu z zarumienioną i rozpaloną twarzą, oczami błyszczącymi z wściekłości, jaką wzbudziła w nim obecność Rossa, i potokiem słów cisnących mu się na usta. Wtedy po raz pierwszy zobaczył człowieka na kanapie.

Zatrzymał się jak wryty. Krew, która poczerwieniła jego twarz, spłynęła z niej i na oczach Rossa Haverila, Tom Storm zrobił się blady jak ściana. Również wściekłość zdawała się z niego spływać, zastąpiona nową emocją, gdyż w jego oczach pojawiło się coś na kształt przerażenia.

Wyglądało to tak, jakby Tom Storm zobaczył ducha.

To wprawiło Rossa Haverila w zdumienie większe niż kiedykolwiek przedtem. Znał bowiem Toma Storma jako twardego człowieka i dzięki świeżo zdobytej dzisiejszego wieczora wiedzy, był świadom, że Storm nie kochał specjalnie Boba Robertsa; że obaj nienawidzili się z taką siłą, jaka może pojawić się w sercach mężczyzn takich jak oni, gdy powodem jest kobieta podobna do Rose Devlin. Pamiętał też, że zaledwie kilka godzin wcześniej obaj walczyli w Górskim Domu.

Teraz jednak Tom Storm zobaczył człowieka, którego nienawidził, leżącego jakby w objęciach śmierci, i był bardzo poruszony tym widokiem. Lecz świadomość wszystkiego co dostrzegł w wyrazie twarzy Storma i wszystkie jego własne przemyślenia, zajęły mu nie więcej niż dwie lub trzy sekundy rzeczywistego czasu i uleciały. Było to podobne do doznania, jakie mógłby mieć człowiek, który podniósł zasłonę na oświetlonym oknie, zajrzał do pokoju i natychmiast ją opuścił.

Tom Storm odezwał się ponownie, swoim zwyczajowo opanowanym głosem, mówiąc:

— Hej, to jest Roberts! Co się stało?

— Dostał postrzał — wyjaśnił Haveril. — Jest z nim kiepsko, Storm, to chyba widać. Czy wezwałeś człowieka z koniem?

— Nie. Chciałem się dowiedzieć, o co chodzi. Wyślę człowieka za doktorem Keplinem. Prawdopodobnie oznacza to, że musi pojechać aż do Liberty; nie ma szans na sprowadzenie pomocy przed jutrzejszym porankiem.

Zanim skończył mówić, był już w drodze na dwór. Ross Haveril wrócił do Robertsa.

Zajmował się wciąż nieprzytomnym, ledwo oddychającym człowiekiem, używając ciepłej wody, jodyny, taśmy i bandaży, które znalazł w szafce łazienkowej Storma, kiedy drzwi wejściowe otworzyły się i do pokoju wbiegła Rose Devlin. Zatrzymała się gwałtownie, jej ręce uniosły się do piersi, a ona sama, podobnie jak wcześniej Tom Storm, zbladła, a jej oczy rozszerzyły się.

Nic dziwnego, pomyślał Haveril. Twarzy Boba przypominała bardziej nieżywego, a jej skrajną bladość podkreślała groteskowa i przerażająca plama krwi na czole i kościach policzkowych. Zaś Bob, dopiero teraz po raz pierwszy, poruszył się odrobinę; trudno było być pewnym, czy w ogóle choćby drgnął; był jak martwy człowiek, który nagle się poruszył.

Rose Devlin odwróciła się i uciekła z salonu, znikając szybciej, niż weszła. Ross wyraźnie słyszał w intensywnej ciszy kilka słów, które wykrzykiwała histerycznie, raz po raz:

— Nie mogę! Nie mogę! O, Boże, nie mogę!

Chociaż nigdy wcześniej nie widziała śmierci człowieka, w jednej szalonej, elektryzującej sekundzie zdała sobie sprawę z tego, co Ross Haveril teraz w końcu ciężko przyznał: Bob Roberts umierał. Nie było już sensu, aby wysłać człowieka po lekarza. Ross pomyślał o tym również, gdzieś na obrzeżach umysłu, podczas gdy cały rdzeń jego myśli rozdzielił się na dwa główne fakty: Bob umierał - a dziewczyna, którą kochał, była tuż koło domu, w ciemności, zaprzeczając temu.

Przypadek Boba należał do tych, w których człowiek, zanim odejdzie, na krótko wybudza się z czarnej nieświadomości. Jego oczy otworzyły się i czegoś szukały; usta zaczęły się poruszać, z ogromną trudnością wypowiadając słowa. Ross, nachyliwszy się tak blisko, że jego ucho niemal musnęło zdesperowane usta, usłyszał:

— Rosalie? Jesteś tutaj, Rosalie?

— Tak — powiedział Ross Haveril. — Ona tu jest, Bob. Zaraz przyjdzie.

— Rosalie… — wyszeptał Bob. A potem: — Nie. Jej tu nie ma. Odeszła…

— Zaraz wróci, Bob. Po prostu poszła przynieść ci szklankę wody.

Lecz Bob, wciąż mamrocząc, zdawał się wiedzieć lepiej. Dwa lub trzy razy mruknął:

— Nie… Nie…

Ross Haveril, pod nosem i głęboko w sercu, burknął:

— Cholerna dziewczyna!

Ale natychmiast się poderwał; pośpieszył, żeby ją znaleźć, żeby ją zaciągnąć z powrotem, jeśli będzie to konieczne.

Zobaczył ją stojącą nieruchomo, niezdecydowaną, małą, szczupłą istotkę, tworzącą ciemną plamę w ciemności. Usłyszała jego pośpieszne kroki i ruszyła, i pobiegła znowu, tym razem w stronę koni, które przywiozły ją i Luke'a Olivera; usłyszał Luke'a, który właśnie uwiązywał konie za ogrodzeniem, mówiącego coś.

Ross Haveril, biegnąc szybciej niż ona, złapał ją przy bramie.

— Wracaj! — polecił ze złością. — Bob cię potrzebuje; ciągle o ciebie prosi.

Próbowała wyrwać się z jego uścisku.

— Nie mogę, mówię ci! Nie chcę! Puść mnie!

— Masz wracać do Boba… Niech cię diabli! — wybuchnął, a jego ciężkie dłonie dziko pochwyciły jej drgające ramiona. — Nie widzisz, że on umiera?

— To dlatego! — Zaczęła bić go po twarzy małymi pięściami, które jej namiętność uczyniła twardymi jak drewniane młotki. — Nie chcę patrzeć jak umiera… nie mogę…

— Co to wszystko ma znaczyć? — powiedział Luke, wyłaniając się z ciemności.

— Ta mała diablica! — wrzasnął Ross, jego głos był przesiąknięty wściekłością. — Ona ma tupet Black Jacka Devlina; znasz ją, widziałeś, jak zachowywała się dziś wieczorem w lokalu hazardowym… A teraz odgrywa skromnisię, odstawia małą dramatyczną sztuczkę. Bob umiera i jej potrzebuje, a ta piekielna kocica nie może znieść jego widoku! Co, u licha, człowiek taki jak Bob Roberts mógł zobaczyć w takiej piekielnej kocicy…

Odepchnął ją od siebie i uderzył w twarz, że aż zatoczyła się w ramiona Luke’a. Potem wrócił do swojego przyjaciela i wiedział, że idzie do niego po raz ostatni i że Bob umiera przez niego — i że on, Ross Haveril, jest kompletnie bezsilny gdy opada czarna kurtyna śmierci, nie mogąc zrobić nawet tej jednej małej, ostatniej rzeczy dla Boba Robertsa. Pewnie, że z początku zamierzał zaciągnąć tę dziewczynę do niego siłą lub zanieść ją kopiącą i piszczącą w swych ramionach; lepiej jednak było dać jej w

twarz i skończyć z nią, niż prezentować tę jej egoistyczną histerię przed ciemniejącymi oczyma przyjaciela, jako jego ostatni ziemski widok.

Bob leżał cicho i bez ruchu, ale poruszył się nieznacznie na odgłos cichych kroków. Tym razem myślał, że to Rose do niego podeszła.

Twardy Ross Haveril czuł kulę w gardle, a jego surowe oczy zrobiły się wilgotne. Bob mówił, tym razem z miłością, choć tak cicho, że jego głos nie niósł się daleko; Ross musiał się nachylić, żeby dosłyszeć słowa. Bob rozmawiał z Rosalie Devlin. Mówił o swej miłości do niej; on i ona byli sami, gdzieś w delikatnym świcie na dzikim terytorium. Słowa, które mówił…

Ross zesztywniał i odsunął się, poza zasięg głosu umierającego przyjaciela. Bob mówił słowa, których nie chciałby, żeby usłyszał je ktokolwiek na świecie - poza Rose Devlin. Uśmiechał się; był to dziwny, krzywy uśmiech, niewiele wyraźniejszy niż migotanie światła i cienia na jego ustach. Próbował unieść rękę - chwycić Rose za dłoń - wziąć ją w ramiona.

Żegnał się z Rose Devlin.

Młoda twarz Boba, w tę jego „szczęśliwą noc", wręcz promieniała.

Ross Haveril nie chciał podsłuchiwać, nie chciał nawet na to patrzeć. Stanął, odwracając się plecami.

Nagle głos Boba Robertsa ucichł. Haveril usłyszał przeciągłe westchnienie. Potem odwrócił się i cicho wrócił do sofy. Blask na twarzy przyjaciela zniknął. Jeśli chodzi o Boba Robertsa, wszystko na ziemi zniknęło.

Na werandzie Haveril spotkał wchodzącego Luke'a Olivera.

— On nie żyje — poinformował go Haveril. — Idę do stodoły, żeby zatrzymać tego człowieka, który miał jechać po doktora. Zaraz wrócę.

— Gdybyś nie wrócił dzisiejszego wieczora do domu… — rzucił Luke i zabrzmiało to gorzko jak trujący wywar.

— Tak. Bob by teraz żył — wszedł mu w słowo Haveril. Powoli ugniatał palcami papierosa. — Skoro już będę w stodole, to wezmę wóz. Nie możemy go zostawić tutaj, u Storma. Gdzie go zabierzemy, Luke?

— Chyba do Liberty, jak mi się wydaje. Mają tam cmentarz, grabarza i wszystko.

Nagle pojawił się Tom Storm, jego sylwetka wyłoniła się z ciemności, zanim go usłyszeli.

— To ty, Luke? — spytał.

A kiedy Luke mu odpowiedział:

— Cześć, Tom.

Storm dodał:

— Był z tobą jeszcze ktoś; ale zaraz odjechał. Kto to był? Rose Devlin, prawda?

— Tak.

— Co ona tu robiła? Czego chciała? Dlaczego tak szybko odjechała?

— Bob, kiedy znaleźliśmy go postrzelonego na wzgórzu, prosił o jej powiadomienie.

— A co się dzieje z Bobem?

— Nie żyje.

Storm nic nie powiedział. Ross Haveril skończył skręcać papierosa i zapalił go; płomień zapałki, czerwieniąc jego twarz, pokazał, że jest twarda jak kamień.

— Chcemy pożyczyć wóz, Storm — powiedział.

— Jasne — zgodził się Storm. — Poproszę jednego z chłopców, żeby zaprzągł konie.

Kiedy Ross Haveril i Luke Oliver siedzieli na siedzeniu wozu, a ich wierzchowce były przywiązane na tyle, podszedł Tom Storm, położył rękę na przednim kole i popatrzył na Haverila.

— W sytuacji jaka była dziś wieczorem, Ross — powiedział — nie mogłem cię wyrzucić z mojego rancza. Ale nie jesteś tu mile widziany. Nie przyjeżdżaj więcej.

— Wrócę jeszcze, Tom. Może jutro.

— Lepiej nie. Ostrzegam cię. Nie ma żadnych spraw ani przyjacielskich więzów, które by nas obu łączyły.

— Luke ma do ciebie interes — powiedział mu Ross. — Przyjadę z nim.

Potem on i Luke ruszyli w drogę, ostrożnie powożąc. Tom Storm stał przez dłuższy czas w tym samym miejscu, obserwując rozmazaną plamę, którą tworzyli, aż stała się ona zbyt niewyraźna i niemożliwa do rozpoznania, a wkrótce potem ją wchłonęła ciemność. Zanim się ruszył stamtąd, usłyszał cichy głos z pobliża; ktoś podszedł do niego, nie wydając silniejszych dźwięków niż on sam, przed chwilą, gdy podszedł do Rossa i Luke'a.

— Tom, to ja — oznajmił głos. — Strake. Chcę z tobą porozmawiać.

— Niech cię diabli wezmą, Strake!

— Nic nie mogę na to poradzić — stwierdził ponuro Strake. — Po tym, co się stało, muszę z tobą porozmawiać. I nikt nie wie, że tu jestem.

— W porządku — zgodził się Storm. — Wejdźmy do domu.

Poprowadził; Strake szedł tuż za nim. Strake spytał, zanim przeszli pół tuzina kroków:

— To byłeś ty, prawda, Tom?

— O czym ty mówisz? — warknął na niego ostro Storm.

Strake, który był w ponurym nastroju, cedził słowa, jakby mówił z zaciśniętymi zębami. Wyrzucił z siebie:

— O dzisiejszej walce, tam w górach, na High Flat...

— Ty szalony głupcze! — warknął Storm, jego głos unosił się coraz bardziej, w gniewie.

Weszli do domu, a Storm zamknął za sobą drzwi. Noc była przyjemnie ciepła, więc okno było otwarte; żaden z dwójki mężczyzn nie zwrócił na to uwagi, ani nie pomyślał o tym. Pierwszą rzeczą, która rzuciła im się w oczy, odbijając światło lampy, była krew na podłodze obok sofy. Tom Storm stał chwilę, marszcząc brwi, po czym przeciągnął dywanik Navaho, aby ją przykryć.

— Czego chcesz? — zaczął się dopytywać

— Mógłbyś czegoś nalać? — powiedział Bull Strake.

Obaj wypili razem. Storm właśnie odstawił szklaneczkę, a Bull Strake brał drugą porcję, gdy ktoś zapukał do drzwi.

— Do diabła — burknął Storm. — Czy cały świat zwali mi się na głowę, dziś w nocy? — Zawołał, pozbawionym powitalnego tonu głosem, — Wejść!

Do środka pośpiesznie wkroczył Valdez.

## Rozdział XIII

— Mój przyjacielu! — wykrzyknął Valdez i wszedłszy szybko do środka, pośpieszył do Storma, wyciągając swą małą, zadbaną dłoń, z której - prawdopodobnie z powodu pośpiechu, tak mocno go dziś naglącego - zapomniał zdjąć rękawicę. — Zacząłem się już martwić. Teraz, gdy odkryłem, że wszystko z tobą w porządku, że nie odniosłeś żadnych złych skutków z powodu tchórzliwego ciosu zadanego przez tego łobuza Hannigana…

Storm odwrócił się i podszedł do stolika po cygaro. Następnie rzucił swe wielkie, masywne ciało na jeden ze głębokich, czerwonych, skórzanych foteli.

— Martwiłeś się o swojego dobrego przyjaciela, co? — zadrwił ze swojego gościa. — Dlaczego musisz być takim przeklętym kłamcą, Valdez? Gdybyś się o mnie naprawdę martwił, byłbyś u mnie już parę godzin temu. Cóż więc chodzi ci po głowie?

Valdez usztywnił swe niewielkie, szczupłe ciało, w ten sposób bardziej niż kiedykolwiek przedtem przypominając małego kogucika, pyszałkowatego bantama, który zaraz miał zapiać. Ale zanim zdążył wygłosić coś więcej poza wybuchowym i oburzonym: „Señor!", Storm zaczął mówić dalej. Oznajmił bez ogródek:

— Poszedłeś sobie, kiedy mi dali po głowie; zająłeś się swoimi sprawami, jakiekolwiek by one nie były, a diabeł dobrze wie, że musiały być łajdackie; później zacząłeś się martwić, ale nie o mnie. Śmiałbyś się na pełne gardło, gdybym nie żył. Pomyślałeś sobie, że uciekłeś i zostawiłeś swojego dobrego przyjaciela Toma Storma, i jeśli nie pojawisz się u niego wkrótce z tą twoją papkowatą paszczą pełną paplaniny, będzie dokuczliwy jak wrzód na tyłku — a ty nie mogłeś przecież pozwolić, żeby ten hombre się wkurzył.

Valdez, otulony w swą chłodną godność, skierował na gospodarza parę twardych, jasnych, czarnych oczu, które były równie przyjazne jak oczy węża.

— Od nikogo nie będę wysłuchiwał takich słów, Señor!

— Mam to gdzieś — odparł Storm. Następnie zaczął uważnie przyglądać się swojemu gościowi. — Zastanawiam się, gdzie byłeś i co robiłeś — dodał zamyślony.

Valdez nie miał zamiaru mu mówić, że przede wszystkim udał się do Sekretnej Doliny; niech ten fakt pozostanie słodką tajemnicą, jak myślał, tylko między nim a Rossem Haverilem. To, co powiedział, naginając swoje kłamstwa do cienkiej nici prawdy, brzmiało:

— Kiedy cię zabrano do domu, zatrzymałem się na chwilę w Górskim Domu; chciałem dowiedzieć się, w twoim interesie, jak najwięcej o człowieku, który tak okrutnie cię zaatakował. Następnie, upewniwszy się, że nie zostałeś poważnie ranny, zostałem jeszcze chwilę, aby puścić trochę pieniędzy. — Skrzywił się kwaśno. — Straciłem je jak zwykle bez większych trudności i ruszyłem do domu. Prawie dotarliśmy do El Paraiso, kiedy powiedziałem sobie, że nie zasnę, nie upewniwszy się…

— Więc przyjechałeś tu prosto z Rajskiej Doliny? — Grube, potężne palce Storma wystukiwały rytm na poręczy fotela. — Musiałeś po drodze spotkać Luke'a Olivera i Rossa Haverila; wyjechali stąd jakiś czas temu w drodze do Liberty.

Ponieważ Valdez w ogóle nie jechał tą drogą i nie był w pobliżu swojego domu, nie potrafił znaleźć właściwej odpowiedzi na to pytanie; zabrnął już w drobniejsze kłamstwa, nie widział więc dokładnie, z którego większego skorzystać. Z Sekretnej Doliny wrócił do Górskiego Domu; zatrzymał się tam wystarczająco długo, by stracić dwieście dolarów, które miał w kieszeni; stamtąd wyruszył starym szlakiem Ridge Trail na krótko przed tym, jak Haveril i Luke Oliver dotarli do domu Black Jacka. Nie był to powszechnie uczęszczany szlak, którym później podążyli Luke i Ross, oraz którym pojechali za nimi Bull Strake i jego towarzysze, a następnie Bob Roberts, lecz trzymał się on grzbietu wzgórza i prowadził prosto na południe. Podróżował powoli, pogrążony w myślach, w ponurym nastroju, który potrzebował samotności. Z daleka usłyszał strzały; wiedział, że gdzieś na dolnym szlaku, między Górskim Domem a Zagubioną Doliną, próbowali pozabijać się jacyś ludzie. Raz nawet myślał, że na słabym wieczornym wietrze dobiegł go dźwięk gniewnych, wykrzykujących coś głosów. A teraz zdawał się dowiadywać, że przybysz, Haveril, i Luke Oliver maczali w tej sprawie palce.

— No i co? — powiedział Storm i uśmiechnął się ciekawie.

Valdez prosił o wybaczenie.

— Przepraszam; myślałem o czymś - co mówiłeś o Oliverze i Haverilu?

— Wyjechali stąd jakiś czas temu. Musiałeś ich spotkać. Jechali w twoją stronę, zmierzając do Liberty. Rozumiesz? Czy mam to powtórzyć?

— Spotkałem jakichś dwóch mężczyzn — przyznał Valdez. — Kim oni byli, nie wiem. Było dosyć ciemno.

— Jak przypuszczam, nie byłeś w stanie nawet rozpoznać maści koni, na których jechali? — I po tych słowach Storm uśmiechnął się szeroko.

— Nawet nie pomyślałem, żeby zapamiętać kolor ich koni — odparł krótko Valdez. — Dlaczego miałbym to zrobić?

— Bo jechali wozem! — zaśmiał się Storm. A potem w mgnieniu oka spoważniał i surowo napomniał gorąco swego rozmówcę: — Do diabła z tobą, Valdez! Dlaczego jesteś tak bardzo nafaszerowany kłamstwem? Człowiek kłamie tak pokrętnie jak ty, tylko wtedy, gdy ma wiele do ukrycia! Jeśli jeszcze raz przyłapię cię na próbie oszukania mnie, to już po tobie. Masz chyba dosyć rozumu w głowie, żeby to wiedzieć?

Na to z kolei zjeżył się Valdez, a jego oczy zrobiły się tak samo gorące i wściekłe jak Storma. Oświadczył głosem gładkim jak jedwab:

— Panie Storm, rzucanie gróźb nigdy nie jest mądrym posunięciem. Czasami jest to nie tylko nierozsądne, ale również i niebezpieczne.

Przez cały ten czas stojący przy kominku Bull Strake, nie powiedział ani słowa, nie poruszył też żadnym mięśniem poza tymi malutkimi mięśniami, które kierują oczy w prawo i w lewo; jego skupione spojrzenie było nieustannie utkwione w twarzy tego, kto mówił, dopóki nie skończył on swej kwestii, a potem przeskakiwało na drugiego z obecnych. Dawał wszelkie oznaki szczerego i żywego zainteresowania.

— Znasz Strake'a? — powiedział Storm, puszczając mimo ucha ostrą uwagę Valdeza.

Valdez pochylił głowę może o ćwierć cala.

— Poznałem kiedyś pana Strake'a — przyznał bez entuzjazmu.

— No cóż, poznasz go o wiele lepiej, zanim staniesz się dużo starszy — oznajmił Storm. — Bull Strake jest moim przyjacielem.

Gładkie czarne brwi Valdeza lekko się uniosły, ale nie odezwał się nawet słowem.

— Ross Haveril opowiedział mi dziś wieczorem część pewnej historii — kontynuował Storm. — Strake, wpadając później, opowiedział mi kolejną jej część. Jeśli zastanawiasz się, dlaczego Haveril i Oliver jadą do Liberty wozem, oto odpowiedź: Wiozą ze sobą Boba Robertsa, na jego ostatnią przejażdżkę.

Tym razem brwi Valdeza poszybowały w górę; szybko zapytał:

— Bob Roberts… co się stało?

— Nie żyje — wyjaśnił Storm.

— Ale…

— Och, tak, widziałeś go parę chwil temu i był cały, zdrowy, i tak dalej. Czy człowiek nie może kopnąć w kalendarz, żeby wszyscy nie opowiadali takich banałów? Ktoś go zastrzelił.

— Ale kto? I gdzie? I dlaczego?

— Wtrącił się do walki innych…

— Rossa Haverila! Zrobił to już wcześniej, tego wieczora!

— Jacyś ludzie jechali za Lukiem i Haverilem od domu Black Jacka. Luke i Ross zmierzali w tym kierunku; żeby się ze mną zobaczyć, jak przypuszczam. No cóż, tam, na High Flats, rozegrała się walka. Bob Roberts się w nią włączył i z tego co wiemy, był jedynym, który zginął.

— Przepraszam za moje natręctwo — mruknął Valdez, który ewidentnie wcale niczego nie żałował. Nie przejmował się Robertsem w żaden sposób, ale był zaintrygowany tym co się stało. Następnie zapytał, wyrażając swoje główne punkty zainteresowania w słowach: — Ale co za ludzie jechali za Oliverem i Haverilem? I dlaczego? Luke nie ma żadnych wrogów, o których bym wiedział; czy Haveril już sobie jakichś narobił?

— Może — stwierdził Storm. — Zawsze szybko robił sobie wrogów. A może i nie. Prawdopodobnie chodziło tu o coś innego. — Popatrzył na Strake'a. — Co ty na to, Bull? Czy Haveril miał przy sobie jakieś pieniądze?

Bull Strake, którego oczy były twarde i zimne jak szkło, wzruszył muskularnymi ramionami. Potem musiał pomyśleć, że nie było sensu opowiadać, że nie wie. Więc zwięźle uzupełnił wzruszenie ramion:

— Tak. Zarobił mnóstwo forsy przy ruletce.

— Ile? — spytał Storm.

— Ponad pięćdziesiąt tysięcy.

— Pięćdziesiąt tysięcy dolarów! — sapnął Valdez. — Caramba, to są pieniądze. — Ale wyglądał na zdziwionego. — Ale jak on mógł grać? — zapytał. — Nie miał pieniędzy - a przynajmniej wyglądał jak włóczęga!

— To były pieniądze Luke'a Olivera — powiedział ponuro Strake. Był człowiekiem co najwyżej małomównym; poza tym były to rzeczy, o których nie chciał rozmawiać. Aby zakończyć sprawę, dodał jeszcze: — To, co wygrał, dał Luke'owi. Napełnił pieniędzmi cały jego kapelusz. Rozbił bank. Black Jack tak powiedział i ludzie zaczęli odchodzić. Chyba paru z nich pojechało za Oliverem i Haverilem.

— Jaką kwotę dał mu Luke? — spytał Storm.

— Jakieś cztery tysiące, jak mi się wydaje.

Valdez wyglądał na jeszcze bardziej zdumionego niż przedtem.

— Ale Luke Oliver dał mu cztery tysiące dolarów! Czy on kiedykolwiek miał takie pieniądze? Skąd mógł tyle wziąć?

Przez usta Toma Storma przemknął dziwny, pełen napięcia uśmiech, który tak naprawdę wcale nie był uśmiechem.

— Skąd mógł tyle wziąć? Haveril musiał mu je dać.

— Ale, Señor, Ross Haveril nie miał ani grosza! Można to było poznać po jego wyglądzie! A gdyby miał, każdy by mu zadał to samo pytanie: Skąd to ma?

— A kogo to obchodzi! — warknął Storm. — Pewnie okradł bank. Taki już jest. Ale, Valdez, przerwałem ci, nie po to, żeby gadać o Haverilu, Luke'u i Bobie Robertsie. Chociaż to część sprawy, a do Rossa Haverila wrócimy jeszcze za chwilę, ale najpierw chcę z tobą szczerze porozmawiać, co ci się nie spodoba. Musimy zamienić parę słów o pewnym kredycie hipotecznym - a jeśli myślisz, że dzięki temu poczujesz się lepiej, możesz sobie podumać o gościu nazywającym się Willard Hale, którego mój koń stratował na śmierć, jakieś pięć lub sześć lat temu - potem zaś przejdziemy do rzeczy, która teraz najbardziej mnie interesuje: czyli co się stało z tym sympatycznym małym mająteczkiem, który dziadek twojej ślicznej siostrzenicy Carmencity zostawił dla niej u ciebie w powiernictwie?

— Czy pan oszalał? — wykrztusił Valdez. — Ja… na Boga, panie Storm, nie wiem, co pan ma na myśli!

— Wyjaśnię to — stwierdził Storm. Jego słowa zabrzmiały cierpliwie, lecz jednocześnie drwił z Valdeza wzrokiem, tak jak wcześniej. Meksykanin przesunął językiem po suchych ustach; jego ciemna skóra stała się brudnobiała; w jego oczach widać było zarówno wściekłość, jak i strach.

— Nie interesują mnie żadne wyjaśnienia — oznajmił w końcu, podczas gdy Storm siedział i czekał, wpatrując się w niego twardym spojrzeniem. — Wychodzę stąd.

— Zostaniesz, dopóki nie powiem ci, że możesz odejść — rzucił twardo Storm. — Jeśli każę ci położyć się na podłodze i usiądę na tobie, będziesz leżał, dopóki nie omówimy tych spraw raz na zawsze, bez żadnych ogródek; wyłożymy wszystkie nasze karty na stół i skończymy z tym.

Valdez wiedział, że nie może stąd wyjść, dopóki Storm mu nie pozwoli; wyczytał z wyrazu twarzy Storma i tonu jego głosu, że powiedział dosłownie, to co miał na myśli. Więc:

— Przede wszystkim — oznajmił Valdez, znów wyglądając na wyniosłego hidalgo lub kogucika bantam - czytelnik może sam sobie wybrać, — nie jesteśmy sami, Señor.

— Jesteśmy w takim towarzystwie, w jakim chciałem, żebyśmy byli — poinformował go Storm. — Czyż nie powiedziałem już, że Bull Strake jest moim przyjacielem? Mam na myśli to, że on potrzebuje mnie, a ja jego. A co do ciebie, Señor Don Francisco de Valdez y Verdugo y Bóg wie, co jeszcze, potrzebujesz nas obu. Jak tak sobie o tym pomyślę, to gdybyś nawet nalegał na opuszczenie nas i powrót do swego domu, nie musiałbym nawet wstawać z krzesła, żeby zmienić twoje zdanie. Wystarczyłoby po prostu, abym zapytał, czy chcesz stracić jedyną miłość swego sentymentalnego i marnotrawnego żywota — czy jesteś gotów do tego, by utracić swoją dolinę, którą nazywasz rajem na ziemi!

W przymrużonych oczach Valdeza błysnęła paskudna złośliwość.

— Nigdy byś się na to nie odważył! Jest coś, o czym nie powinieneś zapominać! — odparł, cały jeżąc się groźnie.

Tom Storm tylko zaśmiał się z niego; nie był to przyjemny śmiech, lecz taki, który spowodował iż w oczach Francisco Valdeza pojawiło się jednocześnie zdziwienie i strach. Storm odwrócił się od niego w stronę Strake'a i powiedział:

— Bull, za chwilę Valdez powie ci, że podejrzewa mnie o zamordowanie Willarda Hale'a i o zrzucenie za to winy na mojego ogiera, Zniszczenie!

— Ja wcale cię o to nie podejrzewam! — wściekał się Valdez, w końcu podjudzony, tracąc samokontrolę. — To jest coś, co wiem - ponieważ widziałem to!

— Co o tym myślisz, Bull? — spytał Storm.

— Niech mnie diabli! — stwierdził Bull Strake.

Każdy, kto w tej chwili popatrzyłby na Valdeza, mógłby dostrzec, że ten człowiek dobrze wiedział, co mówi. To była prawda. Widział, jak Tom Storm zabił Willarda Hale'a. Miało to miejsce dobre sześć lat temu, o ile pamiętał Strake. I przez cały ten czas Valdez trzymał język za zębami! Dlaczego? Bull Strake chciałby wiedzieć. I za chwilę miał się dowiedzieć.

— No dobrze! — powiedział Tom Storm. Siedział prosto, opierając obie ręce na poręczach krzesła; wyglądał, jakby miał zaraz zerwać się na nogi, ale siedział kompletnie bez ruchu; jego postawa była równie zabójcza jak postawa zwiniętego węża. — Zaczynamy do czegoś dochodzić.

Ponownie zwrócił się do Strake'a:

— Co byś sobie pomyślał, Bull, o człowieku, który widział, jak inny człowiek popełnia morderstwo, a potem milczy?

— Że prawdopodobnie dostaje za milczenie pieniądze — powiedział praktyczny Bull Strake.

— A jeśli wszyscy się dowiedzą — kontynuował Storm, — że ten człowiek milczał w takiej sprawie i z takiego powodu, co oni byliby skłonni mu zrobić?

— Pamiętam Lefty'ego Barstowa — odparł Strake. — Był na miejscu, zbrodni kiedy Corks Copley zarżnął starego Reese'a. Kiedy wieszali Corksa, powiesili Lefty'ego obok niego.

— Takie rzeczy się zdarzają — skinął głową Storm. Przeniósł wzrok na Valdeza; Valdez wzdrygnął się. „Może pamiętasz też Corksa Copleya i Lefty'ego Barstowa" – powiedział. — Ale zostawmy teraz na boku tę starą historię. Mieliśmy porozmawiać o kredycie hipotecznym. Zapisy pokażą, że pożyczyłem ci pięć tysięcy dolarów jakiś czas temu; jeśli ludzie sprawdzą daty, okaże się, że pożyczka została udzielona dzień po tym, jak mój koń zadeptał Hale'a na śmierć. Nie, żeby w ogóle istniało jakieś…

— Czyś ty oszalał! — wybuchnął Valdez głosem tak piskliwym, że niemal krzykiem. Ponownie popatrzył na Bulla Strake'a, którego zainteresowanie było tak szczere jak u dziecka. — Przynajmniej myślałbym, że wolałbyś, żebyśmy rozmawiali w cztery oczy…

— Nie, żeby w ogóle istniało jakieś obciążenie hipoteki, przynajmniej z początku — kontynuował Storm, nie zwracając na to uwagi. — Dałem ci czek, a ty go podpisałeś i zrealizowałeś – a ja zachowałem ten czek na taki czas. Później chciałeś kolejnych sum, całkiem sporo, amigo mio, i tak powstało obciążenie hipoteczne na Rajskiej Dolinie. I zawsze mówiłeś sobie: „A, do diabła! Mam haka na Toma Storma; nigdy nie ośmieli się zmusić mnie do zwrotu choćby centa". Ale może jednak tego zażądam. A może jestem gotów na zajęcie posiadłości. Z drugiej strony — może nawet podarłbym papiery, stary czek i wszystko inne, oraz uznał nasze sprawy za uregulowane.

— Słuchanie strasznie wysusza moje gardło, Storm — wtrącił Bull Strake. — Chciałbym się czegoś napić. Ta butelka jest pusta.

— W kuchennej szafce — powiedział Storm. — Przynieś świeżą butelkę.

Kiedy Strake przyniósł butelkę i szklaneczki, Valdez szybko wychylił swojego drinka; on, bardziej niż pozostali dwaj, wydawał się tego potrzebować.

— No, dobrze! — powtórzył Storm, wypowiedziane wcześniej słowa. — A teraz druga sprawa. Nie powiedziałeś mi jeszcze, co stało się ze spadkiem małej Carmencity - pozostawionym pod twoją opieką!

— Powiedziałem ci, że nie wiem, co masz na myśli — wybełkotał Valdez.

— Było tego około siedemdziesięciu pięciu tysięcy dolarów, o to mi chodzi", powiedział mu Storm. — I teraz tego już nie ma, o to mi chodzi. Każdy cholerny cent tej kwoty przeciekł ci przez palce przy stołach Black Jacka i przy szeregu stołów wzdłuż całej granicy. A mała Carmencita nigdy o tym nie wiedziała; nikt nie wiedział oprócz ciebie - a potem mnie - i teraz Bulla Strake'a!

— To kłamstwo! Być może kilka niefortunnych inwestycji, choć były zachowawcze…

— Dobrze się bawiłeś, robiąc ze mnie frajera — oznajmił Storm, surowo i groźnie — a ja pozwoliłem ci się bawić przez cały ten czas, bo to ty byłeś frajerem, a ja na koniec nie stracę ani grosza, ale jeszcze na tym

zarobię, bo odsetki od moich pieniędzy rosną, albo w zamian za to zabiorę ci Rajską Dolinę, kiedy tylko zechcę ją zebrać.

— Nie ośmieliłbyś się! Mówię ci, nie ośmielisz się!

— Bo co - pobiegłbyś i powiedział całemu światu, że zabiłem człowieka i że ty widziałeś, jak to się stało? Nie rozśmieszaj mnie! Co, do cholery, mógłbyś mi udowodnić, człowieku? To byłoby tylko twoje słowo przeciwko mojemu. A kiedy wyszłoby na jaw, że jesteś mi winien mnóstwo pieniędzy i próbujesz wykręcić się od ich zapłaty, a na dodatek zostałbyś zdemaskowany jako defraudant, który ukradł siedemdziesiąt pięć tysięcy swojej siostrzenicy, jak myślisz ile ważyłyby twoje słowa? Lepiej wypij sobie jeszcze jednego drinka, odsuń włosy z czoła i przyjrzyj na oczy.

Valdez, wyraźnie nerwowo jak kot, łyknął kolejnego drinka i faktycznie przeczesał palcami włosy, odgarniając je z czoła, nie zdając sobie w ogóle sprawy z tego co robi.

Po raz pierwszy Bull Strake się roześmiał. Był człowiekiem, który rzadko się śmiał, i dobrze, bo odgłos jego wesołości był tak suchy i nieprzyjemny jak pocieranie dwóch arkuszy papieru ściernego; równie drażniący dla wrażliwych nerwów, jak skrzypienie rysika na tabliczce.

Valdez nie odzywał się; nawet nie zauważył śmiechu Bulla Strake'a; rozpaczliwie próbował coś wymyślić i odkrył, że to najtrudniejsza rzecz, przed jaką kiedykolwiek stanął.

Więc Tom Storm kontynuował nadal prezentację swoich zamiarów i myśli.

— A teraz wróćmy do Rossa Haverila, tak jak zapowiadałem, że zrobimy. Będzie sprawiał kłopoty, ale nie po to tutaj przyjechał, bo nie wiedział, że tu jestem. Znam Rossa Haverila od dawna; wiem, że urodził się i wychował od dziecka w Sekretnej Dolinie. Zawsze planował, kiedy tylko nabił sobie kieszenie, aby wrócić. Luke Oliver jest teraz właścicielem Sekretnej Doliny; będzie ona należeć do Haverila, nim minie kolejny dzień. Ale marzenia Haverila są większe niż tylko stary dom Haverilów; ma takie same pragnienia, jakie miało kilku z nas. On pragnie mojej doliny, jak również Rajskiej Doliny. Dowie się, że mam kredyt hipoteczny na Rajskiej Dolinie, którego Valdez nie może spłacić; spróbuje odkupić ten kredyt ode mnie. I spróbuje wyrzucić mnie z Zagubionej Doliny. Miał to wszystko w głowie już wtedy, kiedy go poznałem w Ameryce Południowej. — Podczas chwili ciszy, Storm wyglądał na ponurego i zamyślonego; potem powiedział, wpatrując się w Valdeza: — Mógłbym oszczędzić sobie wielu zmartwień, gdybym przekazał mu twój kredyt hipoteczny. Wywaliłby cię w mgnieniu oka i mógłby zapomnieć o martwieniu się o Zagubioną Dolinę na jakiś czas.

— Dlaczego nie załatwiłeś go dziś wieczorem, kiedy miałeś okazję? — zapytał praktyczny Byk Strake.

A myśl Valdeza brzmiała:

— Ale twoje sugestie wymagałyby całego mnóstwa pieniędzy! Czy ten człowiek, Haveril, który wygląda jak włóczęga…

— Ma pieniądze i nie zapominaj o tym — oznajmił Storm, jak ktoś, kto jest pewien swoich słów. — To uparty diabeł i szczęściarz, a lata temu przysiągł, że diabli go wezmą, jeśli kiedykolwiek tu wróci, dopóki nie zrobi

dokładnie tego, co powiedziałem. No cóż, wróćmy do sprawy; pozostały nam jeszcze dwa punkty, i oto one: Po pierwsze, mój dobry Señor Valdez, zamierzam poślubić twoją małą siostrzenicę, Carmencitę. To już uzgodnione, prawda?

Strake drgnął, jakby ktoś mu wbił szpilkę, i opadła mu szczęka. Valdez, który gotów był zgodzić się na tę propozycję z ochotą, pomyślał jednak o swej podeptanej godności i po raz ostatni tej nocy przybrał swoją postawę malutkiego kogucika. Oświadczył wyniośle:

— Dopóki nie postanowił pan, Señor, zwracać się do mnie tak, jak to pan zrobił dziś wieczorem, miałem nadzieję…

— Och, wyrzuć tę swoją wyniosłą dumę do kosza — odparł Storm z niesmakiem. — Tak czy inaczej jest spleśniała i zepsuta, nadaje się tylko na śmieci. Tak jak powiedziałem! Daj mi Carmencitę i daj mi ją od razu; najpóźniej w ciągu tygodnia.

Wtedy wtrącił się Bull Strake, mrucząc:

— Do cholery, Storm, myślałem, że to dziewczyna Black Jacka…

— Nie mieszaj jej do tego! Słyszysz? — powiedział Storm z nagłym gniewem.

Potem odchylił się w krześle i powoli rozluźnił, podczas gdy jego klatka piersiowa nabrzmiała po głębokim wdechu powietrza; wielkie, brutalne palce, które przed chwilą tak głęboko wbijały się w czerwoną skórę podłokietników krzesła, zaczęły wybijać powolny rytm, a potem zamarły.

— Kiedy Carmencita zostanie moją żoną — powiedział do Valdeza, — ty i ja zaczniemy dostawać to, czego chcemy. Nigdy nie wystąpisz przeciwko mężowi swojej siostrzenicy; nie dlatego, że zależy ci na niej bardziej niż na pstryknięciu palcami, ale z powodu twojej szalonej „dumy” – chociaż, do cholery, nie pojmuję, z czego, u licha, maiłbyś być taki dumny. Jeśli o mnie chodzi, kiedy poślubię ją, poślubię Rajską Dolinę. Bo chcę Rajskiej Doliny i zamierzam ją dostać. Później zobaczymy, co z Sekretną Doliną.

Przerwał na chwilę, pozwalając, by jego słowa dotarły do słuchaczy, patrząc na Valdeza kamiennym wzrokiem. Valdez zdawało się, że chce coś powiedzieć, ale ostatecznie nie odezwał się ani słowem. Wyjął chusteczkę i przejechał nią po czole; był blady i wyglądał na chorego. Pogardliwy uśmiech przemknął po ustach Toma Storma, ale zesztywniały one z powrotem w swoim zwykłym surowym wyrazie, gdy tylko ponownie podjął temat.

— A teraz wracamy do Rossa Haverila. Jeśli pozwolimy mu biegać wolno, będzie sprawiał kłopoty; kłopoty dla mnie, na początek, a wam też. Więc sprawa Haverila musi zostać zduszona w zarodku. — Spojrzał na Bulla Strake’a. — Tutaj wkraczasz ty, Bull.

Strake, nie ruszając ani jednym mięśniem, wyglądał na gotowego do wysłuchania poleceń. Valdez w końcu wyglądał jakby mu ulżyło. Wykrzyknął:

— Jakiekolwiek macie jakieś plany wobec Haverila, ja nie muszę o nich wiedzieć. To sprawa dla ciebie i twojego przyjaciela. Jeśli chcesz rozmawiać o takich rzeczach… No cóż, ja sobie idę!

— Zostań na swoim miejscu, Valdez — oznajmił chłodno Storm. — Jeszcze nie skończyłem. Kiedy wchodzisz ze mną w układ, siedzisz w nim na całego, po same uszy. Powiedziałem, że Bull Strake i ja potrzebujemy siebie nawzajem; no cóż, potrzebujemy też ciebie!

— Nie zamierzam brać udziału w… udziału w…

— No, dokończ! — zaszydził Storm. — Wypowiedz to słowo, to właściwe określenie.

Ponownie dreszcz przebiegł przez ciało małego człowieczka i Bull Strake znów przyjął to z rozbawieniem; tym razem prawie się roześmiał.

— Słuchaj — powiedział Storm. — Tutaj wkraczasz ty. Oto, co masz zrobić. Twoja rola jest najłatwiejsza, ale wejdziesz w to równie głęboko, jak my. Słuchaj.

I Valdez, nigdy bardziej niż teraz nie przypominając czarnego chrząszcza - wyglądając niczym chrząszcz nabity na szpilkę - słuchał.

Lecz ktoś inny także tego słuchał i to słuchał przez cały czas, ktoś kto przeszedł od niedowierzania do zdumienia, i dalej do konsternacji, a wreszcie do lodowatego przerażenia. Bo kiedy Valdez, opuszczając Sekretną Dolinę, wrócił do Górskiego Domu, to samo zrobiła również Carmencita, a za nią podążał napominający ją nieustannie Romero. Znów podglądała pod oknami, zafascynowana, odbiegając czasami by się ukryć, gdy ludzie przyjeżdżali do Black Jacka i odjeżdżali. A kiedy Valdez pojechał z powrotem, ponownie ona i Romero znowu podążali w pewnej odległości za nim.

Potem w domu Storma ktoś zostawił otwarte okno. Roztrzęsiony Romero został sam z końmi. Carmencita, z dziesięcioma tysiącami dzikich podejrzeń i lęków kłębiących jej się w głowie, a żaden z nich nie był gorszy od prawdy, której się dowiedziała, słuchała wytężając uszy.

…Kiedy ruszyła pędem z powrotem do Romero, czuła, jakby popychała do biegu czyjeś inne ciało, tak bardzo była odrętwiała ze strachu, nogi miała ciężkie jak z ołowiu, serce ją dusiło.

— Romero - Romero! O, drogi Boże! Pomóż mi, Romero! Śpieszmy się, śpieszmy się, śpieszmy się! Najpierw musimy wrócić do domu… Nigdy, nikomu tego nie zdradź, Romero! Przysięgnij przed Bogiem! … Romero, śpieszmy się!

Gdy już była w siodle, chwyciła za jego łęk i popędziła konia do maksymalnej prędkości; zdezorientowany i przerażony Romero z trudem utrzymywał się w zasięgu wzroku. Do posiadłości zakradła się tylnym wejściem; cicho przekradła się do swojego pokoju, idąc w samych skarpetkach; zamknęła drzwi; nie odważyła się zapalić światła; przez długie godziny przed pierwszym blaskiem dnia bała się ze sto razy, że oszaleje, że wybuchnie krzykiem i obudzi cały dom.

## Rozdział XIV

**N**astępnej nocy, długo po zapadnięciu zmroku, Ross Haveril, ze ściągniętą twarzą i ciężkimi brwiami, wrócił samotnie do Sekretnej Doliny. Poruszając się powoli, z dziwnym, mechanicznym brakiem pośpiechu, rozsiodłał konia, zajął się nim, a następnie poszedł do siedziby rancza; drogę oświetlała mu, rozchodząca się wachlarzem z okna, smuga światła.

Luke Oliver zjadł wcześniej kolację w budynku dla kowbojów, a potem przyszedł tutaj, żeby zaczekać na Rossa; ssał fajkę, która zgasła już dawno temu, miał na stopach skarpetki i pocierał o siebie dużymi palcami u nóg; okulary w stalowych oprawkach swobodnie spoczywały na wysokim grzbiecie jego nosa. Brwi również miał ściągnięte, lecz w innym stylu, koncentrując się na swoim obecnym zajęciu. Szył; dwie, trzy igły, o długości od dwóch do sześciu cali, leżały na stole obok szpuli nici, na którym stała lampa. Przytwierdzał łatę do siedzenia podejrzanie wyglądających spodni kombinezonu roboczego, a na podłodze koło niego leżała uzda z zerwaną wodzą, czekająca na swoją kolej.

Ross Haveril, prychając, zauważył spod samych drzwi:

— Miły, domowy akcent, można by powiedzieć. To tak jak w małżeństwie - człowiek przychodzi do domu i zastaje zapracowaną małżonkę, która dba o przytulność domowego ogniska.

— Idź do diabła — warknął Luke, wbił igłę głęboko w opuszkę kciuka i zaklął jak żeglarz z dalekich mórz.

Ross usiadł na ławce pod ścianą, oparł łokcie na kolanach i, pochylając głowę, zdawał się przyglądać paznokciowi kciuka, który powoli i metodycznie okrążał swego brata-bliźniaka. Luke popatrzył na niego ponad krzywo osadzonymi okularami, unosząc kudłate brwi, aby to lepiej zrobić - po prostu patrzył, odrobinę się zastanawiał, i czekał.

Późnym popołudniem wrócili z Liberty, zrobiwszy tam wszystko, co mogli dla Boba Robertsa; zapłacili chłopcu stajennemu, aby odprowadził do domu zaprzęg Toma Storma. Zwrócili Stormowi wóz, nie zapominając również o karabinie, który Luke zabrał bez pozwolenia z półki za drzwiami kuchni Zagubionej Doliny. Luke, mądry stary uczestnik nocnych potyczek, argumentował, że banda, która raz ich zaatakowała, może spróbować ponownie, a niespodziewany karabin byłby wtedy miłym asem w rękawie. Ross poszedł do banku, wpłacił pieniądze, które miał przy sobie, a następnie obaj wyjechali z Liberty na własnych koniach, kierując się do domu.

Jednak zanim dotarli do miejsca, gdzie szlak rozdzielał się na dwa, z których jeden prowadził do Sekretnej Doliny, a drugi na grzbiet, opadający dalej na High Flats, rozdzielili się.

— Pojeżdżę sobie trochę sam, Luke — powiedział młody Haveril. — Chcę się rozejrzeć w miejscu, gdzie został postrzelony Bob. Dołączę do ciebie na ranczu.

— Nie wpadniesz aby znowu do Toma Storma, co? — zapytał podejrzliwie Luke.

— Nie dzisiejszego wieczora — zapewnił go Ross. — Pojedziemy tam razem, może jutro.

Więc teraz, po kilku godzinach rozłąki, siedzieli przez chwilę w milczeniu, Ross zajęty stukaniem jednym paznokciem kciuka o drugi, Luke mierząc go wzrokiem ponad okularami.

W dużym pokoju, o wielkości stodoły, takim jak ten, oświetlonym pojedynczą dymiącą lampą, zawsze jest mało światła i wszędzie czają się cienie. Są to szalone, groteskowe, fantastyczne cienie, które wydają się żyć własnym życiem; gdy niepewny płomień w poczerniałym kloszu lampy migocze i chwieje się, wyrzucając małe włócznie czerwonego ognia w miejscach, gdzie wypala się knot, cienie poruszają się i zdają się pulsować, oddychać oraz skradać się. Sękate dłonie Luke'a, koło lampy, rzucały na podłogę cień, wyglądający jak ogromna czarna tarantula, która właśnie zaczyna się podkradać, poruszając się bardzo ostrożnie, być może zamierzając jednym błyskawicznym rzutem poderwać się do szybkiego ataku na swoją ofiarę. Za Rossem Haverilem na ścianie widniał przyczajony, zdeformowany olbrzym, paskudny, złowrogi i groźnie wyglądający potwór.

Z dworu, stanowiąc jedynie lekkie zakłócenie niemal przytłaczającej ciszy, dochodziło rechotanie żab na wilgotnej łące pod spiętrzającą wodę tamą, a także stłumione i rzadkie pobrzękiwania krowiego dzwonka. Dźwięki te, w jakiś sposób, miały efekt sprawiający, że noc wydawała się spokojniejsza, dając łagodny i zgodny kontrast jej ciszy, i podkreślając samotność rancza oraz jego oddalenie od reszty świata.

— Pamiętasz starego Barneya? — zapytał cicho Luke.

— Barneya? — Początkowo Ross Haveril nie pamiętał, po chwili sobie przypomniał. Barneya nazywano starym Barneyem, jeszcze kiedy Ross był chłopcem; stary Barney, jeśli ciągle żyje, musiał mieć teraz jakieś trzydzieści lat.

— Myślę, że to był pierwszy koń, na którym w ogóle jeździłem — powiedział Ross. — Bez siodła. Kiedy spadałem, on stawał w miejscu; oglądał się przez ramię z niesmakiem, a potem zaczynał szczypać trawę.

— Możesz mu powiedzieć cześć, jutro rano — powiedział Luke i wrócił do łatania swoich spodni. — Teraz to już jego ostatnie dni. Dlatego ma ten dzwonek. Słyszę go czasami w nocy, jak teraz, i dzięki temu wiem, że ciągle żyje. Lubi kręcić się koło domu. Ma jednak wygodne życie; nadal ma dobre zęby, choć trochę starte; lubi wylegiwać się na słońcu i obserwować, co się dzieje.

— Domyślam się, że on to wszystko rozumie?

— Jasne, że rozumie! Stary koń, taki jak on, zawsze rozumie. — Dobiegło kolejne słabe brzęknięcie, ale zabrzmiało jakby bliżej. Luke uśmiechnął się. — On z pewnością jest dumny z tego dzwonka — powiedział.

Po chwili Ross uniósł wzrok, i oczy obu mężczyzn spotkały się w spokojnym, długim spojrzeniu.

— Trochę się cofnąłem szlakiem, od punktu gdzie Bob został zastrzelony wczoraj wieczorem — powiedział Ross Haveril. — Znalazłem miejsce, w którym ukrywał się człowiek, który go zastrzelił. Przyjechał innym szlakiem, z górnego krańca Zagubionej Doliny, starą trasą dla wozów, przechodzącą koło miejsca, gdzie kiedyś stała chata starego Balbriggana. Po zastrzeleniu Boba wrócił tą samą drogą. Bull Strake i jego ludzie nie połączyli się z nim. Pojechali prosto, kierując się w stronę przełęczy od niższej strony doliny.

— A dokąd on pojechał, ten facet, który zastrzelił Boba? Z powrotem do Zagubionej Doliny - a potem w którą stronę?

— Nie wiem, dokąd pojechał, ale dowiemy się tego, z twoją pomocą — powiedział Ross. — Oto jak to się odbyło…

Znalazł niezbyt dawne ślady w zdeptanej świeżej trawie, gdzie kryjący się człowiek czekał przez kilka minut, dając odpocząć koniowi; z tego miejsca znalazł dalszy trop, głęboko wyciśnięty przez kopyta pędzącego galopem konia, i podążył za nimi powoli, wpatrując się w ziemię. I tak, zanim przejechał pięć minut, zauważył rdzawo-brązową plamę rozpryskaną na kawałku szarego granitu, który zrobił się już prawie biały, zsiadł z konia i stwierdził, że plama to zaschnięta krew. Potem widać było kolejne ślady krwi; zastanawiał się, jak człowiek może tak krwawić i nadal utrzymać się na pędzącym koniu.

Ślad poprowadził go między porozrzucanymi drzewami na górnym krańcu High Flats, potem przez kawałek otwartej górskiej łąki, a wreszcie prosto w kierunku klifów, które wyznaczały krawędź równego terenu i stromo spadały jakieś dwieście lub trzysta stóp. I tam wszystko się kończyło.

— Nie opowiadaj mi tu bajek — jęknął Luke Oliver, a jego oczy były równie okrągłe co jego okulary. — Chcesz mi powiedzieć, że skoczył prosto w przepaść?

— Patrzyłem z samej krawędzi, spoglądając w dół — powiedział Ross. — Widać miejsce gdzie koń uderzył o ziemię, potoczył się, a potem zsunął dalej w dół. Potem zobaczyłem leżącego tam konia, na wpół skrytego w zaroślach.

Ross zjechał dookoła, starą drogą, aż znalazł się u podnóża klifów kilka mil dalej. Tam skręcił i w końcu dotarł do martwego zwierzęcia.

— I wtedy zrozumiałem skąd się wzięły te ślady krwi — powiedział. — W czasie naszego starcia to koń został postrzelony, nie jeździec. Kula trafiła go w przednią część barku i zadała mu długą, głęboką ranę, a następnie rozcięła mu gardło; nie pomyślałbyś, że dałby radę biec tak daleko. Ale biedak został zmuszony do biegu; jego boki były całe rozdarte uderzeniami ostróg, które otrzymał. Kiedy dotarł wreszcie do krawędzi klifu, koń musiał się już strasznie chwiać na nogach. Następnie jego jeździec zsiadł, zerwał siodło i uzdę, doprowadził konia prosto do krawędzi przepaści - i wystrzelił mu kulę w mózg. Jedno silne pchnięcie posłało go na dół, martwego, zanim jeszcze uderzył w skały.

— Siodło i uzda zniknęły, co? Jakieś znaki na koniu, mały?

— Żadnych znaków, Luke.

— Co to za koń?

— Ciemny kasztan. Wyglądał na dobre zwierzę, w dobrej kondycji; może sześcioletni. Jutro pojedziesz ze mną; jest szansa, że będziesz wiedział, do kogo należy.

Luke skinął głową.

— Chyba powinienem. Tak czy inaczej pojedziemy zobaczyć.

— Powiem ci z góry, czego się dowiesz, stary. Że to koń z Zagubionej Doliny; że należał do Toma Storma.

— Masz na myśli, że to Storm się tam przyczaił? Że to Storm zabił Boba?

— Opowiem ci coś, Luke; coś, o czym nie pomyślałem wczoraj wieczorem, miałem głowę zajętą czymś innym. Kiedy przywiozłem Boba do Zagubionej Doliny, w domu nie było nikogo; światła się paliły, ale nikogo tam nie było. Wyszedłem na zewnątrz, żeby prosić o pomoc; chyba biegłem, kiedy znalazłem się koło stodoły. W ciemności wpadłem na kogoś, kto śpieszył się niemal tak bardzo jak ja. Niósł siodło; Zaplątałem się w nie. To był Tom Storm.

— Hm — powiedział Luke po krótkiej medytacji. A potem: — Wygląda to trochę źle, ale to, że niósł siodło, nie jest żadnym dowodem, prawda?

— Szkoda, że nie widziałeś twarz Storma, kiedy wszedł do domu i zobaczył Boba leżącego na swojej sofie! Toma trudno ruszyć, Luke; ale i tak zrobił się na chwilę blady jak ściana i wybałuszył oczy, jak człowiek widzący coś strasznego.

— Rozumiem cię, mały — oznajmił powoli Luke. — Chcesz powiedzieć, że gdyby jakiś facet zastrzelił kogoś gdzieś w lesie, a potem wrócił do domu i znalazł tego człowieka umierającego na kanapie w swoim salonie, to prawdopodobnie wyglądałby jak Storm?

— Sam mi mówiłeś, że Storm i Bob nienawidzili się do szpiku kości. To wszystko przez tego małego, cholernego kociaka Jacka Devlina, jak przypuszczam? Zaczyna mnie to wkurzać, Luke, na samą myśl o takim porządnym człowieku jak Bob Roberts, który idzie pod ziemię dla kogoś takiego jak ta piekielna…

— Bądź dla niej łagodniejszy, mały — wtrącił ostro Luke. — Nie jest taka zła; w większości jest nawet cholernie dobra. Biorąc pod uwagę, że miała Black Jacka Devlina za matkę i ojca, no cóż, powiedziałbym, że jest prawdziwym asem.

— Uciekła od Boba, kiedy umierał!

— Ludzie bywają dziwni — zamyślił się tolerancyjnie Luke. — Nigdy nie wiadomo. Słyszałem kiedyś o treserze lwów, wielkim gościu, o którym ludzie mówili, że nie boi się nawet samego piekła - a mimo to mały pajączek wystraszył go tak, że prawie wyskoczył z gaci. Rose Devlin ma charakterek swojego starego, charakterek mosiężnej małpy - ale kiedy doszło do oglądania śmierci człowieka - no cóż, po prostu nie potrafiła tego wytrzymać. Założę się, że czuła się z tego powodu gorzej niż z kiedykolwiek wcześniej w życiu, i założę się też, że teraz czuje się z tego powodu jeszcze gorzej niż wtedy. Tyle że nie potrafiła stawić temu czoła.

Ross wstał i zaczął niespokojnie krążyć po pokoju. W pewnej chwili powiedział:

— Szkoda, że nie pojechałeś ze mną dziś po południu.

Po kilku chwilach:

— Chciałbym, żeby już zrobiło się jasno.

A wreszcie:

— Jestem głodny. Co jest do jedzenia, Luke?

— W tej chacie, nic, mały. Chodź do mnie.

— Idź, Luke, zobaczymy, co uda ci się znaleźć. Ja zaraz przyjdę.

Luke odłożył szycie, wstał, rozprostował nogi i wyszedł. Dwie lub trzy minuty później, poszedł za nim Ross Haveril. Ale zszedł ze ścieżki, prowadzącej do budynku dla kowbojów; stał przez chwilę, nasłuchując, a potem skierował się przez ciemność w stronę jednego z wielkich dębów, z niskimi, grubymi konarami, spod których dobiegał słaby dźwięk dzwonka dla krów.

Znalazł starego Barneya stojącego koło drzewa, opartego o nie jednym wysokim, kościstym barkiem. Ross powiedział cicho:

— Cześć, Barney, mój staruszku. Pamiętasz mnie? — Wplótł jedną rękę w rzedniejącą już grzywę i powiedział ponownie: — Cześć, Barney, stary.

Stary Barney uniósł głowę i słabo nią potrząsnął; potem powoli przysunął głowę bliżej; leciutko musnęła ramię Rossa Haverila. Wtedy stary Barney prychnął i po prychnięciu zaczął delikatnie skubać rękaw Rossa. A Ross powiedział:

— Ty stary łobuzie!

Poklepał chudy bark i powiedział:

— Do zobaczenia rano, mój staruszku — i poszedł w stronę baraku.

Dzwonek zadźwięczał za nim, głośniej niż kiedykolwiek przedtem; nagłe drżące rżenie rozbrzmiało w nocnej ciszy.

— Stary diabeł! — powiedział sobie Ross.

Założyłby się, że rano zobaczy starego Barneya. Ale wtedy nie wiedział tego, co prawdopodobnie wiedział już stary Barney: kiedy słońce wzeszło ponownie, stary Barney nie żył.

W budynku dla kowbojów, miejscu nie do opisania nieuporządkowanym i wygodnym, Ross znalazł Luke'a Olivera robiącego partię świeżych placków. W narożnej szafce znajdowały się puszki, które mogłyby uradować serce głodnego człowieka: fasola, pomidory i inne podobne przysmaki. Wkrótce parująca kawa rozniosła swój aromat daleko i szeroko i sprawiła, że wszystko zrobiło się absolutnie w porządku.

— Luke, mój drogi — powiedział Ross, kiedy usiadł przy stole, — ty i ja jeszcze nie porozmawialiśmy szczerze. Jest ten kredyt hipoteczny, który ma Tom Storm, a jest też fakt, że jesteś właścicielem Sekretnej Doliny, a ja ją chcę odzyskać i jestem gotów za to zapłacić.

— Zabawne — odparł Luke. Przysunął sobie krzesło i najpierw zaczął sapać, potem bulgotać, a na końcu zachowywać się jak miniaturowy Wezuwiusz. — Zabawne, że wydaje się, jakbyś był tutaj już od dawna, a przy tym, że mijają kolejne wydarzenia, jedno po drugim, a tobie nie udało się jeszcze odpowiedzieć na pytanie, które ci zadałem, kiedy się

pojawiłeś. Chętnie bym usłyszał, zanim zaczniemy szczerze rozmawiać, jaki bank obrabowałeś. A może mennicę?

— Ty świętoszkowaty stary draniu! — Ross wyszczerzył do niego zęby. — Od kiedy to jesteś taki, że nie tkniesz dolara, jeśli nie zostanie najpierw wyszorowany mydłem i papierem ściernym, a następnie opakowany w kompletny rodowód?

— A skąd mam wiedzieć, jakim człowiekiem stałeś się przez te ostatnie lata swojej włóczęgi? — zaczął dopytywać się Luke śmiertelnie poważnym tonem. — Jeśli to są pieniądze, przez które ma mnie ścigać jakiś szeryf, to ja ich nie chcę, dzięki.

— Myślisz, Luke, do cholery, że może jestem jakimś złodziejem, co? — burknął Haveril.

W jego oku wciąż widoczny był błysk. Luke prychnął.

— Do diabła, nie! Nadal jesteś Haverilem, prawda, bez względu na to, w co jeszcze mogłeś się zmienić. Ale rozbójnikiem na drodze? To co innego. Jeśli o mnie chodzi, nie byłbym tego taki pewny. Nie, dopóki mi tego jasno nie powiesz.

— I uwierzyłbyś we wszystko, co ci powiem?

— Nigdy w życiu nie nazwałem cię kłamcą, prawda? — oświadczył Luke z wyraźnym oburzeniem.

Ross Haveril wybuchnął jednym ze swych gromkich śmiechów i wyciągnął długą rękę, żeby klepnąć Luke’a w ramię.

— Dobra, Stary Ciekawski, opowiem ci.

I w ciągu dwudziestu minut Ross naszkicował sporą część swojego życia z ostatnich kilkunastu lat. Wymienił mimochodem osobę Toma Storma, ponieważ Tom był częścią tej historii; Toma i Willarda Hale’a. Już wcześniej o nich wspominał; rozszerzył to tylko na tyle, na ile było to konieczne, aby uspokoić umysł Luke'a Olivera. Kiedy Tom Storm i Willard Hale się wynieśli, zabrali całą gotówkę, jaką mieli na podorędziu; sprzedali pewne prawa do kopalin, które były przypisane do nazwisk całej ich trójki, wybierając prostą drogę dodania odrobiny prymitywnego, lecz skutecznego fałszerstwa do innych swoich przestępstw; pozostawili go, jak myśleli, bez złamanego grosza w kieszeni.

Mimo to zatrzymał kilka z szeregu należących do nich działek, które wszyscy trzej zgodnie uznali za bezwartościowe. Na początku próbował ruszyć w pościg za Stormem i Hale'em; bez funduszy, stojąc tak jak był i nie mając najmniejszego pojęcia, dokąd zmierzają. Natychmiast zauważył, że przez takie ataki wściekłości, które odbierają rozum człowiekowi, robi on z siebie głupca. Wrócił do swoich działek i po sześciu miesiącach bolesnego, ale zawsze upartego wysiłku, zebrał wreszcie co nieco.

Nie było tego wiele, ale zawsze coś. Dało mu to amunicję do nowej potyczki z przeznaczeniem, które wydawało się być jego zbrojnym nieprzyjacielem. Potem przeżywał chwile, które w tamtym czasie wydawały się być niekończącym się ciągiem lat chudych i lat tłustych, a pasma chudości były szersze, grubsze i częstsze niż pasma tłuszczu.

Zobaczył wiele z Ameryki Południowej, w tych latach, kiedy polował na złoto i srebro, nie przejmując się, dokąd podąża, jak głęboko zanurzy się w dzikie górskie krainy, prowadzony przez wszelkie, najdrobniejsze nawet

pogłoski; i z czasem odkrył, że nieustannie kieruje się na północ, aż od końca do końca poznał również Amerykę Środkową — i wreszcie dotarł do Meksyku…

— I, ze wszystkich rzeczy — powiedział Ross, — w końcu wypaliła ropa naftowa. Tak właśnie powstała ta gruba zielona wyściółka w pasie na pieniądze, Luke. I mam tego znacznie więcej.

— Głupiec ma zawsze szczęście — skomentował Luke na koniec. — To dusza Haverilów w tobie.

Głupiec ma zawsze szczęście! Ross Haveril nic nie powiedział, ale na jego ustach pojawił się ironiczny uśmiech, gdy pomyślał o tych dziesięciu latach, latach, w czasie których ze dwadzieścia razy padał już na kolana; latach, które łamały mu serce, a potem je naprawiały, tak jak - pomyślał sobie raz czy dwa - lekarz dusz mógłby cierpliwie pracować nad człowiekiem, aby był w dobrej formie przed dniem, na którym wyznaczono jego egzekucję na szubienicy. Wzruszył ramionami i kontynuował posiłek.

Luke niewiele przegapiał, zauważył, jak gorycz wykrzywiła usta młodzieńca, i pomyślał: „Dzieciak przeżył ciężkie chwile, ale nie powaliło go to i wyszedł z tego cało - i chciałbym, żeby jego matka była tu teraz, żeby rzucić na niego okiem — a zresztą skąd ja do cholery mam wiedzieć? Może i tutaj jest!

Rossowi zaś powiedział:

— Spłać hipotekę i weź sobie to cholerne ranczo. Ja mam go dość. Nigdy nic mi ono nie dało, poza pęcherzami na rękach, zadrapaniami na plecach i dziurami w kieszeniach. Ja daję sobie z nim spokój, i bierzcie je sobie w jaki chcecie sposób, albo ty albo Tom Storm. Ja mam go już dosyć. Jest twoje, jeśli je chcesz.

— Dobrze — powiedział Ross Haveril i udawał poważnego, kiwając głową oraz dodając: — Dzięki, Luke. Myślałem, że tak powiesz. Wielkie dzięki, staruszku.

Wygłaszał swoje podziękowania tak, jak mógłby to zrobić, gdyby Luke podał mu drinka lub papierosa. Luke patrzył na niego, a wokół oczu pojawiły mu się, mimo woli, dziwne małe zmarszczki. Twarz Rossa Haverila była tak poważna i pozbawiona humoru jak kamienna twarz Indianina. Cholera jasna, co za wrzeszczący, zakichany, zasmarkany szczeniak!

I dokładnie w tej samej chwili, nagle Luke Oliver zrozumiał co się dzieje, i tym razem to on wybuchnął gromkim śmiechem. Poderwał się na nogi, pochylił się nad stołem i strącił kapelusz Rossa, nadepnął na niego raz, a następnie podniósł go na blat czubkiem buta.

— O ty, wrzeszczący, zakichany, zasmarkany szczeniaku! — wrzasnął radośnie Luke.

Śmiech Rossa Haverila i Luke'a Olivera utworzyły bardzo przyjemnie brzmiący duet. Może stary Barney pod dębem to usłyszał; doleciał do nich bowiem cichy brzęk dzwonka.

Wtedy jednak Ross i Luke przypomnieli sobie Boba Robertsa i śmiech z nich opadł. Nie spoglądali na siebie. Ross odsunął talerz i zapalił papierosa. Luke znów zapalił fajkę. Siedzieli w milczeniu, paląc.

Wczesnym, łagodnym, porankiem chłodnego początku lata, wspięli się na grzbiet wzgórza, zjechali na High Flats i do podnóża klifów, pod którymi Ross Haveril znalazł martwego konia. Kiedy tam dotarli, słońce było już wysoko, niebo wypełniło się światłem, długie, złote promienie wszędzie przeganiały resztki cieni. Ich konie szarpały wędzidła, czując zapach śmierci, lecz w końcu, choć mocno parskając, zostały zmuszone przy pomocy wodzy i ostróg, do podejścia blisko do miejsca, którego szukał Ross.

On i Luke siedzieli w milczeniu w siodłach, spoglądając w dół; kiedy unieśli głowy, żeby na siebie popatrzeć, zawrócili i odjechali. Nie zwlekali; nawet nie pomyśleli, aby zsiąść z koni. Nie było sensu. Mieli konia, którego nigdy nie da się zidentyfikować: W nocy jego jeździec powrócił i mozolnie zdjął ze zwierzęcia skórę. Ani Luke, który znał większość koni w okolicy, tak jak niektórzy znają wszystkich swoich sąsiadów-ludzi, ani żaden inny człowiek, z wyjątkiem tego, który dosiadał zwierzęcia, nie mógłby stwierdzić czyj to koń. Kiedy odjechali kawałek, Luke zauważył:

— To sprytny krętacz, mały. Używa głowy. Trudno go będzie złapać.

— Tak, jest sprytny. Może nawet za sprytny. Może tym razem przechytrzył sam siebie. Posłuchaj, Luke: fakt, że zdarł skórę, oznacza, że jest tym, kogo szukamy. I oznacza coś jeszcze. Albo cały wczorajszy dzień krył się tu gdzieś, czekając, aby wrócić nocą, albo mieszka całkiem niedaleko.

— Masz na myśli Toma Storma, oczywiście — stwierdził Luke. — No cóż, może. Wcale bym się nie zdziwił. Ale i tak nie jesteśmy do końca pewni, mały. Musisz być cierpliwy.

Ross Haveril nic na to nie odpowiedział. A gdy obaj skierowali się w stronę domu, języki w ich ustach spoczywały raczej w spokoju.

Tym razem, gdy mijali Górski Dom, z komina unosił się dym, a na werandzie stała nieruchoma, szczupła postać, oparta o jedną z drewnianych kolumn podtrzymujących dach. Gdy podjechali bliżej, zobaczyli, że to Rose Devlin. Zatrzymali konie, Luke Oliver, by powiedzieć jej radosne „dzień dobry”, Ross Haveril, aby jej się przyjrzeć.

Twarz miała bladą, a oczy zaczerwienione i opuchnięte od płaczu.

— Powinnaś pójść i się schować — rzucił jej Ross Haveril ze złością. — Powinnaś pójść i się schować, dopóki ludzie nie zapomną o Bobie Robertsie. Och, wkrótce wszyscy zapomną; ludzie nie pamiętają takich rzeczy zbyt długo. Ale jak będzie z tobą?

Jej spojrzenie powędrowało na spotkanie z jego, umknęło w bok i nic nie mógł z niego wywnioskować. Ale zobaczył, jak jej powieki powoli opadają. Zaczął znowu mówić, ale Luke Oliver mu przerwał:

— Zamknij się, Ross — i odjechali dokładnie w chwili, gdy na werandzie pojawił się Black Jack Devlin.

## Rozdział XV

Powieki Rose Devlin, tak mocno się zacisnęły, że wycisnęły z jej oczu dwie łzy, które spłynęły jej po policzkach. Na odgłos kroków ojca za plecami, otarła łzy grzbietem dłoni; nie odwróciła się w jego stronę, lecz jej oczy, teraz otwarte i mroczne z cierpienia, podążały za dwoma jeźdźcami, aż zniknęli oni z pola widzenia między sosenami na zboczu grzbietu.

— Luke Oliver i ten przyjezdny, Haveril? — zapytał Black Jack Devlin.

Nie odwracając się, skinęła głową. Był to zmęczony, pozbawiony życia gest, zupełnie niepodobny do zwykłego zachowania Rose Devlin w taki radosny poranek. Devlin, zatrzymując się u jej boku i nie ściągając na siebie jej spojrzenia, zadał drugie pytanie:

— Co ci ten Haveril powiedział?

Uniosła ramiona w sposób oznaczający: „Och, a co to za różnica?". W ten pozbawiony ducha sposób, który oznacza: „A jaką różnicę robi w ogóle cokolwiek?".

Wiedział, że po raz pierwszy w jej życiu, śpiewny duch jego córki został w niej skruszony; zdawał sobie sprawę z tego, że ostatniej nocy spała mało lub wcale, oraz że była niespokojna, szaleńczo rozdarta, gorzko płakała; i że przez cały dzisiejszy dzień również szamotała się w taki sposób. Popatrzył na nią od tyłu, widząc tylko krągłość policzka, i odwrócił wzrok, by po chwili spojrzeć na nią ponownie.

— Posłuchaj, moja malutka — powiedział po chwili — czy mimo wszystko kochałaś Boba?

— Tak, kochałam go. — Mówiła cicho i miarowo, ale jej głos, podobnie jak ona sama, wydawał się w jakiś sposób odległy, jakby stłumiony zarówno z powodu odległości, jak też i brzemienia, które na niej spoczęło. — Teraz zdaję sobie sprawę, że był najlepszym człowiekiem, jaki kiedykolwiek się tu pojawił, najlepszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek poznałam. Był czysty, silny i piękny. Tak, kochałam Boba, ale nie byłam w nim zakochana.

Devlin odetchnął z ulgą.

— Wiem, co masz na myśli.

— Naprawdę? — Zastanawiała się. Zastanawiała się dzisiaj nad wieloma rzeczami; głównie nad sobą, i to po raz pierwszy w życiu; ale także nad wieloma innymi rzeczami. Powiedziała to tak, jakby mówiła do siebie, a nie do niego, bo być może tak właśnie było: — Dlaczego Ross Haveril musiał wrócić wczoraj wieczorem? Dlaczego musiał zagrać i wygrać? Gdyby wszystko potoczyło się inaczej, Bob żyłby teraz.

— Niech go diabli wezmą — oznajmił Black Jack, okazując swoim tonem więcej emocji, niż zwykle sobie na to pozwalał. — Powinno się go wygnać z okolicy - i tak też się stanie, kiedy tylko odzyskam od niego pieniądze. Są dwa rodzaje Haverilów, znam ich od dawna. On jest Haverilem hołotą, włóczęgą, rozrabiaką. Kiedy pojawił się tu po raz pierwszy…

— Kiedy się tu pojawił… był jak huraganowy wiatr. Jak burzliwe wichry, które szaleją w górach, wyginając i łamiąc olbrzymie sosny. Tak, on sprawia kłopoty, lecz jego oczy są jasne jak słońce. Ross Haveril nie jest włóczęgą, Jack, i dobrze o tym wiesz. Jeśli są wśród nich jacyś próżniacy, to on do nich nie należy.

Gdyby spoglądała na niego, jego twarz zastygałaby w zwykłej masce. Teraz jednak pojawił się na niej wyraz zakłopotania; osobliwego zakłopotania i niepokoju.

— Nie do końca cię dziś rozumiem, moje dziecko — stwierdził dość lekkim tonem. — Powiedziałaś mi, że zeszłej nocy obrzucił cię przekleństwami, a nawet podniósł na ciebie swą przeklętą rękę…

— Uderzył mnie w twarz. Byłam wtedy taka wściekła, że kiedy wróciłam do domu, wygadałam ci się. A teraz? Żałuję na Boga, że nie spoliczkował mnie mocniej!

— Nie do końca cię rozumiem. Chcesz mi powiedzieć, że po tym wszystkim nie nienawidzisz ziemi, po której stąpa ten człowiek?

— Nienawidzę? Jakże mógłbym nienawidzić burzy? Nawet gdyby powaliła wszystkie drzewa, zmiotła nasz dom i strąciła szczyty górskie do kanionów. Mogłabym się jej bać; mogłabym uciekać i próbować się skryć - ale nienawidzić? Nie.

Roześmiał się cicho i poklepał ją po ramieniu; wydawało się, że to najlepszy sposób, aby z nią rozmawiać, aby złagodzić ten jej fantastyczny nastrój.

— Uważaj, panno Devlin, bo zrobisz z niego tak wspaniałego mężczyznę, jakim według ciebie był Bob!

— Może i jest! Skąd mamy to wiedzieć? Co my o nim wiemy? On i Bob byli przyjaciółmi; była to przyjaźń, za którą Bob zginął. Może Ross Haveril zginąłby za Boba, gdyby sprawy potoczyły się inaczej.

— No cóż — stwierdził Black Jack.

— A ja — powiedziała Rose, odwracając się w końcu i spoglądając ojcu w oczy — jestem tylko piekielną kocicą, tak jak mnie nazwał. A co gorsza, paskudnym, podstępnym tchórzem.

— Nie jesteś! Nic z tych rzeczy. Ale powiem ci, kim jesteś; jesteś roztrzęsioną młodą damą, to wszystko.

— Gdyby była we mnie choć jedna wątła nitka przyzwoitości, byłabym przy Bobie, kiedy umierał. Powinnam o tym pamiętać!

— Mówię ci…

— Nie, to ja ci coś powiem! — W jej oczach pojawił się nowy, gorący blask, suchy blask, w którym nie było ani odrobiny łez. — Bob nie żyje. Zabił go Bull Strake. Bob nie żyje, bo wmieszał się, gdy Bull Strake próbował zabić i obrabować jego przyjaciela. A to ty wysłałeś Strake'a po Rossa Haverila i jego pieniądze. Widziałam, jak Strake na ciebie spojrzał.

Widziałam, jak ty spojrzałeś na Strake'a. Więc Bob musiał umrzeć i posłał po mnie, a ja do niego nie poszłam.

Devlin przyciął i zapalił cygaro, zanim odezwał się choćby słowem. Nie było sensu mówić córce, że nie wie, o czym mówi; ona wiedziała. Zamiast tego powiedział więc:

— Bull Strake to głupiec. Nie chciałem, żeby kogokolwiek zabijał. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. Po prostu stracił głowę - to było dużo pieniędzy dla człowieka takiego jak Bull Strake.

Spuściła wzrok, gdy mówił. Jego spojrzenie było czyste i wyglądało na szczere, ale wiedziała, że kłamał.

— Masz rację, Jack, mówiąc, że jestem zdenerwowana — odparła, znów beznamiętnym tonem, jakby nic się dla niej nie liczyło. — Może wyjadę, chciałeś tego wczoraj, zanim to wszystko się wydarzyło. Wiem, że brakuje nam teraz pieniędzy! Jesteśmy spłukani, prawda?

Mógł się roześmiać na to, bez udawania. Czyż Black Jack Devlin przez całe życie nie wiedział, jak to jest być spłukanym?

— Dlaczego nie miałabym poślubić Toma Storma? — powiedziała szybko dziewczyna.

— Proszę, proszę! Czy Storm poprosił cię o rękę?

Teraz wydawało się, że przyszła kolej na jej śmiech. Ale nie spodobał mu się dźwięk jej śmiechu, był taki twardy, jasny i kruchy.

— Co w ciebie wstąpiło, moje dziecko? — dopytywał się. — Dobrze wiesz, że nie pozwolę ci poślubić żadnego mężczyzny, którego nie kochasz. Czy kochasz Toma Storma, w taki sposób?

— Miłość? Czym jest miłość – w taki sposób, Jacku Devlinie? Czy ty wiesz?

— Może nie — odparł Black Jack bezdźwięcznie.

Chociaż, może jednak wiedział. Gdy patrzył teraz na swoją córkę, myślał, tak jak to często bywało, o Evelyn Dayton, córce pastora z Cherokee, gdy zobaczył ją po raz pierwszy. Była piękniejsza od Rose Devlin, szczuplejsza i zawsze wyglądała na młodą dziewczynę, nawet gdy była matką Rose, a Rose miała już cztery lata. Tak czy inaczej, niezależnie od tego, czy wiedział, czym jest miłość, był dobry dla swojej słabowitej żony; kiedy zmarła, jako ofiara ciężkiej zimy, kiedy zapalenie płuc zabrało w górach wielu słabszych ludzi, pozostawiła po sobie pustkę, której czas nigdy nie wypełnił. Od czasu, gdy zobaczył ją po raz pierwszy, Black Jack Devlin nigdy nie spojrzał na inną kobietę, a było wiele ładnych dziewczyn, które uśmiechały się do niego zachęcająco.

Black Jack ruszył dalej, odbywając poranny spacer po werandzie, która rozciągała się wzdłuż trzech stron domu, zatrzymując się po zachodniej stronie, aby spojrzeć w dół na Zagubioną Dolinę, przystając na chwilę na południowej części, aby popatrzeć na to, co można było zobaczyć stąd z Rajskiej Doliny, idąc dalej, aż na wschodzie mógł uchwycić między wierzchołkami sosen intrygujące przebłyski krajobrazu Sekretnej Doliny. Tam w dole, na ziemiach Haverilów, widział skalne ściany na północnym krańcu doliny, porośniętej czarnym lasem, z białymi welonami wodospadów, które wznosiły się niczym proporce na tle ciemnych skał i

ginęły we mgle za drewnianą osłoną na długo przed tym, zanim zanurzyły się w szklistych taflach jezior, pięćset stóp niżej od swego początku.

Kątem oka obserwował, jak Rose-alba idzie w dole, ale nie swym zwykłym żwawym krokiem, lecz unosi się apatycznie jak lekki powiew wiatru. Powoli oddalała się od domu wzdłuż grzbietu wzgórza, a ze sposobu, w jaki szła, domyślał się, że nie idzie w żadne konkretne miejsce; nawet nie myślała o tym, by dokądkolwiek iść. Wątpliwe, by widziała ziemię pod nogami czy nieruchome, wysokie drzewa przed sobą. Po prostu chciała być sama, zupełnie sama i być może nawet o tym nie myślała. Cóż, powinno jej to dobrze zrobić.

Jej stopy podążały niewyraźnym szlakiem wijącym się wśród sosen; przechodziła ze światła słonecznego do cienia, czegoś w rodzaju zielonkawego zmierzchu, i wkrótce poczuła się tak samotna, jak chciała być, z ogromną ciszą lasu przysuwającą się ku niej coraz bliżej, aż cisza ta szumiała w uszach jak cisza w morskiej muszli. Odchyliła głowę do tyłu i popatrzyła prosto w górę, przez sosnowe gałęzie, na sporadyczne prześwitujące plamy głębokiego błękitu nieba, a w jej oczach, otwartych teraz tak szeroko, widać było zarówno ból, jak i smutne myśli. Wciąż myślała o Bobie i o tym, że naprawdę był wspaniały, że zawsze traktował ją tak jak żaden inny mężczyzna, i o tym, że teraz już nie żył, a te głębokie, błękitne plamy nieba, tam w górze, były tak samo cudownie miękkie i błękitne, tak samo pogodne. Wymruczała jego imię: „Bob!", a potem powiedziała do siebie: „Jakże żałuję, że go nie pokochałam! Żałuję, że się nie kochaliśmy i nie odeszliśmy stąd, zanim to się stało!". Było to po raz pierwszy w jej życiu - nie pamiętała przecież swojej matki - że śmierć uderzyła tak blisko niej.

Ścieżka, pokryta na cal grubym brązowym posłaniem z igliwia sosen, trzymała się grzbietu wzgórza i wreszcie zrozumiała, dokąd prowadzą ją nogi. Znajdowała się tam skała, która wznosiła się zawrotnie stromo, niczym poobijana i pokruszona iglica, i która z jakiegoś nieznanego jej powodu nazywała się Daleką Skałą. Trudno było się na nią wspiąć, jeśli nie znało się właściwego sposobu, a także była niebezpieczna, jeśli jej się dobrze nie znało, ale na samym szczycie znajdowało się płaskie miejsce o szerokości małego pokoju, gdzie wspinacz mógł odpocząć i oddać się bezpiecznej samotności. Miejsce to znajdowało się ponad wierzchołkami sosen; stąd oglądała wiele łagodnych zachodów słońca, a nawet kilka rzadkich świtów nad tym, co w jej młodych oczach wyglądało jak ogromna część świata. Z Dalekiej Skały rozciągał się taki sam widok jak z werandy Górskiego Domu, a nawet rozleglejszy.

Wciąż rozmyślając o martwym Bobie Robertsie, stała zupełnie bez ruchu, tylko jej rozpuszczone włosy poruszane były najdelikatniejszym powiewem wiatru. Spoglądała na odległą, tonącą w błękicie, południową dal, na opadające grzbiety i doliny schodzące w dół, ku niezmierzonej przestrzeni równinnych terenów, i dalej rozpływając się w mgiełce, w której ziemia i niebo stapiały się oraz łączyły – i gdzie leżało Liberty. I od rozmyślań o Bobie, przeszła do myśli o sobie, jak to bywa zarówno w młodości jak i w bardziej dojrzałym wieku; zaczęła dumać nie o martwym Bobie, lecz o sobie oraz śmierci, o dwóch rzeczach, które tego pięknego,

wczesno-letniego poranka były od siebie bardziej odległe niż bieguny ziemskie, a jednak obie te rzeczy, zbliżały się ku sobie ukradkiem z każdym jej oddechem. Przypomniała sobie, jak kiedyś, gdy była bardzo małą dziewczynką, Hannigan powiedział jej kiedyś: „Za każdym razem, kiedy wciągasz i wypuszczasz powietrze, ktoś, gdzieś na świecie, umiera” i jak potem starała się wstrzymać oddech na tak długo, ile tylko była w stanie, a jej serce trzepotało lekko ze strachu i dziecięcej czułej litości, aby nikt nie musiał właśnie wtedy umierać. Była teraz tym dzieckiem, gdy powiedziała na głos, tak że jej słowa dotarły do jej uszu: „O Boże, dlaczego wszyscy musimy umrzeć?”. Schowała twarz w dłoniach i zadrżała ze strachu.

Po chwili, spoglądając w bliżej położone miejsce, na niskie wzgórza, gdzie można było dostrzec ślady drogi dla wozów, wijącej się stopniowo w górę, od położonej w dole drogi do Liberty, zobaczyła nadjeżdżające wozy, a jej błądzące myśli powróciły na ziemię i do codzienności.

Były to trzy czterokonne zaprzęgi, konie mocno wytężały się pod ciężarem ładunków; w miejscach, gdzie nachylenie wzgórz wzrastało, woźnice od czasu do czasu wciskali hamulce, powstrzymując wozy przed staczaniem się w dół stoku, dając odetchnąć koniom.

Potem dostrzegła jeszcze jeden wóz, znacznie bliżej, daleko przed pozostałymi, który objechał leśny zakręt i skierował się do Sekretnej Doliny. Trudno było się nie zastanawiać, co może oznaczać, ten niezwyczajny transport do doliny, do której tak niewiele zaprzęgów przybywało przez te wszystkie lata, które pamiętała. Nagle zrozumiała: Haveril wrócił i zamierzał pozostać. Ross Haveril był wczoraj w Liberty; nie tracił czasu, pomyślała z goryczą; wrzucił świeżo zmarłego Boba do grobu i zajął się swoimi własnymi sprawami. Bez wątpienia te zaprzęgi wyruszyły już wczoraj; woźnice musieli rozbić obóz gdzieś przy drodze, aby przybyć tutaj tak wcześnie. Haveril powrócił do swojej doliny w swoich górach i miał pieniądze w kieszeni, tak więc przybywali tutaj ludzie, konie i zapasy; w sennej, starej Sekretnej Dolinie, pojawiło się nowe życie. Odwróciwszy się nieco, mogła nawet dostrzec stary dom Haverilów, plamę szarości na pięknej zieleni doliny, jak kawałek porostu na omszałej zielonej skale. Na tych wozach jedzie drewno, rozpocznie się odbudowa, a potem uzupełnianie zapasów - i Ross Haveril, który o wiele lepiej zrobiłby, gdyby umarł sobie gdzieś tam, w Ameryce Południowej, i pozwolił żyć dalej Bobowi Robertsowi - zostanie tutaj…

Zaczęła się zastanawiać, gdzie, kiedy i w jaki sposób znów się z nim spotka. Zalały ją fale gniewu, zacisnęła ręce po bokach i mocno zagryzła zęby. A jednak - i to ją też rozgniewało! - poczuła nagły przypływ zainteresowania. Stała tak przez dłuższą chwilę, przyglądając się, lecz kiedy zdała sobie sprawę, że nie obserwuje już wytężających swe siły zaprzęgów, ale spogląda w dół na wyższą część doliny, na dom i pola wokół niego, zastanawiając się, czy zdoła stąd dostrzec Haverila, nagle odwróciła się od tego wszystkiego. Popatrzyła jeszcze raz w stronę Liberty, zagubionego w błękitnej mgle, a potem powoli zeszła ze swojego wysokiego stanowiska na szczycie Dalekiej Skały. Podczas schodzenia,

pomimo surowych nakazów, który im wydała, jej oczy ponownie powędrowały w stronę starego, szarego zniszczonego domu.

U podnóża skały, w miejscu gdzie niewyraźna ścieżka prowadziła w jedną stronę z powrotem do Górskiego Domu, i w drugą do lasu, a następnie w dół górskiego zbocza, spotkała Carmencitę Valdez. Były sąsiadkami, ich domy dzieliło zaledwie kilka mil przez góry, lecz nigdy wcześniej się nie spotkały. Dwie noce temu Carmencita po raz pierwszy zobaczyła Rose Devlin. Rose nigdy nie widziała dziewczyny Valdezów. Teraz jednak każda z nich rozpoznała drugą równie szybko, jak sama się została rozpoznana.

Carmencita wyglądała na bardzo drobną, siedząc wyżej, na grzbiecie wysokiego czarnego konia, i na bardzo uroczą, w różowym stroju do jazdy konnej, z kręconymi włosami rozwianymi wokół twarzy, zarumienionymi policzkami i dużymi, jasnymi oczami.

Dziewczęta przyglądały się sobie ze szczerością dwojga dzieci. Obie były na tyle młode, że wyraz ich warg i oczu, nie był zbytnio zawoalowany; zaś od dawna wpajano im, by spoglądały na siebie wyniośle z wyżyn swoich światów. Takie rzeczy były normą w domu Valdezów, gdzie mała Señorita Carmencita w wieku pięciu czy sześciu lat była instruowana o obowiązkach swego dumnego rodu; wszak kiedyś była w nim królewska przodkini! Jej krew była tak błękitna jak niebo. Jak to niebo w górze; *mira, Señorita*! Zwykli ludzie, tacy jak hazardzista, czy też córka hazardzisty, co gorzej, byli jak brudny pył pod czystym butem Valdeza. Zaś Black Jack Devlin, uwielbiający swe dziecko, również nie tracił czasu, by dać jej do zrozumienia, że te paskudne półkrwi mieszańce z Rajskiej Doliny - być może nawet z domieszką murzyńskiej, portugalskiej i indiańskiej krwi - nigdy nie powinny przekroczyć progu przyzwoitego Devlina.

Tak więc teraz Rose-alba i Carmencita, jeśli nawet nie warczały na siebie, to przynajmniej błyskały swymi ślicznymi białymi zębami w uśmiechach!

— Och! — oznajmiła mała Carmencita, a jej ręka dramatycznie uniosła się do piersi. — Ty jesteś Rosy Devlin!

— Jestem Rose-alba Devlin; niektórzy z moich najlepszych przyjaciół nazywają mnie Rosalie — odparła Rose Devlin. Przybrała własną pozę, odrzucając do tyłu swoją wspaniałą grzywę włosów; zdając sobie sprawę, że znalazła się w niekorzystnej sytuacji, ponieważ musi patrzeć do góry, w sensie czysto fizycznym, na dziewczynę na koniu, osłodziła swój uśmiech i powiedziała głosem, który ociekał miodem: — A ty? Już wiem! Ty jesteś Chita Valdez!

*Chita! Uf!* W kuchni Valdezów była Chita - Chita która, nawiasem mówiąc raczej beznadziejnie, zastanawiała się, kiedy następnym razem otrzyma uczciwą zapłatę. *Chita! Valgame*!

Carmencita potrafiła roześmiać się śmiechem przebiegającym przez pełną skalę głosu, jakby wchodziła i schodziła po schodach.

— Jestem panna Valdez z Rajskiego Ranczo — wyjaśniła, — i nazywam się Carmencita Valdez.

Tak więc naprzeciw siebie znalazły się Rose-alba i Carmencita. I obie, za swymi towarzyskimi fasadami, były strasznie podekscytowane i tak pulsowały ciekawością, jak Ewa w dniu Stworzenia.

A więc, to była „panna" Valdez - i Rose Devlin, poniewczasie, pożałowała, że zdystansowała się tak samo, jak ta odziana w lodowy pancerz „panna". Teraz było już za późno; nie było jednak za późno, by pokryć swój uśmiech dodatkową warstwą lodu. Oznajmiła głosem ociekającym trudną do zniesienia słodyczą:

— To takie miłe, że w końcu znalazłeś czas, by się z nami zobaczyć — czy naprawdę masz zamiar odwiedzić Górski Dom? Przykro mi tylko, że…

Chciała powiedzieć, jak bardzo żałuje, że Carmencita wybrała zły dzień, że nikogo nie będzie w domu, że ona sama, jak panna Valdez mogła sama zobaczyć, była właśnie w drodze gdzieś indziej.

Ale zapalczywa Carmencita odpowiedziała w pośpiechu, przerywając słowa Rose:

— Och, nie! Ja tylko przejeżdżałam.

Proszę, proszę, Carmencita Valdez nigdy wcześniej tędy nie jeździła i jeśli nie zawróci, szlak mógł ją zaprowadzić tylko w dwa miejsca: jednym z nich był Górski Dom, a drugim Sekretna Dolina. Rose Devlin otrzymała nowe paliwo dla swojej ciekawości. Zastanawiała się, czego, u licha, dziewczyna Valdezów chciała w Sekretnej Dolinie?

Ross Haveril? Oczywiście. Kto jeszcze, co jeszcze? Ponownie przyjrzała się szykownej elegancji Carmencity. Pomyślała: „Może widziała go, gdy przejeżdżał przez Rajską Dolinę w drodze do Liberty. Nie traci zbytnio czasu!".

Uśmiechnęła się najładniej jak potrafiła, mówiąc łagodnie:

— Ross Haveril przejeżdżał tędy jakiś czas temu. Gdybyś się pośpieszyła, mogłabyś go nawet wyprzedzić, zanim wróci do Sekretnej Doliny.

Zamiast odpowiedzieć, Carmencita obejrzała się za siebie i zawołała ostro:

— Romero! Venga! Chodź tu, Romero!

W zasięgu wzroku, na grubym i leniwym kucu, pojawił się stary Romero; kiedy zobaczył, z kim rozmawia jego mała panienka, wyglądał na zgorszonego. Wyglądał też na przestraszonego; gdyby Don Francisco się dowiedział, obdarłby go ze skóry!

— Jedź przodem, Romero — rozkazała Carmencita. — Pokaż mi drogę, a ja będę jechać za tobą.

Romero, chwytając za kapelusz, z zapałem ruszył aby zabrać ją jak najdalej od tego miejsca i przemknął koło dwu dziewczyn.

Carmencita pożegnała się sztywno z Rose Devlin i odjechała w ślad za Romero. A Rose, spoglądając ze marszczonymi brwiami za oddalającymi się przybyszami, którzy wkrótce zniknęli wśród sosen, ponownie wspięła się na szczyt Dalekiej Skały. Pomyślała:

— Jest śliczna; nikt mi nie mówił, że jest taka ładna. Jest tak ładna jak ja - a może nawet ładniejsza. — A potem pomyślała, przypominając sobie błysk, który początkowo zaskoczył ją w dużych, wyrazistych oczach Carmencity: — Ona nie wybiera się tylko na przejażdżkę. Jedzie gdzieś i

mocno się spieszy; jej koń był mokry od potu. I dopóki nie zaczęła się przede mną popisywać, była zmartwiona - albo zaniepokojona – nie, wystraszona! Tak to właśnie wyglądało! I jedzie zobaczyć się z Rossem Haverilem! To zaczyna się robić zabawne…

Spoglądała na powoli jadące wozy z ładunkiem, ale już ich nie obserwowała. Jej wzrok skupił się obecnie na górnym krańcu doliny, na otwartych akrach ziemi wokół starego, szarego domu i rozsypujących się budynków gospodarczych i zagród, a także na odległym skraju lasu, gdzie wkrótce powinna pojawić się Carmencita Valdez, jeśli naprawdę wybierała się na spotkanie z tym przybyszem, Haverilem. Wiedziała, że będzie musiała długo poczekać, co najmniej godzinę, a może nawet i dwie, ale nie myślała o opuszczeniu swojego stanowiska, dopóki nie zaspokoi swojej ciekawości - ale zanim jeszcze powoli upłynęły te długie minuty, zdała sobie sprawę, że „zaspokoić” to niewłaściwe słowo. Gdyby zdobyła pewność, że Carmencita Valdez odbyła tę długą drogę po nieznanych szlakach, aby spotkać się z Rossem Haverilem, pojawiłoby się kolejne pytanie, wielkie i ciągle bez odpowiedzi: „Dlaczego?”.

Po chwili, daleko w dolinie, zobaczyła w jasnym słońcu wysokiego czarnego konia niosącego szczupłą postać ludzką, w różowym stroju jeździeckim. Carmencita, wyjeżdżając spomiędzy sosen, które w dole wyglądały jak gęsta, czarna dżungla, zatrzymała się, i wkrótce jej eskorta, stary Romero, któremu najwyraźniej kazała jechać za sobą, gdy tylko ponownie upewniła się co do szlaku, podjechała do niej.

Kiedy Romero ruszył galopem w stronę rancza, Carmencita wycofała się, aż znów skryła ją ściana lasu.

Tak się złożyło, że Ross Haveril był sam w domu. Kiedy rozległo się pukanie do drzwi, zawołał:

— Proszę wejść!

Stary Romero, obracając w dłoniach kapelusz i z nieszczęśliwie wykrzywioną twarzą, otworzył drzwi i stanął na progu.

— Señor — powiedział, mamrocząc słowa, które zdawały się wydzierać z musu, z jego niechętnych ust — jest ktoś, kto przybył, aby z panem porozmawiać.

— I co? — dopytywał się Haveril, zdziwiony spojrzeniem mężczyzny i słowami, które prawie wyrwały się spod knebla. — Przyprowadź go. Po co się tu kręci? Kim on w ogóle jest?

— To ktoś — mruknął Romero — kto czeka tam pod drzewami. Proszę pojechać tam ze mną. Sprawa jest ważna.

— A kim ty do diabła jesteś? — spytał Haveril.

— Jestem Romero, Señor. Z hacjendy Paraiso.

Ross Haveril pomyślał wtedy, że rozumie. To musi być ten mały, piejący kogucik, Valdez, zdradziecki mały diabeł, bez względu na to, jakie ma wieści.

— Każ mu przyjechać tutaj, jeśli chce się ze mną zobaczyć — oznajmił krótko.

— Ależ, Señor…

— Do cholery, człowieku, czy nie widzisz, że jestem zajęty?
Był zajęty. Jego zarost zaczął go irytować; z jedną stroną twarzy wciąż pokrytą pianą, a drugą czystą, odwrócił się z powrotem do pękniętego lustra.
Romero zdążył jeszcze rozpocząć swoje drugie:
— Ależ, Señor…
Gdy Haveril obrzucił go przekleństwami, łapiąc go za podbródek. Wtedy Romero, cofając się, wyszeptał pośpiesznie:
— Señor, to jest… to jest Señorita Valdez. Nikt nie może jej tu zobaczyć. I jest coś… nie wiem co, ale coś, co jak przysięga, jest sprawą życia i śmierci! Na miłość boską, Señor!
Tak więc, Ross Haveril skończył się golić i poszedł do stajni po konia, a następnie pogalopował za Romero przez pola na skraj lasu. Zagwizdał cicho, gdy zobaczył, jak dziewczyna wygląda w swoim różowym stroju, a kiedy podjechał do niej, zaczął się śmiać. A ona zagryzła wargi i zrobiła się szkarłatna - i obrzucała go groźnymi spojrzeniami, tak jak on obrzucał starego Romero swoimi przekleństwami.
— Och! Jak ty mnie złościsz! — rzuciła się na niego, wyglądając jak mała, szalejąca furia.
Nawet nie powiedział: „Ale przecież ja nic nie zrobiłem! Nie odezwałem się ani słowem!", lecz tylko się zaśmiał.
— Ty… Ty! Wiem, co sobie myślisz! Nie masz prawa! Nie waż się!
Jego chichot, który przedtem już zaczynał cichnąć, przerodził się w nowy wybuch śmiechu.
— Och! — wybuchła po raz drugi, a jej dłoń zmieniła się w małą, zaciśniętą pięść, uderzając w łęk siodła. — Mogłabym cię zabić!
— A więc, Carmencita mia, przyjechałaś aż tutaj, żeby się ze mną zobaczyć? Zamierzasz mnie zastrzelić, użyć noża czy...
— Czy ty nigdy nie możesz być poważny? Nawet przez minutę? Nawet w takiej chwili?
— W takiej chwili? W jakiej?
Romero zatrzymał się w odległości, którą bez wątpienia uważał za zapewniającą dyskrecję, ale nie na tyle, by jej to odpowiadało. Zauważyła, że przechylił swą starą głowę na bok, tak aby jego dobre ucho było skierowane w ich stronę, a ona rzuciła mu spojrzenie i gest, który sprawił, że cofnął się o kilkanaście kolejnych kroków.
— Señor Haveril — powiedziała wtedy Carmencita, trzymając się bardzo sztywno, z uniesionym podbródkiem i głosem tak chłodnym i pełnym dystansu, jak tylko potrafiła - możesz być pewien, że nie przyjechałabym do ciebie, gdybym nie czuła się do tego zmuszona. Chcę, żebyś to zrozumiał.
Widział, że mówi o czymś bardzo dla niej poważnym, nieomal tragicznym, ale nie otrzeźwiła go jeszcze na tyle, by powstrzymać słowa, które wcześniej prawie już zostały wypowiedziane. Wygłosił je z udawaną powagą, kończąc westchnieniem.
— Więc, tak naprawdę nie wróciłaś po to, bym cię znów pocałował?
— To wcale nie jest zabawne — odparła Carmencita i prychnęła z niesmakiem.

Potem wzruszyła ramionami; trzeba było zignorować brak jakiegokolwiek poczucia ogłady u tego łotra, to była kwestia urodzenia, la gente. Przyłapała się jednak na tym, że spoglądając na niego wyniośle, pomyślała: „Nie wiedziałam, że jego twarz jest taka delikatna i szczupła, a jego usta są nawet wrażliwe! A także hojne i silne. Teraz, gdy się ogolił, jest naprawdę przystojny - a w każdym razie byłby przystojny jak mało kto - gdyby tylko nie był tylko wielkim, paskudnym brutalem!”. To tyle, jeśli chodzi o poufałą uwagę skierowaną do Carmencity. Powiedziała mu:

— Przyszłam, ponieważ taki był mój obowiązek. To dlatego, że jestem człowiekiem, a nie jakimś dzikusem...

— Ale jeśli weźmiemy prawdziwego, nieskażonego cywilizacją dzikusa, to jest on najbardziej ludzki…

— Señor! Nie przyjechałam tu na głupoty, mówię ci! Masz mnie wysłuchać, a ja ci coś powiem - Señor! Bez względu na to, co się stanie, nie wolno ci przyjeżdżać do Rajskiej Doliny!

— Dlaczego miałbym chcieć się tam udać - przynajmniej tak długo, dopóki ty przyjeżdżasz tutaj!

— Nie przyjadę tu więcej, nigdy! I dobrze o tym wiesz. Ale musisz zrobić to, co powiedziałam. Nie wolno ci przyjechać do naszej doliny. — Do tej pory rozkazywała, lecz nagle zaczęła błagać. — Obiecaj mi. Obiecaj mi tę jedną małą rzecz, Señor Ross Haveril! Że żadna siła na ziemi, nie zmusi cię do przyjazdu!

— A teraz, to już cię nie rozumiem — powiedział Haveril i zrobił się tak samo poważny jak ona. — Co się stało? Czego się boisz? Dlaczego nie miałabym pojechać tam, gdzie mi się cholernie podoba?

— Nie mogę powiedzieć ci wszystkiego! Mogę ci tylko zdradzić, że nie wolno ci przyjeżdżać do Rajskiej Doliny. Mogę cię tylko ostrzec…

— Ostrzec? — wszedł jej w słowo. — Czy to oznacza, że mam uważać na kłopoty, jeśli postawię stopę w waszej dolinie?

— Pan Roberts - Bob Roberts, ten człowiek z kopalni, który był twoim przyjacielem - on już nie żyje, nieprawdaż, Señor? Chcesz zginąć tak jak on? — Była spięta jak drżąca na wietrze trzcina; jej głos zmienił się w naglący, przestraszony szept. — Oni… — wyrzuciła z siebie. — Oni cię zabiją! Jeśli przyjedziesz do Rajskiej Doliny, to dlatego, że otrzymasz tam zaproszenie - i ktoś cię tam zabije. Teraz powiedziałam ci już wszystko.

Ściągnęła mocno wodze i wykręciła koniem, by rzucić się do gwałtownej ucieczki. Ale on wyczytał to w jej oczach i w tonie głosu, po czym wyciągnął dłoń, łapiąc jej konia za uzdę i szarpnięciem zatrzymując go, tak blisko siebie, że jego i jej kolano otarły się jedno o drugie.

— Porozmawiajmy o reszcie spraw — powiedział jej. — Kto mnie zaprosi? Twój wujek, oczywiście. A kto spróbuje wsadzić mi kulę lub nóż? Ten sam Don Francisco de Valdez y Verdugo?

— Nie, nie, nie! Może, i tak, on cię zaprosi, bo jesteście sąsiadami i dopiero co wróciłeś, i byłoby uprzejmie z jego strony, gdyby zaprosił cię kiedyś na kolację. Ale to nie on… on nie będzie tym…

— Opowiedz mi o tym wszystkim — powiedział Haveril. — Skąd wiesz, czy tylko sobie wyobrażasz… i kto twoim zdaniem czyha na moją głowę… i

dlaczego ten diabeł Valdez ma mnie zaprosić, żebym wpadł do niego i został zarżnięty. Wyjaśnijmy sobie to.

— Nie pytaj mnie; nigdy bym ci nie powiedziała. Ale ja to wiem! I przestraszyłam się, więc zaraz przyjechałam tu, żeby ci powiedzieć. — Cała sztywność ją opuściła i zaczęła się zapadać w siodle; wyglądała na bardzo zmęczoną, bardzo smutną i pozbawioną nadziei. — I nie wolno ci nikomu na świecie powiedzieć, że to ja przyjechałam i powiedziałam ci o tym wszystkim.

Niechętnie cofnął rękę z uzdy jej konia.

— W pewnej części rozumiem. Ten twój wujek może jest łajdakiem, ale nie mordercą; to po prostu drobny łobuz. Czyjeś narzędzie, może? No, Toma Storma, załóżmy! Czemu nie? — Wzruszył ramionami. — Czas pokaże, jak zwykle, czas prędzej czy później wszystko ujawnia. No cóż, muszę ci podziękować, Carmencito; jesteś dobrą dziewczyną.

— A więc mam twoją obietnicę? — zapytała z zapałem. — Będziesz trzymać się z dala od naszego rancza? Bez względu na wszystko, będziesz trzymać się z dala?

Na początku otrzymała w odpowiedzi tylko błysk w jego oczach. Potem swobodnie odparł:

— A jak myślisz?

## Rozdział XVI

**S**ekretna Dolina obudziła się ze snu Ripa Van Winkle'a i nagle ożywiła się jak stado świerszczy. Ekipa ludzi sprowadzonych z Liberty, cieśli i murarzy, zabrała się do pracy nad starym domem, czyniąc go nie tylko zdatnym do zamieszkania, ale wręcz wygodnym, przyjemnym miejscem do życia. Brzydki stary chiński kucharz, którego nazywali Heart's Ease i który wyglądał jak sam diabeł, a gotował jak anioł, zainstalował się w kuchni z mniej więcej czterdziestoma różnymi nożami rzeźnickimi i sprawił, że górskie powietrze zapachniało w nowy sposób aromatami unoszącymi się z jego zawsze szeroko otwartych okien.

Ross Haveril i Luke Oliver stali się w ten sposób partnerami: Ross dał Luke'owi pieniądze na spłatę długu hipotecznego, który miał u Toma Storma, i Luke pewnego ranka pojechał sam do Zagubionej Doliny, gdzie spędził kilka radosnych chwil, przekazując Stormowi pieniądze oraz niszcząc weksel. Ross odkupił więc stary dom Haverilów, a Luke’owi nie było go żal, zaś dzięki nadwyżce funduszy, która trafiła w jego ręce, dołożył się razem ze swoim partnerem do odbudowy rancza. Luke znów stał się tym, kim był wiele lat temu - zarządcą Sekretnej Doliny. Odetchnął z ulgą.

— Mnie, mały, tak jak, jest podoba się o wiele bardziej — stwierdził. — Nigdy nie zabrałbym tego miejsca twojemu ojcu, tylko że on już nie żył, kiedy mi je dał, a ty byłeś gdzieś daleko w świecie. Dopóki żyję, będę prowadził sprawy tego rancza, a jeśli nie spodobają ci się moje metody, poślę cię kopniakiem nad najbliższą górą. Zaś kiedy umrę, cały mój udział wróci do ciebie.

Wywołał tym u Rossa wybuch śmiechu.

— Ty, martwy! Ty stary piekielniku, jesteś taki twardy, że nigdy nie umrzesz.

— Mam nadzieję — odparł Luke. — Życie to niezła zabawa, co, mały? W obecnych czasach, miałem na myśli.

Robotnicy dokończyli przebudowę domu; ogrodzenia zostały zreperowane i powstał nowy corral; Ross, włócząc się pewnego zmierzchu po starym sadzie jabłoniowym, posłał po nowe drzewa do posadzenia; Luke przejechał pięćdziesiąt mil do Big Buffalo i kupił stado młodego bydła, dobijając twardego i zwycięskiego targu z hodowcą, o którym wiedział, że potrzebuje gotówki bardziej niż dzikiej wołowiny na kopytach, umawiając się na dostawę bydła w ciągu trzydziestu dni.

W ten sposób dni mijały, a Ross Haveril, mając obie ręce zajęte pracą na ranczu, zostawił obce sprawy w spokoju, zwracając na nie uwagę jedynie na marginesie swoich myśli. To prawda, że nie zapomniał o Bobie

Robertsie, a co za tym idzie, czasami rozmyślał o Bullu Strake'u i prawdopodobnym związku Storma z tą sprawą, a także o przelotnej wizycie Carmencity i jej szczerym ostrzeżeniu. Ale po raz pierwszy w życiu nie śpieszył się ze sprawami, które, jak widział, mogły się nie wydarzyć. Ani Bull Strake, ani Tom Storm nie zamierzali przeskakiwać płotów, by wydostać się z okolicy, a z rancza Valdez nie przybył jeszcze żaden posłaniec zapraszający go do odegrania roli Dilly'ego: Dilly, przybywaj z wizytą i daj się zabić[1].

— Nie mogę tego zrozumieć — powiedział kiedyś do Luke'a przy kolejnej rozmowie. — Przede wszystkim, nie wiem, dlaczego ten mały hiszpański kogucik tak się na mnie uwziął…

— Wziąłeś od niego sto dolarów — przypomniał mu Luke, — kiedy myślał, że jesteś goły, a potem dowiedział się, że masz więcej pieniędzy niż on. Założę się, że nie umarł z tego powodu ze śmiechu.

— Ale nie chciałby chyba poderżnąć człowiekowi gardła za taką głupotę. A nawet jeśli, to po co miałby to robić na własnej ziemi, gdzie ludzie mogliby się domyślić, że to jego robota? Pewnie ta mała diablica Carmencita zmyśliła całą tę historię.

— Nie — sprzeciwił się Luke. — Nie oszukuj się. Ta dziewczyna nie jest typem żartownisia; wystarczy jedno spojrzenie na nią, by stwierdzić, że traktuje życie bardzo poważnie. — Popatrzył na Haverila uważnie przez brzegi krzywo wiszących na nosie okularów. — A co z twoim nowym życiem miłosnym, mały, w które wplątały się te dwie szalone pannice, Señorita i dziewczyna Black Jacka? Uważaj, bo jeśli jedna z nich nie zdobędzie twojego skalpu, to zrobi to druga. Wiedzą już, że masz pieniądze w kieszeni.

Ross wyszczerzył do niego zęby.

— A może by tak znowu wpaść do Black Jacka? Jesteśmy mu winni trochę pieniędzy, Luke, a nie byliśmy u niego od dłuższego czasu.

— Koniec z Górskim Domem, jeśli masz w głowie choćby połowę rozumu, którym dobry Bóg obdarzył gęsi — odparł Luke. — Nie wiem, jak to ci się udało, poprzednim razem. Black Jack i jego dom są równie uczciwi, jak znaczone karty.

— Dostanie swój rewanż, jeśli tego chce — powiedział Ross.

Luke, wyglądając na zniesmaczonego, powiedział:

— Głupoty.

— Choć raz w życiu możesz mieć rację — przyznał Ross, nie decydując się ani w jednym, ani w drugim kierunku. Mając inne sprawy na głowie, nie pomyślałby tak szybko ponownie o Górskim Domu, gdyby nie to, że następnego dnia do doliny zajechał człowiek, swobodnie siedzący w siodle, bezczelny i pełen wdzięku, w stylu młody-i-szybki, z wiadomością od Czarnego Jacka Devlina. Wiadomość głosiła, że hazardzista znów ma fundusze i chętnie da Haverilowi okazję do zarobku.

Tak więc tego wieczora, zadbany i nieskazitelny, w swojej nowej jedwabnej koszuli, butach i szerokim czarnym kapeluszu, który nosił jak

[1] Najprawdopodobniej aluzja do Charlesa Dilly (1739–1807), angielskiego wydawcy, księgarza i działacza politycznego (przyp. tłum.).

pirat, Ross Haveril ponownie pojawił się u Black Jacka. Luke powiedział: "Nie, dziękuję, ja rezygnuję" i został w domu.

Zastał to miejsce takim samym, jak podczas poprzedniej wizyty, z tą różnicą, że nie było Toma Storma, Boba Robertsa i w sali było mniej ludzi. Ale Black Jack Devlin był na pokładzie, elegancki i przystojny, jak poprzednio, podobnie Rose-alba, znowu przy faraonie; Hannigan wydawał spragnionym ogniste trunki, smutnooki Jimmy Weaver sentymentalnie brzdąkał na pianinie, zaś Doc kusił, by podejść do stołu ruletki. Spojrzenie Rose Devlin z zaciekawieniem przywarło do oczu Haverila, a on przez chwilę pozwolił jej się zatopić w ich tajemniczej głębi. Ani ona się nie uśmiechnęła, ani on; po prostu popatrzyli na siebie. Lecz niemal natychmiast jego uwagę przyciągnęło coś innego.

Przy małym, okrągłym stoliku do pokera siedział samotnie człowiek ze stojącymi przed nim butelką i kieliszkiem oraz schludnym stosikiem sztuk złota, którym ciągle pobrzękiwał. Był to potężny mężczyzna, wielki jak góra i wyglądający na takiego brutala, jakiego Ross jeszcze nigdy nie widział, i najwyraźniej bardzo dużo pił. Był to Grove Jordan, rumiany potwór z ćwierć-calowej długości rudym zarostem; był on kuzynem Bulla Strake'a i trudno było się z nim dogadać. Należał do tego rodzaju ludzi, o których można było powiedzieć, że nienawidzą samych siebie, i nie bez powodu.

Jego gniewne, rozgoryczone oczy uniosły się znad stojącego przed nim stołu i popatrzyły na Rossa Haverila.

— Zagrasz? — powiedział i przewrócił swój złoty stosik. — Jesteś hazardzistą? Zagram z tobą, rzut monetą, orzeł czy reszka, dwadzieścia dolarów za rzut.

Tylko przez sekundę Ross miał wątpliwości. Potem niezwłocznie podszedł do stolika Grove'a Jordana.

— Rzuć monetą — powiedział. — Wybiorę, kiedy będzie w powietrzu.

Czerwony olbrzym wyrzucił monetę z kanciastego paznokcia kciuka.

— Reszka! — powiedział Ross, Kiedy złoty krążek wciąż jeszcze leciał w górę. Upadł na stół i spoczął płasko na blacie, a Grove Jordan rzucił na niego krótkie spojrzenie, po czym podniósł go i rzucił Haverilowi.

— Weź ją — mruknął, a jego głos zabrzmiał ochryple. — Dopadnę cię następnym razem.

— Hej! — zawołał ostro Ross i rzucił monetę z powrotem na stół. — Wybrałem reszkę.

— To była reszka.

— To był orzeł. To twoja wygrana.

— Dlaczego, do cholery! To była reszka i nic więcej.

— Chwyciłeś monetę za szybko. Widziałem ją. Mówię ci, to nie należy do mnie. To był orzeł.

— Jesteś cholernym kłamcą — wrzasnął Grove i położył obie ręce na stole, wyprostowując się.

— Sam jesteś kłamcą — odparł Haveril.

Grove Jordan, pochylając się, zacisnął pięść, która miała wielkość rękawicy bokserskiej, i uderzył pierwszy. Haveril, gotów stawić czoła swojemu przeciwnikowi, wykręcił się lekko na bok, uchylił przed ciosem i

wyprowadził własny. Trafił Jordana prosto w podbródek i posłał go z rumorem na podłogę. Dopiero wtedy Ross Haveril zauważył, co zrobił.

Powalił jednonogiego człowieka. Kiedy Jordan siedział za stołem, Ross nie zdawał sobie sprawy z tego faktu. Wielki mężczyzna stracił prawą nogę, wysoko nad kolanem, i nosił niezgrabny drewniany kikut. Teraz, gdy leżał na podłodze, z trudem próbując się podnieść, łatwo było dostrzec, co mu dolega zarówno fizycznie, jak i pod innymi względami; utrata nogi sprawiła, że stał się zgorzkniałym i brutalnym człowiekiem, jakim był teraz.

Twarz Rossa Haverila poczerwieniała jak burak. Otworzył usta, by powiedzieć: „Do diabła, człowieku, nie wiedziałem! Dlaczego mi nie powiedziałeś?” Odruchowo chciał pomóc mu wstać. Ale dzięki jakiemuś instynktowi powstrzymał się przed wykonaniem tych gestów. Po prostu tylko stał i czekał. Grove Jordan miał trudności ze wstaniem. W końcu mu się udało. Wrócił do Rossa.

— Nie będę się z tobą bił — powiedział Ross. — Aż tak się nie pokłóciliśmy.

— Jesteś śmierdzącym tchórzem. Wyrwę ten mój kikut i zatłukę cię na śmierć.

Haveril widział ogień w oczach przeciwnika i wiedział, co tamten czuje. Ale nie chciał się zupełnie poddać.

— Niech będzie — powiedział. — Ale walczymy na równych warunkach. Albo będę stał na jednej nodze, albo usiądziemy na krzesłach, albo położymy się na podłodze. A potem z chęcią spuszczę ci łomot.

Do tego czasu Hannigan był już koło nich, stąpając miękko, z ręką za plecami i narzędziem perswazji, którego używał już nie raz; Black Jack również wystąpił do przodu, mówiąc:

— Haveril ma rację, Grove. Nie ma powodów do bójki. Ty twierdzisz, że on wygrał, on twierdzi, że ty wygrałeś, to wszystko. To tylko pomyłka.

— Pomyłka, do diabła! — ryknął Jordan. — Za chwilę powie, że mam tylko jedną nogę i nie mam oczu. Mówię wam, że to była reszka! Widziałem to.

— To był orzeł — wtrącił Ross.

Rose Devlin przyglądała się im. Powiedziała sobie:

— Dwóch takich ludzi, chce walczyć, bo każdy twierdzi, że drugi wygrał! Dwóch takich ludzi - obaj są szaleni!

Grove Jordan zbliżył się do Rossa Haverila z wściekłością czerwieniącą mu oczy.

— Odwołasz to, albo jesteś żółtym psem — powiedział.

Nagle Ross zaczął się śmiać. I, również bez żadnego ostrzeżenia, poczuł, że zaczyna lubić tego ociężałego, obolałego olbrzyma. Kiedy zaczął się śmiać, inni ludzie w sali też zaczęli się uśmiechać; był to dziwny rodzaj kłótni, tak jak powiedział Black Jack, a teraz zaczęła ona sprawiać na obserwatorach wrażenie, że jest wręcz zabawna, więc oni również zaczęli się śmiać, uderzać czapkami o zakurzone uda i tupać przekrzywionymi, zakurzonymi butami, niektóre z nich wyposażone były w ostrogi, tak więc w sali zapanowała wesoła wrzawa. A Grove Jordan, wyglądający

niedźwiedziowato, głupio i ponuro, jak jakiś wściekły Kaliban, był jedynym człowiekiem o gniewnej twarzy.

— Słuchaj, Grove — zachichotał Ross. — Po prostu źle zaczęliśmy. Może napijemy się razem i do diabła z tą dwudziestką?

Skóra na dłoniach Grove'a była tak naciągnięta, że wydawało się, iż zaraz pęknie, a na jego twarzy malował się morderczy wygląd – lecz po chwili powolny, szeroki uśmiech rozchylił jego wielkie usta i ukazał mocne, kwadratowe zęby. Otworzył dłoń i wyciągnął ją.

— Dawaj grabę, młody. Napijemy się. Ale na mój koszt…

— Chyba ci odbiło — warknął Ross.

— Niech cię szlag! — warknął Grove, po czym obaj zaczęli się śmiać i podeszli do baru, obejmując się ramionami. Ross nie zagrał tego wieczoru u Black Jacka, ale zabrał Grove'a Jordana ze sobą do Sekretnej Doliny, poznając nowego przyjaciela, spędzając z nim pół nocy i cementując przyjaźń.

Wtedy to nadeszła nowa wiadomość od Don Francisco de Valdez y Verdugo. Jeden z jego kowbojów nadjechał siedząc niedbale i całkiem kompetentnie w siodle; przywiózł wiadomość o fieście, grillu i nieuniknionych tańcach, które miały nastąpić potem; i wyjaśnił, że chociaż wszyscy są zaproszeni, w szczególności Don Francisco de Valdez y Verdugo z niecierpliwością oczekuje przyjemności obecności pana Haverila.

— Ten Valdez powinien mieć jeszcze kilka dodatkowych nazwisk — pomyślał Haveril na głos, wyglądając całkiem poważnie. — Na przykład José de Caramba y Que Tal y Talvez-Mañana Simpatica y Que Mas.

Posłaniec, śniady Meksykanin, uchylił kapelusza, użył ostróg i ruszył jak strzała. Ross Haveril stał z kciukami w kieszonkach kamizelki - nie miał na sobie płaszcza - i śmiał się z niego, podobnie jak dwaj inni mężczyźni siedzący na werandzie, Luke Oliver i nowy przyjaciel Grove Jordan.

Dzień fiesty w Hacienda w Rajskiej Dolinie był dniem pełnym przyjemnych ekstrawagancji. Indianie kucali nad paleniskami do grillowania, kręcąc we wszystkie strony twarzami, aby złagodzić żar rozpalonych do czerwoności węgli, oraz obracając długie wierzbowe patyki, na których piekły się grube kawałki soczystej młodej wołowiny, wypełniające powietrze nawet milę dalej wonnym zaproszeniem, by przybywać i jeść. Pod drzewami nad potokiem rozstawione były długie stoły z równie długimi ławami, a na nich tortille i ogromne miski z chile con came i frijoles-takimi-jakie-lubisz - wystarczająco pikantnymi, by piec w język, a jednocześnie nie przypalać go przez cały czas; były też ollas z czerwonym winem, bardzo czerwonym i bardzo winnym, tak mocnym jak przyjazny uścisk dłoni silnego mężczyzny; były też kolby komosy i zdumiewające sałatki z młodą fasolką szparagową, kabaczkami i cebulą, a nigdy jeszcze nie widziano tylu pomidorów i tykw. Lecz wszystko to było jeszcze niczym.

Wszystko to było niczym, ponieważ można było tam znaleźć wiele innych rzeczy, które zajmowały pierwsze miejsce, a także pozycję zaraz za nim.

Było tam mnóstwo młodych ludzi, to znaczy bardzo młodych ludzi, chłopców i dziewcząt, którzy z uwielbieniem gonili za natłuszczoną świnią i wspinali się po natłuszczonym słupie, prawie zawsze ponosząc porażkę, ale wśród okrzyków śmiechu; byli też chłopcy i dziewczęta, nieco starsi, niezwykle chętni do zakochania się; no i były, ponad wszystko inne, wyścigi konne. Otwarta droga przed domem zmieniła się w tor. Każdy, kto uważał, że ma szybkiego konia, mógł po nim jeździć. Było tuzin jeźdźców, z których każdy gotów był postawić ostatnią koszulę na swojego wierzchowca. Tom Storm, jak to miał w zwyczaju, robił z siebie ważnego i znaczącego mistrza ceremonii. To on ustawiał zawodników w szeregu, ogłaszał trasę, która prowadziła w górę drogi przez milę, a następnie z powrotem; to on oddawał wystrzał z pistoletu, aby ich wystartować.

Ross Haveril, człowiek, który kochał dobre konie, wytypował zwycięzcę, zanim konie wybiegły na drogę. Miał ochotę postawić na pewnego dużego, walecznego, złocistożółtego ogiera. Dopiero gdy gonitwa dobiegła końca, a koń wygrał o sześć czy osiem długości, dowiedział się, że był to koń Toma Storma, Zniszczenie. Oczy Haverila płonęły radością, gdy zobaczył, jak Zniszczenie pędzi do mety.

Wtedy ktoś mu powiedział:

— To koń Storma, Zniszczenie. To wspaniały koń, ale on zabija ludzi.

Koń, pomyślał Ross, który miał zabić Willarda Hale'a.

Zszedł nad strumień, w miejsce, gdzie panował zielony cień, by napić się czegoś chłodnego. Wtedy po raz pierwszy zdał sobie sprawę z obecności Rose Devlin.

Popatrzyła na niego dziwnie. Wiedział, że widziała, jak schodził tą ścieżką i że poszła za nim. Otworzyła usta, by się odezwać, ale nic nie powiedziała; po prostu stała i patrzyła na niego, a on, nawet gdyby mieli go zabić, nie byłby w stanie z jej spojrzenia niczego zrozumieć.

W długiej ciszy, która im towarzyszyła, zaczął zadawać sobie pytania. Pomyślał: „Pierwszej nocy, kiedy tutaj przyjechałem, powiedziałem Bobowi, że jestem już głęboko zakochany w jego dziewczynie, tej diablicy Devlin. Potem zobaczyłem Carmencitę i, Bóg mi dopomóż, przez chwilę myślałem, że kocham ją! Chyba oszalałem kiedy ostatni raz upadłem na głowę. Ta dziewczyna, Rose Devlin...

— Panie Haveril — powiedziała i słowa zdawały się przychodzić jej z trudem.

— Mam na imię Ross — powiedział i uśmiechnął się do niej, biorąc się w garść. — Witaj, Rose.

— A więc, Ross — powiedziała. — Nie wiem, dlaczego ci to mówię. Nie lubię cię. Może nawet cię nienawidzę, chyba tak jest. W każdym razie jesteś niezłym strzelcem.

Zdjął swój kapelusz i nałożył go jej na głowę.

Jej jasna twarz poczerwieniała. Był sposobem na lekki dotyk życia w chwili, gdy nie czuła w duszy żadnej lekkości, jedynie twarde przygnębienie, ponurą żałość.

Ubrana była na dwór; ponieważ po raz pierwszy w życiu postawiła stopę w hacjendzie Valdez i nigdy więcej nie zamierzała tu przyjeżdżać, dołożyła wszelkich starań, by odziać swoją piękną postać w strój, który zostanie zapamiętany. W oliwkowozielonych spodniach jeździeckich z szerokim czerwonym pasem, w wysokich czarnych butach, bardzo zgrabnych i dopasowanych rękawiczkach, w szerokim kapeluszu z piórem i czerwonej jedwabnej bluzie, która mogła pochodzić tylko z Meksyku, niewątpliwie osiągnęła swój cel. Lecz w jakiś sposób Ross Haveril bardziej szukał jej oczu, jej bujnych loków i kształtu jej czerwonych ust, niż sztucznych zewnętrznych ozdób.

Czekał, aż zacznie mówić dalej. Nie sądził, że będzie go szukała; nie sądził, że powie mu: „Ross, w każdym razie, jesteś dobrym strzelcem", że będzie miała mu coś do powiedzenia. Więc kiedy oznajmił: „Witaj, Rose", nie miał już więcej specjalnie o czym mówić.

Obejrzała się przez ramię, aby upewnić się, że są sami, i byli sami, z wyjątkiem rwącej wody w potoku u stóp i gęstej zieleni wierzb, olch oraz smukłych młodych osik

— Wróciłeś w nasze góry, nie wiem dlaczego — wyznała. Tak jak wcześniej na jej twarzy pojawił się cień, tak teraz w jej oczach zagościła jeszcze głębsza ciemność, ponura ciemność. — Jakiś szalony kaprys, jak sądzę. Gdybyś nie wrócił…

— Wiem. Gdybym nie wrócił, Bob żyłby teraz. A ty nie wiedziałabyś, kim jesteś.

— Zostawmy to! To wszystko nieważne! Przyszłam ci powiedzieć… Masz przecież pieniądze, dużo pieniędzy, więcej niż większość z nas o tym wie. W porządku, schowaj je do kieszeni i jedź sobie stąd! Opuść te tereny natychmiast, tak szybko, jak tylko jesteś w stanie. I…

— Rose — wszedł jej w słowo Ross Haveril. — Rosalie. Rose-alba, bo Rose-alba podoba mi się najbardziej ze wszystkich twoich imion. Powiedz mi. O co w tym wszystkim chodzi?

— Nie lubię cię — odparła dziewczyna. — Może nawet cię nienawidzę. Ale jakoś… Och, nie wiem! Lecz wiem jedno: Jeśli zostaniesz tutaj, oni… oni… och, paru ludzi cię zabije! Rozumiesz?

— Rozumiesz? Równie dobrze możesz mnie walnąć tym niewielkim wachlarzem, który zwisa ci z nadgarstka! O czym ty mówisz?

Właśnie wtedy dostrzegł małą, ciemną twarz Carmencity, na której jej płynne oczy wyglądały na takie duże, ze światłem i cieniem na policzku, gdy zatrzymała się krótko na małej, krzywej ścieżce między drzewami. Carmencita zachowała się dziwnie: Pomknęła gwałtownie do przodu, zobaczyła Rossa Haverila i Rose Devlin, doszła do wielu pełnych gniewu wniosków - i złapała swoje puszyste białe spódnice aby odbiec, trzepocząc niebieskimi wstążkami.

Ross Haveril, wciąż mając przed oczyma jej widok podczas tej ucieczki, odwrócił się z powrotem do dziewczyny Devlina.

— Powiedz mi to słowami zrozumiałymi dla człowieka — oznajmił. — O co w tym wszystkim chodzi? Chcą mnie zabić, to miło. Ale kim oni ą?

— Nie mogę ci powiedzieć…

— To Bull Strake, prawda? I może jeszcze Tom Storm? I, popuśćmy trochę wodze fantazji, twój tatuś? Black Jack chyba nie wypłakałby sobie oczu, gdybym spadł z jakiegoś klifu?

Zobaczył, jak jej pierś unosi się i faluje, a w jej oczach pojawia się ciemny, pełen pasji błysk. Powiedział do siebie: „Przecież to tylko kilkunastoletnie dziecko, a próbuje zachowywać się jak dorosła!”. Pomyślał też, że potraktował ją zbyt szorstko.

— A więc, Rose-alba — powiedział bardzo łagodnie — powinienem ci podziękować i naprawdę dziękuję, oraz nie będę ci już zadawał więcej pytań. Zaczynam rozumieć, że nie jestem tu potrzebny - nie jestem potrzebny żywy. Powiem ci jednak tyle: Zostaję. A jeśli coś mi się stanie, będziesz wiedziała, że zrobiłaś wszystko, co było w twojej mocy, aby mnie ostrzec, bym uciekł w jakieś inne miejsce.

— Proszę! — błagała go. — Och, proszę! — a w jej oczach zobaczył jasne łzy.

Po tym wydarzeniu, nie mógłby być bardziej pewny, że to ojciec Rose-alby chciał go zgładzić.

Jego brwi ściągnęły się w grube, zdziwione zmarszczki, bo przez głowę przemknęła mu kolejna myśl, że Carmencita również go ostrzegała, że prawdopodobne jest, iż jej wujek Valdez też chciał go zgładzić. Ale, do cholery, ledwie znał któregokolwiek z tych dwu ludzi!

— Jeszcze coś — powiedział i po raz pierwszy jego głos zabrzmiał surowo. — Ostrzegasz mnie i myślę, że wiem dlaczego; nie chcesz, aby twój ojciec stał się zabójcą. Poczekaj chwilę! Zostałem już wcześniej ostrzeżony, żeby nigdy nie przyjeżdżać do Rajskiej Doliny. Wygląda na to, że tutaj też mam zginąć, a to oznacza Valdeza, prawda? Valdez, Storm, Bull Strake i Black Jack Devlin, wszyscy na raz? Tyle, że to nie ma sensu, prawda?

Powiedziała - a jej głos zabrzmiał jak wzruszenie ramionami.

— Zrobiłam, co mogłam. Jak sobie chcesz. — I chciała ruszyć z powrotem do ożywionej grupy ludzi zgromadzonych wokół stołów, gdzie dęby rozpościerały się nad ich głowami, jak wielkie zielone chmury.

On jednak szybko stanął przed nią, blokując jej drogę.

— Rose-alba! Jestem kompletnie zbity z tropu!

— Nie mogę nic więcej wyjaśnić. Tutaj czai się na ciebie niebezpieczeństwo, to wszystko.

— Och, nie o to mi chodziło. To ty wprawiasz mnie w zakłopotanie, wszystko mi się miesza. Czy myślisz - i powiedz mi szczerze - czy naprawdę myślisz, że jestem w tobie zakochany?

Rose-alba prychnęła i udała pogardliwy śmiech.

— Widziałam małą Carmencitę wyglądającą zza drzew — stwierdziła. I z tymi słowami wymknęła mu się i wróciła do tłumu ludzi krzątających się wokół stołów.

Na środku gaju znajdował się podest taneczny z szorstkich desek, grubo struganych, a następnie zaśnieżonych skrawkami świec w celu uzyskania gładkości, zaś trzech muzyków, skrzypce, gitara i banjo, już się rozgrzewało. Pary niosące ze sobą kanapki, kawałki ciasta lub grillowaną

wołowinę już podrygiwały nogami, szykując się do wyjścia na niego. Będą tańczyć całe popołudnie i całą noc.

Ross Haveril zobaczył Carmencitę; unikała go, udając, że w ogóle nie istnieje. Stał oparty o drzewo, paląc papierosa w zamyśleniu, przyglądając się ludziom. Luke Oliver skinął mu głową; Grove Jordan był u jego boku, a niedaleko stali Bull Strake, dwaj młodzi Bedloe i Jake Go-down. Gest Luke'a był trzecim ostrzeżeniem tego dnia.

Ross pomyślał sobie: „Mały Don Kogucik z pewnością opuścił dziś kompletnie bramy, odsuwając na bok swą wyniosłą dumę i wpuszczając do środka mnóstwo hołoty. Wygląda na to, że Carmencita wiedziała, o czym mówi.”

Luke podszedł do miejsca, w którym stał Ross, a gdy to zrobił, Ross dostrzegł, że Bull Strake podchodzi do swojego kuzyna, Grove'a Jordana, i zaczyna coś do niego cicho mówić.

— Na twoim miejscu, mały — ostrzegł go Luke — wydostałbym się z tego bałaganu. Nie podoba mi się ten zapaszek dokoła. Na milę rzuca się w oczy, że Strake, dwóch Bedloe i Jake Go-down zostali specjalnie tu sprowadzeni, ze względu na ciebie.

— Nie rozpoczną niczego w takim miejscu, gdy wokół jest tłum ludzi. To byłoby głupie, skoro mogliby wpaść do nas na ranczo, każdej nocy.

— Ludzie często robią głupie rzeczy.

— Nie mogę zrozumieć, jak Valdez się w to wplątał.

— W ten czy inny sposób jest powiązany ze Stormem; mam przeczucie, że Storm ma go w kieszeni.

Później widzieli się z Valdezem, który był bardzo serdeczny, wręcz tryskał uprzejmością, lecz w głębi duszy był nerwowy jak kot; wyglądał, jakby nie spał wiele nocy, a jego oczy wypełniał cień, który mógł być powodowany przez strach. W sumie nad całym tym miejscem unosiła się dziwna, napięta atmosfera, z Valdezem w takim stanie, z małą Carmencitą kompletnie wystraszoną, z Rose Devlin w nastroju, jaki ją ogarnął - i ze Stormem, Strakem i ludźmi Strake'a czuwającymi, milczącymi i złowieszczymi.

Mimo to młodzi ludzie tańczyli i byli absolutnie weseli, zaś napięta atmosfera przeplatana była śmiechem bawiących się, gdy dzbany z mocnym czerwonym winem krążyły wokoło. Ross spostrzegł, że Rose Devlin nie tańczyła; może dlatego, że po śmierci Boba Robertsa nie miała do tego serca. Widział, jak Tom Storm próbował ją namówić do tańca, ale dziewczyna odwróciła się do niego plecami i odeszła. Zauważył również, że Carmencita, której małe stopy były wręcz stworzone do tańca, nie zbliżyła się do platformy, choć wielu mężczyzn ją oblegało. Storm też ją zapytał; nie potraktowała go tak śmiało, jak Rose, ale odsunęła się, wymykając mu się równie skutecznie. Na przystojnej twarzy Storma pojawił się grymas złości.

Grove Jordan dołączył do Rossa i Luke'a. Powiedział do Rossa tym swoim kwaśnym i ponurym głosem:

— Widziałeś mnie z Bullem Strake. Bull jest moim kuzynem, ale nie cierpię go. Próbował mnie naciągnąć na wyznania; jest wiele rzeczy, które

chciałby o tobie wiedzieć. I chciałby wiedzieć, jeśli doszłoby do awantury między nim a tobą, po której stronie płotu bym stanął.

— Ja też chętnie bym się czegoś takiego dowiedział — powiedział Ross.

— Po twojej stronie — mruknął Grove. — Piekło może zabierać sobie Bulla z powrotem, jak tylko zechce.

— Dzięki, Grove — powiedział tylko Ross.

Gdy zapadł zmrok, wzdłuż potoku i pod dębami Indianie rozpalili wielkie ogniska i zapalili sznur kolorowych lampionów nad parkietem. Rose-alba uścisnęła dłoń Valdezowi, zignorowała Carmencitę i wyszła. Storm pośpieszył za nią i najwyraźniej chciał prosić o możliwość towarzyszenia jej do domu. Nie odpowiadając mu, wsiadła na siodło i odjechała.

Carmencita szybko jak błyskawica, upewniwszy się, że zarówno Valdez, jak i Storm są zajęci, podjechała do Rossa Haverila. Nie zatrzymała się nawet na chwilę, tylko wsunęła mu w dłoń złożoną kartkę papieru, rzucając błagalne i wciąż przerażone spojrzenie, po czym pośpieszyła gdzieś dalej.

Było wystarczająco jasno, by przeczytać kilka słów i zrobił to niemal jednym rzutem oka. Następnie wsunął kartkę do kieszeni. Powiedział do Luke'a:

— Za pół godziny mam przejść przez kładkę nad strumieniem, nie pozwalając aby ktoś mnie zobaczył; ona pójdzie do domu, wymknie się tylnym wyjściem i spotka się ze mną w sadzie.

Luke zamyślił się, po czym przemówił z warknięciem niemal tak dobrym jak Grove’a Jordana.

— Wydaje mi się, że to najgłupsza rzecz, jaką można zrobić. Więc na pewno to zrobisz.

— Myślę, że ta mała jest uczciwa — powiedział Ross — i wiem, że jest śmiertelnie przerażona. A jest wiele rzeczy, które może mi powiedzieć; może teraz to zrobi.

— Może tak — powiedział Luke i postanowił pójść za kładkę za Rossem.

## Rozdział XVII

**P**ół godziny później, w starym sadzie było już całkiem ciemno, a na nieruchomych liściach drzew widać było tylko słabe błyski światła pierwszych gwiazd. W miejscu, gdzie duża jabłoń rzucała najgłębszą plamę ciemności, Ross był pewien, że znajdzie Carmencitę. Jej twarz stanowiła tylko niewyraźną plamą w mroku, ale dostrzegł, a przynajmniej tak mu się wydawało, błysk jej hiszpańskich oczu. Wykrzyknęła gorąco:

— Mówiłam ci, żebyś nie przyjeżdżał do nas, a ty i tak tu się pojawiłeś - i wszyscy na ciebie czekają, Tom Storm, ten straszny Bull i jego przyjaciele.

Jej głos drżał, a on mógł dostrzec, że jej ciało trzęsie się tak, jakby dygotała z zimna. Było jej zimno, lecz ze strachu. Robiła wszystko, co w mogła, aby skrywać przerażenie, gdy spoglądały na nią oczy innych ludzi; teraz nie musiała udawać.

— Nie sądzisz, że mogłoby się to opłacać — zapytał cicho — gdybyś mi powiedziała…

— Ale właśnie dlatego zostawiłam ci wiadomość! Posłuchaj! Mam zamiar powiedzieć ci wszystko. Nie mogę zrobić nic innego. I może dzięki temu uda się ocalić twoje życie - a może także ocalić moje! Boję się! Zamierzam uciec!

— Uciec? Co się stało? Po jakie licho chcesz to zrobić?

— Czy ty niczego nie rozumiesz? — oświadczyła z pasją. — Czy nie mówiłam ci, że się boję! Myślisz, że lubię się bać i dlatego co pięć minut prawie padam trupem ze strachu? Spójrz tylko na mnie! W ciągu dwóch dni zmieniłam się w starą kobietę!

Nawet się nie uśmiechnął na te słowa, a jedynie oznajmił:

— No to opowiadaj. I lepiej mów szybko oraz trzymaj się sedna, jeśli nie chcesz wzbudzić podejrzeń, że jesteśmy razem.

Tak jak obiecała, opowiedziała mu wszystko, co podsłuchała tamtej nocy, gdy ukryła się pod oknem Toma Storma, a jej relacja była zaskakująco spójna. Na koniec Ross cicho gwizdnął.

Teraz już wiedział, co Storm miał na Valdeza, defraudację pieniędzy swojej własnej siostrzenicy. Wiedział także to, czego wcześniej był niemalże pewien: że dawno temu to Storm zabił Willarda Hale'a, że Valdez o tym wie, i że to Storm zastrzelił Boba Robertsa.

— Ale — powiedział Ross — przecież oni nie wiedzą, że to wszystko podsłuchałaś…

— Wiedzą! Wiedzą już od dwóch lub trzech dni. Kiedy uciekałam, upuściłam szal; nawet o nim później nie myślałam. Tom Storm go znalazł; potem poszukał śladów; znalazł pod swoim oknem ślady dziewczyny!

Kiedy na mnie patrzył, wiedziałam już, że wszystko wie. Potem poszedł i powiedział o tym Señorowi Valdezowi. Wujek wściekł się na mnie i zaczął mi grozić, a teraz patrzą na mnie przez cały czas, jak wielki kot patrzy na małego ptaszka.

W tej chwili już zaczęła szczękać zębami. Ross próbował coś powiedzieć, ale ona pośpiesznie kontynuowała.

— I wiem, co zamierzają zrobić! Señor Valdez wie, że jeśli pójdę i powiem, że ukradł pieniądze mojego papagrande, zamkną go w więzieniu. A Tom Storm wie, że jeśli Señor Valdez zostanie uwięziony, powie wszystko, co wie o Tomie Stormie. Są to dwie rzeczy, do których nie chcą dopuścić. Więc najpierw zmuszą mnie do poślubienia Toma Storma, a potem szybko umrę, zobaczysz, bo podadzą mi truciznę albo coś w tym rodzaju. Bo ten podły Storm chce poślubić tę dziewczynę Devlina!

— Ale dlaczego nie miałby poślubić Rose-alby teraz, zamiast ciebie?

— Och, nie wiem! On snuje mnóstwo planów i podstępów. Zawsze chciał posiąść Rajską Dolinę – może to dlatego. A może po to, by mieć jakiegoś innego haka na Señora Valdeza. Jakie to ma znaczenie, dlaczego?

— Muszę się jeszcze z tobą zobaczyć — powiedział Ross. — Jeśli wszystko jest tak, jak powiedziałaś, przynajmniej wiesz, że przez jakiś czas jesteś bezpieczna - w każdym razie do czasu, gdy weźmiecie ze Stormem ślub. I nie rozumiem, jak mogliby cię do tego zmusić.

— Muszę już wracać, bo zauważą moją nieobecność. Jeśli uda ci się uciec dziś w nocy i nie zginiesz, to postaram się wymknąć i pojawić się na twoim ranczo. Albo wyślę z wiadomością Romero. I uważam cię za przyjaciela, Señor, ponieważ byłam twoim przyjacielem. A teraz ty też stąd odejdź, i to szybko. *Y vaya con Dios*.

Po tych słowach odeszła, a on słyszał lekki tupot jej biegnących stóp, gdy wracała od tyłu do domu. Idąc powoli, pogrążony w myślach, zmierzał z powrotem brzegiem potoku w stronę kładki. Z gęstego mroku wierzbowego zagajnika wyłonił się Luke Oliver i ruszył razem z nim.

— Dowiedziałeś się czegoś, mały?

— Wielu rzeczy, Luke. Opowiem ci później. Jeśli Carmencita nie jest zwykłą wariatką…

— Nie, nie jest. Mimo całej swojej trzpiotowatości jest w pewnym sensie bardzo zrównoważona. Jeśli powiedziała ci coś konkretnego…

— Powiedziała. Lepiej uważajmy dziś na siebie, Luke.

— Ja to robię — burknął Luke. — Ty choć raz zrób to samo.

Gdy zbliżali się do mostku, dostrzegli, że ktoś na nim stał; kiedy ich zobaczył, wyszedł im naprzeciw, a z odgłosów kroków można było wywnioskować, że to Grove Jordan.

— Tom Storm zniknął — poinformował ich. — Wyjechał przed chwilą, jadąc jak ktoś, komu bardzo się śpieszy. Nie wiem, gdzie są Bull, bracia Bedloe i Jake Go-down; w każdym razie nigdzie ich tu nie widać.

— My też już jedziemy — powiedział Ross. — Jeśli będą chcieli coś zacząć, to chyba będą wiedzieli, gdzie nas szukać.

— Po odjeździe Storma — zauważył Luke — zostało ich tylko czterech, a nas jest teraz trzech. Więc jeśli się na nas zasadzą, możesz być pewien, że zrobią to z ukrycia i w sposobnym miejscu, w którym jest ciemno.

Poszli we trzech do swoich koni uwiązanych do długiej szyny na skraju terenu pikniku i bez przeszkód wyjechali na drogę Liberty. Wtedy odezwał się Luke, aby przedstawić pewną sugestię.

— Nie mam specjalnej ochoty aby wpaść w zasadzkę. Może skręcimy na południe, przetniemy Green Meadows i wjedziemy na Old South Trail. Nawet jeśli droga będzie trochę dłuższa, prawie tak samo szybko doprowadzi nas na ranczo, a nam się i tak nie spieszy - a w ten sposób, jeśli Bull Strake i jego wesoła kompania gdzieś tam na nas czyhają, będą musieli sobie długo poczekać i to na próżno.

Ross zachichotał.

— To byłby niezły żart z Bulla i jego bandy — zgodził się.

Skręcili więc w prawo zamiast w lewo, przejechali kilka mil wzdłuż Liberty Road, a następnie wjechali na Green Meadows.

Green Meadows był to nisko położony teren, miejscami podmokły, zaś wszędzie wilgotny, porośnięty obficie trawą, po której ich konie w pełnym galopie wysyłały ledwie słyszalne odgłosy. Znajdował się tam kręty potok, szeroki i płytki, otoczony bujnymi wierzbami; w większej części łąki miały otwarty charakter i były pozbawione większych skupisk drzew, usiane były tu i ówdzie tylko sporadycznymi małymi zagajnikami. Gdyby nie te nieliczne kępy, oko mogłoby przebiec łąki od jednego skraju do drugiego, dobre trzy mile płaskiego żyznego terenu. Trzymając się bardziej suchych miejsc, udało im się pokonać je w dobrym czasie.

Gdy okrążyli jedną z kęp osikowych zarośli, Grove Jordan, jadący od zewnętrznej strony, machnął ręką, wskazując.

— Tam jadą! — zawołał.

Przed nimi jechało czterech ludzi, w tym samym kierunku, co oni. Tamci również byli niczym cienie dryfujące bezszelestnie po trawie, ale kiedy Ross i towarzysze ich dostrzegli, usłyszeli dolatujące od strony poprzedzających ich jeźdźców dziwne odgłosy, jakby jeden z nich zaczął śpiewać.

— Bull zawsze, gdy jest pijany, czyli przez większą część czasu — burknął Grove, — a już zwłaszcza kiedy ma w zanadrzu jakieś diabelskie szelmostwo, ryczy jak byk, wywrzaskując piosenki.

— Możemy zrezygnować z tej drogi i zawrócić — powiedział Luke. — Jeszcze nas nie zobaczyli…

— Nie! — sprzeciwił się Ross i jego słowa zabrzmiały wręcz radośnie. — Nie zobaczyli nas i nie usłyszeli - i nie usłyszą, dopóki nie zwalimy im się na głowy! Naprzód!

Popuścili więc wodzy, dali koniom ostrogi i systematycznie doganiali cztery dryfujące przed nimi postaci. Przy odrobinie szczęścia Ross był pewien, że uda im się impreza niespodzianka w stylu tej, jaką planował Bull Strake, tyle że na odwrót.

I miał rację. On, Luke i Grove wyciągnęli broń, zanim znaleźli się w zasięgu ognia rewolwerów, i utrzymywali swoje zawrotne tempo jazdy, a mimo to cała czwórka z przodu była kompletnie nieświadoma zbliżającego się pościgu. Poza słabym tętentem końskich kopyt, tłumionym przez głęboką trawę i wilgotną ziemię, nie było słychać żadnych odgłosów pogoni, mogących przebić się przez hałaśliwe ryki Bulla Strake'a, pieśni

nieprzeznaczonych dla wybrednych uszu. Kolejnym dźwiękiem, jaki dał się usłyszeć, był dopiero głos Rossa Haverila, stanowczy, bezdźwięczny i w jakiś sposób śmiertelnie niebezpieczny, wołający:

— Podnieście ręce do góry, nie odwracając się, albo rozprawimy się z wami. — Posłał pocisk, który ze świstem przeszył powietrze nad głową Bulla. — Ręce do góry, Bull!

Natychmiast cztery pary rąk uniosły się do góry; konie kontynuowały swój miarowy chód i szybko Ross, Luke i Grove wyjechali przed nie oraz je zatrzymali.

— Co wy, do diabła, wyprawiacie? — ryknął Bull Strake.

Ross zwrócił się do swoich przyjaciół:

— Kiedy będę przetrząsał im kieszenie, patrzcie, czy nie mrugną okiem albo nawet uchem, a jeśli tak, to dajcie im popalić.

Bull krztusił się z wściekłości; jedyne, co mógł zrobić, to powtarzać w kółko:

— Dopadnę cię za to, Rossie Haveril, dopadnę cię za to…

Ross, uważny, a jednocześnie bardzo rozbawiony, szybko pozbierał ich broń, wkładając po kolei rewolwery za pas, do kieszeni lub pod koszulę.

Zanim skończył to bardzo przyjemne zadanie, zauważył coś osobliwego: światło gwiazd połyskujące na metalowych przedmiotach, które każdy z bandytów miał przywiązane do pasów u siodeł. Przyglądając się bliżej, zauważył, że te cztery przedmioty to galonowe bańki po oleju węglowym.

— Co macie w tych bańkach? — zapytał.

— Idź do diabła — warknął Bull Strake.

— Najprawdopodobniej gorzałę, którą ukradłeś w Rajskiej Dolinie; nie mogłeś znaleźć niczego poza bańkami na naftę, żeby ją wlać?

Następnie wyrzucił tę sprawę z głowy i podjechał dołączyć do swoich przyjaciół.

— Wyglądają zabawnie, co chłopcy? — zaśmiał się.

Po chwili jego chichot przerodził się w głębszą, bogatszą i żywszą wesołość, i wybuchnął jednym z tych swoich gromkich śmiechów, które sprawiały, że ludzie dołączali do niego, jeśli byli stali jego stronie żartu, zaś inni płakali z wściekłości. Grove Jordan, który nie śmiał się nawet raz do roku, dołączył do niego, i nawet Luke parsknął śmiechem.

Następnie cała trójka pomachała kapeluszami i ruszyła przed siebie, a Bull Strake wrzeszczał za nimi w szale wściekłości. Jego ryczący głos powtarzał jak refren:

— Dopadnę cię za to! Dopadnę cię za to!

A Ross, kołysząc się w siodle z ogromnej radości, utrzymywał swój gromki śmiech, tak ich głosy utworzyły swoisty duet, jakiego nigdy jeszcze nie słyszano na lądzie ani na morzu.

— Równie dobrze mógłbyś drażnić grzechotnika kijem — skomentował to Grove.

— Jak myślicie, dokąd oni zmierzali? — zapytał Ross, gdy głos Bulla rozpłynął się w oddali, a jego własny śmiech ucichł.

— Możliwe, że do nas — odparł Luke, — patrząc na to, że Old South Trail nie prowadzi w żadne inne miejsce.

— Ciekawe, co mieli w tych bańkach po oleju węglowym?

— A może olej węglowy — zauważył Luke, bardzo łagodnie. — Czasami ludzie wlewają olej węglowy do baniek na olej węglowy, tak jak ktoś wlewa whisky do butelki na whisky lub wodę do manierki, albo jak ludzie wsadzają głowy w nietoperze, albo jak ty wtykasz nos w kłopoty.

Ross Haveril był sam w domu na ranczu - Grove Jordan postanowił udać się z Lukiem na spoczynek do baraku dla kowbojów, ponieważ meble, którymi otaczał się Ross, wydawały się Grove'owi tak strasznie luksusowe i eleganckie, że czuł się wśród nich wręcz nieswojo - kiedy kilka godzin później, pojawił się u niego pierwszy z nocnych gości. Było już późno; spędził dwie lub trzy godziny na rozmyślaniach, gdy usłyszał stukot kopyt na utwardzonym podwórzu. Po chwili w pokoju pojawiła się Carmencita, znów wystrojona w swój różowy strój do jazdy konnej, ale wcale nie wyglądająca na wesołą. Podbiegła do niego i przez chwilę myślał, że rzuci mu się w ramiona.

— Co u licha!

— Mówiłam ci, co zrobię. Tak, uciekłam! Uciekłam już na tyle daleko, do ciebie; pomożesz mi, prawda? Och, Señor, jestem tak bardzo pogrążona w rozpaczy i zgryzocie, i boję się jeszcze bardziej niż wcześniej!

— Wyglądasz na taką — powiedział nie owijając w bawełnę, a jego oczy były szczerze zmartwione. Już zastanawiał się, co u diabła miał z nią zrobić - co jakikolwiek mężczyzna mógłby zrobić z taką dziewczyną jak ona. Nie wyraził tej myśli słowami, lecz tylko powiedział: — Wyglądasz też na zmęczoną i wynędzniałą z głodu i…

Przysunął duże krzesło i posadził ją na nim.

— A teraz opowiedz mi. Co się stało?

— To przez tego okropnego, małego starca…

— Chwileczkę! Jakiego małego… Chodzi ci o twojego wuja?

— On już nie jest moim wujem — oznajmiła Carmencita z gniewnym błyskiem w oczach. — Założę się, że ten człowiek nie jest prawdziwym Valdezem y Verdugo! Nie jest bratem mojego ojca - założę się! Może kiedy był małym dzieckiem, jakąś sierotą po biednych rodzicach, przez pomyłkę znalazł się w mojej rodzinie! O, tak!

— Niech ci będzie, ale czy to o niego ci chodzi?

— O Señora Valdeza, tak. Po raz pierwszy w życiu położył na mnie rękę Złapał mnie - mogłabym ci pokazać, swoje ramiona, oba są czarne i sine, i bolą. — Delikatnie potarła jedno z nich. — Skoczył na mnie i chwycił mnie, a serce mi prawie stanęło, i myślałam już, że mnie udusi na śmierć. Myślę, że taki miał zamiar!

— No cóż, w końcu przecież tego nie zrobił… Ale o co chodziło?

— Tom Storm wyjechał wcześnie, ale zanim odjechał, poszedł do domu i rozmawiał z Señorem Valdezem. Powiedział, że widział, jak śmiesznie na ciebie spoglądam, i widział, jak ty też tak na mnie patrzysz. Powiedział Señorowi Valdezowi, że założyłby się, iż powiedziałem ci o wszystkim, o czym ci powiedziałem. A potem sobie poszedł, zaś Señor Valdez nie mógł

mnie znaleźć - i w końcu zobaczył mnie wychodzącą z sadu i jakimś cudem zorientował się, że rozmawiałam z tobą! Wiedział o tym, mówię ci! Och, on jest mądry, ten straszny starzec!

— I co?

— Bałam się tak, jak ci mówiłam, że boję się przez cały czas, ale widziałam, że on się też boi! I powiedział wiele rzeczy: Zabije mnie, jeśli kiedykolwiek spojrzę na ciebie lub na jakiegokolwiek innego mężczyznę, dopóki nie wyjdę za mąż, i przysiągł, że wyjdę za mąż zaraz, jak tylko znajdzie jakiegoś księdza, a teraz zamknie mnie w moim pokoju - i tak zrobił!

— Przypuszczam, że wyślizgnęłaś się przez okno…

— Szybko zmieniłam ubranie i zgasiłam światło, a potem otworzyłam drzwi kluczem, o którym on nie wiedział. Wymknęłam się i przyjechałam do ciebie.

Powiedziała to tak, jakby była to jedyna logiczna rzecz jaką mogła zrobić. Być może tak było. Podrapał się po głowie i spytał:

— I co ja mam z tobą zrobić?

— Uratować mnie. Czyż nie próbowałam ci pomóc? Bueno! Jako dobrzy przyjaciele pomagajmy sobie nawzajem.

— I teraz moja kolej?

Przytaknęła.

Ross chodził w tę i z powrotem, ze marszczonymi brwiami i zastanawiając się, co teraz zrobić. Dziewczyna mogła być po prostu małą, kapryśną idiotką, wyolbrzymiającą różne rzeczy, przekręcającą je i zmyślającą. Z drugiej strony mogła być naprawdę w poważnym niebezpieczeństwie i miała dosyć rozumu, by wykaraskać się z niego jak najszybciej.

Carmencita obserwowała go, zapadła się głęboko w krześle i odprężyła. Jej policzki zaczęły nabierać kolorów, a z oczu zniknął strach. Najwyraźniej przerzucała na niego wszystkie swoje problemy, zrzucając je z własnych ramion.

Gwałtownie się zatrzymał.

— Być może do tej pory Valdez wymyślił już coś, co chciałby żebyś mu powiedziała, coś, co chciałby z ciebie wymusić. Jeśli się dowie, że uciekłaś, czy może odgadnąć dokąd?

— Możliwe. Przecież wie, że wszystko ci powiedziałam, że boję się Storma i nie pojadę w tamtą stronę, że nie pojadę też do Górskiego Domu, że nie mam pieniędzy i nie ucieknę aż do Liberty, gdzie nikogo nie znam. On też jest mądry, tak jak ci mówiłam.

— Muszę cię stąd zabrać, ale dokąd?

— Nie wiem — odparła Carmencita, po prostu.

— Do diabła — stwierdził pod nosem Ross, a Carmencita westchnęła. Może rozumiała, że miał prawo tak powiedzieć. — Pójdę po Luke'a — powiedział Ross. — Nie będzie mnie tylko kilka minut, zajmę się też twoim koniem. Może pobiegniesz do kuchni i zrobisz sobie dzbanek kawy, kiedy mnie nie będzie.

— Nie wiem, jak zrobić kawę — powiedziała Carmencita.

— Chodź, pokażę ci.

Udała się za nim do kuchni, gdzie zapalił lampę, rozpalił ogień w piecu i zagotował kawę.

— Wszystko, co musisz zrobić, to pilnować, żeby się nie wygotowała woda i kawa nie zrobiła się zbyt czarna.

— Nie. Nie mam zamiaru zostać tu sama. Pójdę z tobą na zewnątrz.

Wziął głęboki oddech, odstawił dzbanek z kawą na kuchnię i wyszedł tylnymi drzwiami, a Carmencita szła tuż za nim. Trzymała się blisko niego przez cały czas, kiedy pośpiesznie oporządzał w stajni jej konia, a potem, gdy oddalił się w stronę domu Luke'a.

Światło było zgaszone, Luke i Grove spali. Ross otworzył drzwi i zawołał ostro:

— Cześć, Luke przepraszam, że wyrywam was ze snu. Ty i Grove chodźcie do domu. Mam wrażenie, że diabeł miesza w tej sprawie.

— O co chodzi, Ross?

— Ubierzcie się i chodźcie. — I dodał: — Carmencita Valdez jest tutaj. Możemy mieć kolejnych gości.

Usłyszał tupot czterech bosych stóp po podłodze. Potem, z oddali, usłyszał kolejny odgłos, tętent końskich kopyt. Carmencita również go usłyszała i przycisnęła się bliżej niego.

Wkrótce Ross dostrzegł pojedynczego jeźdźca, jedynie ciemniejszą smugę w nocnych ciemnościach, który podjechał do jego ganku, zsunął się na ziemię i wbiegł po schodach. Rozległo się szybkie, niecierpliwe stukanie, po czym drzwi otworzyły się i gość zniknął w środku.

— Zostań tutaj, Carmencita — powiedział Ross do dziewczyny, która teraz kurczowo trzymała się jego rękawa. — Ja pójdę rzucić okiem na tego *hombre*. Ty zostań z Lukiem i rób, co ci każe.

— To ten straszny Señor Valdez, wiem z pewnością — jęknęła Carmencita. — Przyjechał, żeby mnie zaciągnąć z powrotem do domu, żeby mnie zabić.

Ross uwolnił się z jej uchwytu i pośpieszył z powrotem do domu. Kiedy otworzył drzwi i zajrzał do środka, zatrzymał się i spoglądał z niedowierzaniem. Stała przed nim Rose Devlin, śmiertelnie blada i z oczami, które sprawiły, że przypomniał mu się wyraz oczu Carmencity.

## Rozdział XVIII

Rose-Alba przyniosła wiadomość o nowej tragedii; Ross wiedział o tym, gdy tylko zobaczył tragiczny wyraz jej oczu. Przez chwilę stała sztywno wyprostowana, z rękoma opuszczonymi po bokach i zaciśniętymi dłońmi, z uniesionym podbródkiem oraz drżącymi ustami. Potem, wyczerpana na umyśle, duszy i ciele, zwinęła się w kłębek i opadła na krzesło, tak niedawno opuszczone przez Carmencitę.

— Poczekaj chwilę — powiedział Ross. — W kuchni mam trochę kawy. Kubek z pewnością ci nie zaszkodzi.

W kuchni natknął się na swój nowy nabytek, chińskiego kucharza, którego nazywali najpierw Heart's Ease, a teraz Buttercup, brzydkiego człowieczka w koszuli nocnej opadającej do kolan i rozklapanych kapciach. Wybudzony ze snu w swoim pokoju na tyłach, mrugał swoimi wąskimi szczelinami oczu.

— Co się stało? Wallah mallah? — zaczął się dopytywać.

— Lepiej idź się ubrać, Buttercup — powiedział Ross i podszedł do pieca. — Mamy towarzystwo i być może będzie go więcej. A skoro już o tym mówimy, to mógłbyś odkopać swoją starą strzelbę i sprawdzić, czy jest naładowana.

— Ooh-na-ma! — burknął Buttercup i wrócił klapiąc kapciami do swojego pokoju.

Ross przyniósł kubek mocnej, czarnej kawy. Dziewczyna tylko się na niego patrzyła.

— Black Jack nie żyje — powiedziała. — Tak samo jak stary dobry Hannigan. Widziałam, jak obaj zginęli. O Boże!

Do środka pośpiesznie wszedł Luke, z Carmencitą podążającą tuż za nim, tak jak wcześniej za Rossem Haverilem, zaś po nich wszedł Grove Jordan. Obaj mężczyźni mieli rewolwery u pasa i karabiny w dłoni. Widząc, kim jest ten nowy gość, Luke sapnął głośno i rzucił zjadliwe słowa:

— Na Świętego Piotra, Ross? Co to w ogóle za pomysł? Czy każda dziewczyna w kraju zakłada na siebie różowy strój do jazdy konnej albo zielony strój do jazdy konnej i…

— Zamknij się, Luke — przerwał mu Ross. — W Górskim Domu były kłopoty. Black Jack został zabity, podobnie jak barman Hannigan. Rose nam powie. Wejdźcie i zamknijcie za sobą drzwi.

Cała trójka weszła do pokoju. Carmencita wpatrywała się okrągłymi oczami w dziewczynę na krześle; Rose-alba zdawała się nie zauważać jej, ani nikogo z pozostałych. Wciąż miała przed oczyma horror tego, czego była świadkiem dzisiejszego wieczora.

Przez cały czas Ross trzymał kubek z kawą w ręku. Rose ponownie odmówiła. Odwrócił się do Carmencity, która energicznie pokręciła głową, nie odrywając wzroku od Devlin.

— Miejmy to za sobą, Rose — powiedział Luke.

Zesztywniała na krześle i uniosła podbródek; jeszcze przez chwilę mocno zaciskała usta, jakby chciała je uspokoić.

— Tak. Tom Storm przyjechał za mną z Rajskiej Doliny. Usłyszał, że dowiedziałam się, że to on zabił Boba. Zdawałam sobie sprawę, że tak będzie, więc jechałam szybko. Dotarłam do domu przed nim. Black Jack i Hannigan byli sami; usłyszałam kilka słów. Bull Strake powiedział wcześniej Black Jackowi, że Storm zastrzelił Boba. Poszłam do swojego pokoju. Po chwili u ojca pojawił się Tom Storm. Nie słyszałam, co mówi, ale był strasznie zły. Może wyrzucał Black Jackowi, że powiedział mi o nim i o Bobie. Black Jack też był wściekły. Nigdy nie słyszałam, żeby dwaj ludzie tak się obrzucali przekleństwami. Nie chciałam słyszeć, co mówią, było mi niedobrze.

— Wtedy nadjechał pośpiesznie Bull Strake, który szukał Toma i wiedział, gdzie on jest. Przyprowadził ze sobą Go-downa i obu Bedloe. Krzyczał tak głośno, że słyszałam wyraźnie, jak opowiada o dzisiejszych kłopotach z Rossem Haverilem i Lukiem. Wszyscy zdawali się obwiniać innych o wszystko, co się wydarzyło od czasu gdy zabili Boba Robertsa. O Boże! Chciałam ich wtedy podsłuchać. Było już za późno. Nie wiem, kto zaczął walkę; może to był Bull, wyglądał na pijanego. Ktoś kogoś uderzył. Potem zaczęli strzelać. Myślę, że strzelali wszyscy naraz. Po kilku chwilach było już po wszystkim.

— Wtedy weszłam do środka. Black Jack dostał postrzał w gardło. Widziałem, jak upadł - już nie żyje, to jest Black Jack. Tak samo jak stary Hannigan. I jeden z braci Bedloe, nie wiem który, chyba Bud. Paru innych zostało rannych, nie wiem ilu.

— Tom Storm stał i patrzył na mnie. Jego oczy wyglądały jak oczy diabła. On jest diabłem. Niech będzie przeklęty, och, niech będzie przeklęty… Uciekłam z powrotem do swojego pokoju. Próbował tam wejść, ale drzwi były zamknięte. Wiedziałam, że je wyważy.

— Uciekłam tylnym wyjściem i pobiegłam do stajni. Przyjechałam na oklep.

— Nie wiem, co mówili potem, Tom, Bull, Valdez i reszta. Ale przyszło mi do głowy, że tu przyjadą. I…

— Valdez? — wtrącił Ross. — Nie mówiłaś, że tam był!

— Zapomniałam o tym. Ale Przyjechał zaraz po zakończeniu walki. Słyszałam jego głos. Na dworze było kilku innych ludzi na koniach. Zgaduję, że przyjechali z Valdezem.

— Widzisz, że musiałam uciekać. Nigdy nie wyjeżdżałam z domu. Przyjechałam tutaj. Nie było innego miejsca. I chciałam cię ostrzec.

W pokoju zapadła ciężka cisza. Spojrzenia Rossa Haverila i Luke'a Olivera spotkały się.

— Jeśli nam się uda, mały — powiedział Luke — to lepiej bierzmy stąd nogi za pas.

— Nie — odparł Ross. — Niech mnie diabli, jeśli to zrobię. Chcą nas zrujnować, zniszczyć to miejsce. Bull Strake i jego galony nafty! Wszystko, czego tutaj dokonaliśmy - stodoły, zagrody i dom - do rana będzie tylko kupą popiołu!

Twardniejący wzrok Luke'a powędrował do dwóch dziewcząt.

— Te dziewczyny…

— Zabierz je stąd, póki jeszcze jest czas, Luke. Dokądkolwiek, do lasu. Potem lepiej niech stąd wyjadą. Żadna z nich nie będzie tu bezpieczna w kolejnych dniach.

Luke uparcie pokręcił głową.

— One są młode i zdrowe, w przeciwieństwie do mnie — stwierdził. A do dziewcząt powiedział: — Wy dwie, wynoście się stąd i to szybko. Wsiadajcie na konie i jedźcie jak diabli, byle dalej od miejsca, z którego przybyłyście. I nie zatrzymujcie się.

Carmencita krzyknęła i zaczęła załamywać ręce.

— Jedźcie ze mną! Jakiś mężczyzna musi ze mną pojechać! Nie mogę jechać sama!

Z oczu Rose Devlin zniknęło nieco ciężaru. Wstała.

— Potrafię strzelać równie celnie, jak każdy z was — oznajmiła. — Zabili też Black Jacka… a także Hannigana…

Ross podszedł do drzwi, otworzył je szarpnięciem i wyjrzał. Usłyszał coś, a teraz usłyszeli to wszyscy: tętent kopyt wybijających rytm jak szybkie werble.

— Natychmiast zabezpieczmy wszystkie drzwi i okna, Luke — powiedział. — Dobrze byłoby też, żeby w środku nie było za jasno.

Krzyknął do swojego chińskiego kucharza:

— Buttercup! Chodź tu i przynieś swoją śrutówkę.

Ale Buttercup już wchodził, modnie ubrany, choć wciąż w kapciach, z bronią w ręku i ogromnym rzeźnickim nożem, wetkniętym za pas.

Nawet Carmencita została pobudzona do użytecznej aktywności. Szybko pobiegła szukać drzwi do zabarykadowania. Rose-alba zobaczyła kilka karabinów na kołkach nad kominkiem i zdjęła jeden z nich, a wraz z nim pas z nabojami. Przez hałas, jaki robili, coraz wyraźniej i głośniej przebijał się tętent końskich kopyt.

— Posłuchaj, Luke — zawołał Ross. — Podkradną się tu, podpalą nas i wystrzelają jak cholerne króliki. Wyjdźmy lepiej na zewnątrz i zgotujmy im piekło, póki jeszcze nadchodzą. — W środku niech zostaną tylko dziewczyny. — Kiwnął głową w stronę Grove'a Jordana. — Chodź, Grove. Oto twoja szansa na dopadnięcie kuzyna Bulla. Buttercup, zostań tu z dziewczynami.

Chińczyk nic nie powiedział, a jego wyraz twarzy nigdy niczego nie mówił; trudno było go nawet nazwać „wyrazem”. Lecz kiedy patrzył, jak Ross, Luke i Grove wymykają się na zewnątrz, przemykają się przez drzwi i schodzą z ganku w mrok, pobiegł za nim klapiąc łapciami. Pchnął drzwi do tyłu, żeby je za sobą zatrzasnąć, ale Rose Devlin otworzyła je ponownie i znalazła się także na zewnątrz, zanim jeszcze Chińczyk zdążył zejść z ganku.

Carmencita krzyknęła:

— Nie uciekajcie wszyscy i nie zostawiajcie mnie samej! — po czym wybiegła, aby dogonić pozostałych.

Tak więc w ciągu mniej więcej dwóch minut cały ich plan został wywrócony na nice i wszyscy znaleźli się na dworze, schodząc z werandy i ustawiając się w ciemnościach koło zachodniej ściany.

Stukot kopyt przyciągnął ich wytężony wzrok w kierunku nadjeżdżających jeźdźców i wkrótce, pomimo że panowała ciemna noc i z tyłu rozpościerała się jeszcze bardziej czarna ściana sosnowego lasu, udało im się niewyraźnie dostrzec poruszające się postacie koni i jeźdźców. Ross uniósł karabin i wystrzelił pierwszą kulę w ich stronę. Niemal jednocześnie z trzaskiem karabinu rozległ się krzyk.

Z ust zachwyconego Człowieka Orientu wydobył się chichot.

— Dobry strzał, Bossee! Ty trafić jednego człowieka.

Po strzale i krzyku nastąpiła całkowita cisza.

— Zatrzymałeś ich, mały — stwierdził Luke. — Uznali, że za bardzo się rozpędzili. Równie dobrze możemy dać im jeszcze trochę do wiwatu.

— To było zwykłe szczęście… Jest zupełnie ciemno, Luke… Jeszcze parę strzałów…

Razem z Lukiem i Grove'em wystrzelili w sumie osiem lub dziesięć pocisków. Zaczęli jednak dostrzegać, że ich mglisty cel rozpadł się; jeźdźcy rozproszyli się, rozjeżdżając się w różnych kierunkach, tak że bardziej trzeba było ich sobie wyobrażać, niż można było ich zobaczyć. Wtedy jakiś głos zawołał głośno:

— Haveril! Nie strzelaj! Przybywam jako przyjaciel. Chcę tylko odzyskać siostrzenicę. Wiem, że tu jest. Pozwól mi ją zabrać, a daję ci słowo, że odjadę w pokoju. I zabiorę ze sobą wszystkich moich ludzi. Daję słowo Valdeza y Verdugo!

— Ilu ludzi zabierzesz ze sobą? — zawołał w odpowiedzi Ross.

Para rąk chwyciła go konwulsyjnie za ramię.

— Na miłość boską, Ross, nie pozwól mu mnie zabrać!

— Cicho, Carmencita! — polecił. — Uspokój się i posłuchaj!

Valdez odpowiedział.

— Jedenastu ludzi, Señor. Wszystkich z Rajskiej Doliny, których przyprowadziłem ze sobą. Przysięgam!

Ross chrząknął i wymamrotał, nie zwracając się do nikogo w szczególności:

— Przybył jako przyjaciel - więc przyprowadził ze sobą jedenastu ludzi! — Następnie, komunikując się z Lukiem: — Z tuzinem ludzi z Rajskiej Doliny, ze Stormem i Bullem oraz jednym Bedloe i Go-downem, mają około szesnastu do dwudziestu ludzi. Nie marnujmy amunicji, co?

Nie odpowiedział Valdezowi. Carmencita sapnęła:

— Więc nie oddasz mnie mu?

Jej twarz, niczym u błagającego dziecka, uniesiona była w jego stronę; ponownie dostrzegł błysk gwiazd w jej oczach. Nie powiedział ani słowa, ale mimo to ją uspokoił. Posłuszny odurzającemu impulsowi, pocałował ją.

I znów Chińczyk, stojący blisko nich, zachichotał.

— Dobry strzał, Bossee! — zachichotał.

— Zamknij się, ty Chińczyku. Ćśś! Wysłuchajmy go!

Ponieważ Valdez znów zaczął wołać. Powtórzył swoje słowa, niewątpliwie myśląc, że przedtem nie zostały usłyszane wyraźnie lub nie zostały sformułowane wystarczająco dobitnie. Potem zaczął prosić; wreszcie, coraz bardziej rozgniewany, przeszedł do gróźb. W tej chwili Ross już dosyć dokładnie oszacował, gdzie znajduje się mały Don Kogucik i strzelił w jego kierunku. Tym razem efektem nie był krzyk, lecz potok hiszpańskich obelg.

Potem znów zapadła cisza.

— Zsiądą z koni, rozproszą się i spróbują podkraść się do nas, jak Indiańcy — powiedział Luke.

— My też się rozproszymy — odparł Ross. Następnie, powiedział krótko do Carmencity, znajdującej się tak blisko, że mogła wyciągnąć rękę i go dotknąć, oraz do Rose-alby, stojącej również wystarczająco blisko, by widzieć, co się właśnie wydarzyło: — Dziewczyny, wracajcie pod osłonę, póki możecie. Do domu, obydwie.

— Nie pójdę — powiedziała Rose-alba. — Sam sobie idź do domu.

— Nie mogę! — krzyknęła Carmencita. — Och, proszę, Ross! Nie całkiem sama!

Ross roześmiał się; nie mógł się powstrzymać. Ale nie marnował czasu na śmiech.

— Luke, powiedzmy, że każdy z nas przekradnie się do jednego z narożników domu, albo tak blisko, jak to możliwe, w jakieś miejsce gdzie jest cień, w którym można się schować? Jasne?

— Jasne jak słońce, mały. Życzę ci szczęścia — powiedział Luke i ruszył do południowo-zachodniego rogu domu; uznał, że to będzie równie dobre miejsce do utrzymania, jak każde inne.

— Ja idę do narożnika najbliżej stodoły — powiedział Ross. — Grove, ty i Buttercup zajmiecie dwa pozostałe rogi. Zniknęli w ciemności, Grove bez słowa, a Buttercup cicho mamroczący coś do siebie po chińsku, gdy oddalał się od Rossa.

— A teraz wy dwie małe diablice — powiedział Ross. — Co z wami?

— Ja idę z tobą — odparła pośpiesznie Carmencita.

Rose-alba zaś zaproponowała:

— Ja zostanę tutaj. Czemu nie?

— Nie. Lepiej chodź z nami, a potem przejdź na drugą stronę domu, jeśli chcesz. Między Grove'a a Chińczyka.

— Wolałabym…

— Do diabła! — warknął na nią. — Rób, co ci każę. Och, czemu, u licha, wy kobiety musiałyście tutaj się zjawić?

W tej samej chwili pożałował, że to powiedział; obie przecież przyniosły ostrzeżenia i obie w pewnym stopniu, nieważne jak małym, miały na myśli jego interes.

— Chodź, Rose-alba, bądź grzeczna. Proszę.

— Och, w porządku — odparła i poszła z nim i Carmencitą - a potem cicho prześliznęła się na miejsce koło muru, gdzieś między Grovem a kucharzem.

Potem zaś Ross powiedział do Carmencity:

— Zostań tu gdzie jesteś, przez chwilę; tym razem nie możesz iść ze mną. Szybko popędzę do stodoły, żeby wypuścić konie.

I zanim zdążyła wykrztusić choćby słowo sprzeciwu, rzucił się biegiem.

Pokonał drogę do stodoły szybko i będąc niezauważony i uwolnił cztery konie, które znajdowały się w swoich boksach, te, na których jeździli on, Luke i Grove, oraz tego, który przywiózł Carmencitę z Rajskiej Doliny. Potem pobiegł do corralu, szeroko otworzył bramę i wypłoszył z niego kilka kolejnych wierzchowców. Kiedy parskając popędziły przez bramę z rozwianymi grzywami i ogonami, pomyślał z żalem: „To kiepskie rozwiązanie, jak by na to nie patrzeć; zostawia to nas na piechotę - ale może to uratuje zwierzęta przed śmiercią w płomieniach lub od kul.” Potem zaś ruszył z powrotem do domu.

Napastnicy byli bliżej, niż myślał; niektórzy z nich byli już w drodze do stodoły. Kule zaczęły mu świstać koło uszu i nie miał pojęcia, skąd się brały; nie widział nawet błysku wystrzałów. Poderwał się do biegu, nie martwiąc się zbytnio o szanse trafienia, lecz z wściekłością zdając sobie sprawę, że nie będzie w stanie uratować stodoły, nawet gdyby podjął taką lekkomyślną próbę.

W jego narożniku powitało go z powrotem sapnięcie Carmencity.

— Bałam się o ciebie, Ross! Och, tak się boję!

Zaczął martwić się Lukiem.

— Chyba powinniśmy byli spróbować się stąd wydostać. Zaczną strzelać ze wszystkich stron…

Wtedy dostrzegł ciemną postać spieszącą w stronę corralu i posłał za nią kilka strzałów. Tym razem nie było krzyku, ponieważ postać była tylko cieniem rozmytym w ciemności.

Kilka strzałów padło z narożnika Luke'a; potem Luke, podobnie jak on, wstrzymał ogień. Ale z kilku kierunków strumień kul poleciał w stronę miejsc, w których on i Luke ujawnili swoje stanowiska.

Obaj natychmiast zaczęli się przemieszczać, Ross polecił Carmencicie, aby przeszła dalej wzdłuż muru, poza narożnik. Gdy zaczęła to robić, jeden z napastników, którzy okrążyli budynek w znacznej odległości, zaczął ostrzeliwać również i ten mur.

— Carmencita — warknął na nią, — stań prosto za mną. Rose-alba! Stań za kimś, nawet jeśli to będzie tylko Grove lub Chińczyk.

Carmencita natychmiast posłuchała. Rose cicho odkrzyknęła:

— Daj mi spokój, Ross!

I usłyszał trzask jej karabinu.

Nagle zaskoczył go głos Luke’a, odzywający mu się niemal do ucha.

— Posłuchaj, mały. Sądząc po tym, jak się rozpraszają, wkrótce otoczą nas ładnym, dużym kręgiem. Nie obchodzi ich, kogo zastrzelą, dziewczynę, białego mężczyznę czy Chińczyka. Nie ma też szans, żeby nie pomyśleli o zrobieniu wielkiej pochodni z tej stodoły. Wtedy będą mieli świetną zabawę, strzelając do nas jak do kaczek.

— O czym myślisz, stary?

— Są teraz pieszo. Zostawili gdzieś konie z paroma ludźmi, którzy je trzymają. Szybko się stamtąd wyrwijmy w tamtym kierunku; może nie

zobaczą nas za wcześnie; może czekają na rozniecenie ognia. Złapiemy parę koni dla siebie i rozproszymy resztę; zostawimy ich na piechotę…

— Do diabła…

— Nie, nie będziemy uciekać! Może uda nam się zabrać stąd dziewczyny; reszta z nas zaczeka na światło dzienne, strzelając bez przerwy, ile się da, i korzystając z oświetlenia ich ognia, jeśli go w ogóle rozpalą.

— Idziemy! Powiedz Grove'owi i kucharzowi. Biegniemy ze wszystkich sił, najpierw na wschód, a potem zawrócimy w stronę, gdzie muszą być ich konie. Poczekaj! Chwileczkę - Grove nie może biegać z tą nogą!

— Potrafi cholernie żwawo nią przebierać — powiedział Luke, — a teraz nadszedł czas, żeby przebierać nią jak najszybciej.

Ross podszedł, żeby zamienić kilka słów z Grovem Jordanem.

— Jasne — warknął Grove. — Ruszamy z tym; jestem z wami. Jeśli nie będę mógł nadążyć, to moja sprawa.

Ruszyli szybko. Luke i Chińczyk truchtali obok siebie, a Carmencita za nimi; Grove i Ross także trzymali się blisko, a Rose-alba teoretycznie korzystała z tej skąpej ochrony, jaką mogły zapewnić ich grube ciała. Poruszali się szybko, wydając tak niewiele dźwięków, jak tylko mogli, chociaż Grove przeklinał pod nosem swoją drewnianą nogę przy każdym kroku. Zmierzali prosto w stronę pojedynczego strzelca, który, o ile widzieli, był jedynym znajdującym się po wschodniej stronie zabudowań. Mieli nadzieję, że dopadną go, zanim zorientuje się, co się dzieje.

Zobaczył ich, zanim oni byli w stanie go dostrzec; przestraszony popełnił dziecinny błąd, wydając okrzyk, zanim nacisnął spust. Kiedy wystrzelił, odpowiedziało mu pięć strzałów; odległość była dostatecznie mała nawet dla śrutówki Chińczyka. W efekcie z jego strony, nie było już kolejnych strzałów, ten człowiek nawet nie krzyknął. Cała szóstka uciekinierów pośpieszyła dalej, przeskakując nad jego rozciągniętym ciałem.

Chińczyk zachichotał.

— To ja go dopaść — pochwalił się i czule poklepał swoją starą strzelbę.

To krótkie starcie ujawniło napastnikom, gdzie byli i w jakim kierunku uciekali, tak więc popłynęła za nimi seria wrzasków przeplatanych kulami. Można było nawet nieomylnie rozpoznać głos Toma Storma, chociaż jego słowa tonęły w zamieszaniu, a poza tym nie zwracali uwagi na słowa.

I właśnie wtedy kolejny chór wrzeszczących głosów dołączył do tego całego zamieszania; wrzaskliwe głosy przepełnione były triumfującą kpiną, a pierwsze jasne płomienie ze stodoły, z sykiem strzeliły w niebo.

— Dalej, dalej — mruknął Ross, odrywając wzrok od zwinnych, jasnych języków ognia. — Już niedaleko - jeszcze sto jardów i będziemy na skraju lasu.

— Tom Storm przekona się, że spalenie czyjejś stodoły przynosi pecha — mruknął Luke. — Może zapomniał, że on też ma swoją stodołę.

Przed sobą dostrzegli ciemną ścianę klifów wznoszącą się pośród mgiełki gwiazd, a grubsza warstwa czerni u podnóża klifów wskazywała na krawędź lasu, w którym mogli znaleźć jakąś ochronę - jeśli nie zostaną

trafieni, zanim tam dotrą. Ross zawołał do pozostałych, by biegli przodem, podczas gdy on i Grove będą szli wolniej; Grove, brnąc w trudzie i znoju, obrzucił Rossa od góry do dołu przekleństwami, za jego słowa, strząsnął jego rękę z ramienia i odwrócił się do tyłu, unosząc karabin i zalewając deszczem ołowiu ciemności za nimi. Znów bowiem zaczęły trzaskać karabiny, a kule szukały ich w mroku.

Rozległ się głuchy odgłos trafienia jednej z tych kul, Grove Jordan gwałtownie zachwiał się i upadł. Ross pochylił się nad nim. Przekleństwa Grove'a wznosiły się jeszcze głośniej i były bardziej wściekle niż kiedykolwiek przedtem.

— Postrzelili mnie w nogę, te *** ***!

Ross zaczął podnosić Grove'a pod ramiona, choć tamten był nieporęczny, bo miał jedną drewnianą i drugą ranną nogę.

— Zostaw mnie w spokoju! — ryknął Grove.

— Ależ, do cholery, człowieku, jeśli jesteś ranny…

— Ranny, sranny. Postrzelili mnie w niewłaściwą nogę!

A potem, pozwalając Rossowi by pomógł mu się podnieść z ziemi, zaczął się śmiać, Ross wybuchnął śmiechem razem z nim. Luke, przeszukując swój słownik przekleństw, w poszukiwaniu odpowiednich słów, którymi mógłby ich obdarzyć, całkowicie zapomniał o obecności dwojga dziewcząt.

Znów ruszyli dalej. Ledwie spojrzeli przez ramię; kiedy to zrobili, zobaczyli tylko czerwony ogień skaczący na coraz większą wysokość. Czarna ściana przed nimi wznosiła się wyżej, nie stanowiła już solidnej, nienaruszalnej bariery, lecz zmieniła się w szereg wysokich drzew. Las zdawał się wstrzymywać oddech, czekając na nich z niecierpliwością - wyciągając im na ratunek swe ramiona.

— Nie ma sensu dłużej zachowywać się jak osły — stwierdził Luke. — Tak czy inaczej ranczo jest spalone; nie da się tego powstrzymać. Mamy więc szansę na to by zrezygnować i uciec.

— Jeśli będziemy szli pieszo, dogonią nas po pierwszej mili… — zaczął Ross,

Lecz gdy Luke zaczął mówić:

— Jeśli wejdziemy głęboko w las…

Ross dokończył, ignorując jego słowa,

— … chyba że sprawimy im psikusa! Takiego jak to…

Niech obie dziewczyny pójdą przodem, chowając się głębiej w las leżący pod klifami, a Grove i Chińczyk będą je eskortować. Będą mieli dobrą osłonę, a potem skręcą w dół, w stronę wyjścia szlaku, który prowadził z doliny i w górę przez East Ridge, i tam się zatrzymają oraz zaczekają. Tymczasem Ross i Luke spróbują razem zrobić tego „psikusa" napastnikom.

Carmencita natychmiast zaprotestowała; wcale nie czuła się bezpiecznie pod ochroną najbrzydszego Chińczyka, jakiego ona lub ktokolwiek z nich kiedykolwiek widział, ani przy złowrogo wyglądającym jednonogim mężczyźnie. Rose również z uporem podnosiła głos, aż w końcu Ross, wściekły, zaklął, że jeśli obie nie pójdą dobrowolnie, Grove i

Buttercup zaciągną ich za włosy. Wesoły Buttercup zachichotał radośnie i pomachał swoim wielkim, rzeźnickim nożem o błyszczącym ostrzu.

— Lepiej, żeby pójść jak mówić bossee, albo Ah Wong ciach-ciach nożem - obciąć im wszystkie włosy – krótko!

Wtedy posłuchały i to w pośpiechu; niemal natychmiast wszyscy zniknęli w całkowitej ciemności pod drzewami. Ostatnie spojrzenia Rossa i Luke'a pokazały Rose-albę i Carmencitę po raz pierwszy zbliżające się do siebie.

Potem Luke skierował wzrok w stronę stodoły.

— Ładnie się pali, co, mały? A tak dobrze wyglądała, prawda?

— Za dziesięć minut będzie tu jasno jak w dzień — warknął Ross. Niech diabli wezmą tę stodołę, Luke. Zbudujemy sobie nową. Ruszajmy, póki jeszcze możemy.

Przebiegli kilkaset jardów wzdłuż skraju lasu, a potem musieli przeciąć otwarte pole, żeby przeskoczyć do pasa lasu, rosnącego po jego drugiej stronie; to właśnie tam grupa napastników gdzieś zostawiła swoje konie.

Tak więc wiedzieli, że pędzą prosto w paszczę niebezpieczeństwa, czekającego ich w trakcie przeprawy przez pustą przestrzeń, ale całą swoją nadzieję pokładali w dwóch czynnikach, które powinny działać na ich korzyść. Po pierwsze, spowijała ich jeszcze jak czarny koc ciemność, jako że płomienie stodoły były ciągle zaledwie drobnymi płomykami, w dodatku przesłanianymi przez kłęby mętnego dymu. Po drugie, było mało prawdopodobne, aby Storm, Valdez lub ich towarzysze nabrali jakichkolwiek podejrzeń, że któryś z uciekinierów mógłby skierować się w tę stronę.

Schylając się nisko i biegnąc, starając się przy tym robić jak najmniej hałasu, pokonali szerokość pola położonego jakieś kilkaset jardów poniżej domu i schowali się w lesie po jego drugiej stronie. Zatrzymali się tam, żeby się rozejrzeć i nastawić uszy na wszystkie dźwięki. Przed ich oczyma roztoczył się widok, którego nie można było już nie dostrzegać, buchające płomienie wyrastające ze stodoły niczym diabelskie języki. Z płonącego budynku rozlewał się gwałtowny, migoczący blask, sprawiając, że wszystko dookoła zdawało się drżeć i poruszać; ciszę zaczął wypełniać syk ognia. Potem dostrzegli kilka szybko poruszających się postaci, mężczyzn na piechotę, wycofujących się z kręgu światła.

Znów ruszyli biegiem, odbierając przez sosny urywane, niepokojąco jasne rozbłyski ognia, szukając miejsca, w którym najprawdopodobniej znajdowały się konie. Szczęście im dopisało; zanim pokonali sto kroków w głąb lasu, usłyszeli głos człowieka, cicho przeklinającego swoich podopiecznych, a wraz z nim stłumiony tupot kopyt i brzęk uprzęży.

— Do pilnowania zwierząt powinni zostawić tylko jednego lub dwóch ludzi — powiedział Ross. — To będzie bułka z masłem.

— Chyba że reszcie tej hołoty wpadnie do głowy, żeby zacząć nas ścigać konno, co prawdopodobnie będą chcieli zrobić — zauważył Luke. — Chodź, mały.

Więc pośpieszyli znowu naprzód i w blasku pożaru, który teraz równie mocno im pomagał, jak groził zdradzeniem ich zamiarów, zobaczyli konie oraz zorientowali się, że tylko dwóch ludzi trzyma je za uzdy. A ci dwaj,

jak można było się spodziewać, przechylali się i kręcili we wszystkie strony, aby lepiej widzieć ogień i to, co działo się koło domu i w stodole. Byli to dwaj na wpół wyrośnięci indiańscy chłopcy, z hacjendy Valdeza, sądząc po ich szybkich, gardłowych uwagach wymienianych między sobą.

— Weźmiemy ich prosto z marszu — postanowili Luke i Ross. — Przystawimy im lufy karabinów do brzuchów - i niech pomogą nam odciągnąć konie i przejechać milę lub dwie w dół doliny, zanim je rozpędzimy.

Więc podkradli się blisko, bliziutko; i każdy, wybrawszy swój cel ataku, rzucili się na strażników koni tak, jak rzucają się dwa podkradające się kuguary. Następną rzeczą, jaką zobaczyli dwaj przerażeni Indianie, były lufy dwóch karabinów wbijające im się w żebra, oraz to, że niepewnie balansują na krawędzi otchłani śmierci.

Otrzymali rozkazy, wyszeptane im do ucha, i zrobili co im kazano, z niezwykłą jak na nich ochotą. Rozbrojeni, sparaliżowani dotykiem zimnej stali, nie mieli wyboru ani nie szukali kłopotów. Gdy Luke wsiadł na konia, obaj ochoczo mu podali końce trzech uzd prowadzonych koni. Uderzył piętami w koński bok i ruszył na południe, cały czas przez las, podczas gdy dwaj indiańscy chłopcy podążyli za nim, jeden za drugim, prowadząc resztę koni, poza jednym. Na ostatniego wierzchowca wskoczył Ross, z karabinem przewieszonym przez ramię, by pod jego groźbą, wciąż tak drżąco żywą w umysłach jeńców, pilnować tyłów.

Właśnie wtedy, gdy mieli już zakończyć swą robotę, tak że żaden z rabusiów w niczym się nie zorientował, mały Señor Valdez spowodował kłopoty. Był co prawda łobuzem, pozbawionym sumienia, które inaczej nie pozwalałoby mu spać po nocach, nie był jednak człowiekiem skłonnym do przemocy i nie miał do niej nerwów. Gdy na początku Ross strzelał chaotycznie w kierunku głosu Valdeza, jego kule były wręcz o cal od uciszenia na wieczność piania małego Dona Kogucika. Męka strachu wbiła się głęboko w jego serce, tak mało brakowało, by trafiła go szukająca celu ołowiana kula. Potem zaś, takie jego szczęście, chwilę później kolejna kula, wystrzelona nie miał pojęcia z jakiej broni, przeleciała tak blisko niego, że odkrył, iż rozdarła mu płaszcz i oparzyła w skórę. Będąc człowiekiem przebiegłych ścieżek i skrytych knowań, a zatem pełnym podejrzeń wobec wszystkich innych, doszedł do wniosku, który mógł mieć nawet poważne uzasadnienie: w ciemności, kiedy ludzie strzelają na oślep, co by się stało, gdyby Tom Storm wpakował mu kulę prosto w głowę! Był zawsze cierniem w boku Toma Storma, dlaczego więc Storm nie miałby go wykończyć?

Gdyby był tak szczery jak jego mała siostrzenica, wyjęczałby: „Boję się!”. I chociaż trzymał język za zębami, wycofał się z linii walki i skierował się w stronę koni. Pozwolił Stormowi i reszcie, walczyć za siebie. Don Francisco był skłonny wracać do domu. Dla niego, w tej chwili nie było wspanialszego nieba niż Rajska Dolina. Zdążył na czas, by zobaczyć, jak zabierane są ich konie; z płonącej stodoły buchało wystarczająco dużo światła, w strzelających z niej promieniach. Zaczął biec do przodu, wołając na Indian, żeby się zatrzymali.

Luke poderwał konia do żwawego kłusa, jadący tuż za nim Indianie także pognali je ostrogami — a Valdez, którego ogarnęły nowe obawy, krzyczał do nich na cały głos.

Niezależnie od tego, czy Storm próbował go zabić tej nocy, czy nie, jest pewne, że nigdy nie ufał Valdezowi znajdującemu się poza zasięgiem jego wzroku i właśnie teraz go obserwował. Następną rzeczą, którą usłyszał Ross, był wściekły głos Storma pytający Valdeza, co on do cholery wyprawia i po co ucieka. Na to, Valdez całkowicie stracił głowę; nie widział Rossa siedzącego bez ruchu w siodle, dosiadającego ciemnogniadego konia, prawie niewidocznego w panującym pod sosnami mroku. Zobaczył tylko, że ich konie szybko mu uciekają, i usłyszał niespodziewany głos Storma, który za nim ryczał - ruszył więc w pogoń, ze zwinnością młodzieńca, tak jakby mógł dogonić biegnącego konia, a strach dodawał mu skrzydeł.

— Ty cholerny mały głupcze! — wrzasnął Storm i pobiegł za nim kilka kroków, aż wydostał się za nim na otwartą przestrzeń. Potem zaś Storm zatrzymał się i spokojnie przyłożył kolbę karabinu do ramienia - i strzelił małemu Valdezowi w środek pleców.

— Cholera, Storm! — ryknął Ross. — Tak właśnie zabiłeś Boba Robertsa!

— Haveril! — krzyknął Storm bardzo zadowolonym głosem. — Haveril, na Boga!

Ogień rozchodzący się przez suche jak pieprz siano w stodole, przebił się w końcu przez gonty dachu i rozbłysnął nagle pełnym blaskiem, wypełniając niebo jasnością, wysyłając strumienie światła pomiędzy drzewami. Niemal w tym samym ułamku sekundy obaj mężczyźni wystrzelili, a kiedy naciskali spusty, koń Rossa stanął dęba i szarpnął się. Pocisk Rossa poszybował w zupełnie przypadkową stronę; wiedział o tym, nawet jeszcze wtedy gdy oba wystrzały brzmiały mu wciąż w uszach wspólnym echem. Drugą zaś rzeczą, którą zarejestrował i która sprawiła, że zacisnął zęby, bardziej ze złości niż z bólu, był fakt, że Tom Storm miał więcej szczęścia, jego kula drasnęła udo Rossa Haverila.

Ponieważ jego koń był niemalże nie do opanowania, rzucając się jak szalony, Ross zeskoczył z siodła, dostrzegł plamę, którą uznał za Toma Storma przyciskającego swe ciało do pnia drzewa, i strzelił ponownie, zaś Storm wypalił do niego. Po raz drugi kula Storma trafiła w cel; Ross poczuł, jakby coś oderwało mu cały bok, i zatoczył się do tyłu, walcząc z całych sił, by utrzymać się w pozycji wyprostowanej, próbując się uspokoić i ponownie odnaleźć Storma, przygotowując się do trzeciego i ostatniego strzału.

Nie mógł dostrzec Storma. Stał, chwiejąc się lekko, pomimo zawziętego wysiłku, aby zachować równowagę; przez cały czas szukał Storma, czekając ze swym strzałem, tylko po to by dokładnie zobaczyć, gdzie on stoi.

Migoczący blask ognia wskazał mu, gdzie jest Storm i dlaczego przestał strzelać. Leżał u stóp sosny; poruszył się, po omacku szukał swojego leżącego karabinu i próbował wstać. Ross odczekał chwilę. Usłyszał krzyk Bulla Strake'a, wołającego:

— Storm! Storm! Gdzie jesteś? Co się dzieje?

Storm nie odpowiedział; walczył jedynie, żeby wstać. Ross odwrócił się i zobaczył swojego konia; przebiegł tylko krótki dystans i zatrzymał się, parskając i szarpiąc łbem w górę i w dół. Podszedł do niego powoli i wdrapał się na siodło. Wtedy usłyszał wołanie Luke'a.

— Jedź dalej, Luke. Jestem za tobą! — zawołał.

## Rozdział XIX

**R**oss Haveril zobaczył coś, co na początku wziął za dużą żelazną łyżkę lewitującą w powietrzu, sunącą w jego stronę. Skoncentrował się na niej, obserwując ją ze zmarszczonymi brwiami i zainteresowaniem. Było to dokładnie to, co mu się wydawało - wielka żelazna łyżka, która nieustannie zbliżała się do niego. Zamrugał oczyma, lecz ona nie chciała jakoś zniknąć. W porządku, niech sobie sunie dalej. Pokaże jej coś, o czym większość żelaznych łyżek nie ma pojęcia.

Leżał więc idealnie bez ruchu, udając, że jej nie widzi. Potem, gdy znalazła się już blisko, tuż pod jego nosem, poderwał się z uśpienia niczym wąż ze swoich zwojów. Odbił ją w bok, dzięki czemu zniknęła mu z pola widzenia, a jej zawartość rozbryzgnęła się na różowy strój jeździecki, który wcześniej wyglądał bardzo radośnie, ale teraz zrobił się smutno przybrudzony, zmechacony i w ogóle beznadziejny.

— Valgame! — burknęła Carmencita i tupnęła nogą. Tupanie nigdy by jej nie przeszło, choćby nawet dożyła stu lat. Próbowała zetrzeć zupę z ubrania i powiedziała: — Mam ochotę się rozpłakać.

— Pozwól mi spróbować — zaproponowała Rose-alba.

Tym razem Ross nie widział żadnej nadlatującej łyżki, lecz dostrzegał parę oliwkowozielonych bryczesów jeździeckich i czubki małych wysokich butów, które zbliżały się do niego, a gdy się na nich koncentrował, łyżka ponownie zdradziecko podjechała mu pod nos. Przyjął to spokojnie, jego zdezorientowane myśli wciąż były gdzie indziej, i łagodnie zaczął wydmuchiwać w niej bąbelki.

Carmencita, która miała rozpłakać się ze zmęczenia i napięcia, zaczęła się śmiać. Rose-alba, starając się być bardzo stanowcza, w pełni profesjonalna jak pielęgniarka, choć w jej głosie słychać było również zmęczenie i złamane serce, powiedziała:

— A teraz, Ross, bądź grzecznym chłopcem. Połknij zupę, Ross.

Otworzył usta, ona zaś wsunęła czubek dużej łyżki pomiędzy jego wargi. Rose-alba nie była w stanie powstrzymać się przed triumfalnym spojrzeniem przez ramię, na Carmencitę. Usta Rossa otworzyły się nieco szerzej, łyżka przesunęła się o kolejne ćwierć cala, on zaś rzucił się na nią, złapał ją między zęby, wyrwał z ręki Rose, jak pies bawiący się królikiem, a następnie poderwał ją do góry i wyrzucił łukiem na bok, tak że po raz kolejny znalazła się poza jego świadomością.

— Cholera — stwierdziła Rose Devlin.

A Ross, zrobił sobie chwilę wolnego, krzywiąc się z przeszywającego bólu, otworzył szeroko oczy, widząc skrawek nieba oraz baldachim nieruchomych wierzchołków sosen, i zasnął.

Później, wczesnym, spokojnym, słodkim letnim świtem, gdy niebo było różowe jak kwiaty jabłoni, a sosny niebiesko-czarne poza tymi, oświetlonymi przez pierwsze smugi światła, które rysowały żywe złote linie, Ross ocknął się i dokonał przeglądu swojego otoczenia. Poskładał też w całość fragmenty wspomnień. Przypomniał sobie swoją dyskusję w kłębach prochowego dymu z Tomem Stormem i zastanawiał się, patrząc na to z dziwnym dystansem, czy Storm ją przeżył. Tak jakby analizował jakieś przypadkowe wydarzenie, mające miejsce dawno temu. Przypominał sobie również, jak Luke podjechał do niego, jak pokonali razem kawałek drogi, i Luke kazał indiańskim chłopcom rozsiodłać wszystkie konie poza sześcioma, których potrzebowała ich grupa, i rozpędzić je w dole doliny.

— Tak, a Valdez nie żyje. Widziałem, jak Storm wpakował mu kulę między łopatki.

To, gdzie znajdował się teraz, jak dokładnie się tutaj znalazł, było w jego umyśle nieco zamglone. Jechał z resztą towarzyszy przez koszmar do jakiegoś miejsca, tyle wiedział. Był na dworze, nie w żadnym domu. Leżał na zaimprowizowanym posłaniu u podnóża wysokich czarnych klifów, mając pod sobą kawałek równej ziemi i solidny gąszcz sosen przed oczyma, rosnących na zboczu, opadającym do jakiegoś strumienia; w ciszy świtu słyszał płynącą wodę, rozpryskującą się o skały, spadającą do rozlewisk potoku.

Jego łóżko zbudowane było z sosnowych gałęzi przykrytych derkami spod siodeł. Był zesztywniały, obolały i słaby jak kociak. Gdzie w ogóle trafiła go kula Storma? Poczuł, jak bandaż ciasno opina mu ciało - auć! Dostał w lewy bok, w dolną część żeber.

— Ciekawe, jak dawno to było? Zeszłej nocy?

Podniósł dłoń i zerknął na nią; nie mógł utrzymać tej cholernej łapy w miejscu; wyglądała tak chudo, jak się czuł. Udało mu się unieść ją do twarzy. Czubki palców napotkały mocny zarost, jedyną mocną rzecz, jaka we mnie została, pomyślał sobie.

Poczuł zapach dymu z drewna i usłyszał jakiś słaby odgłos, a obracając lekko głowę, odkrył, że to Chińczyk przykucnął w swoim chińskim stylu, rozpalając ogień. Z tą swoją paskudną gębą, rozwichrzonymi, czarnymi włosami i poszarpanym ubraniem - był teraz boso, bo zgubił pantofle podczas ucieczki z Sekretnej Doliny - i z wielkim rzeźnickim nożem dyndającym na sznurku przy pulchnym biodrze, Buttercup wyglądał jak jakiś krwiożerczy pirat. A jednak ostatni okres jego życia był chyba jednak dosyć domowy. Zbudował palenisko z luźnych kamieni u podnóża klifu, był dumny ze swojej pracy i za chwilę miał zacząć piec grube steki z dziczyzny.

Wynędzniałe oczy Rossa Haverila powędrowały gdzie indziej. Za wierzchołkami sosen przed nim, wznosił się stromy lesisty grzbiet górski, widoczny na tle powoli rozjaśniającego się nieba, a w pewnym momencie grzbiet zamieniał się w wysoko położony wał skalny, który po dłuższej chwili, wydał mu się znajomy. Zamknął oczy i przypomniał sobie. On i Bob

Roberts wiele lat temu, w chłopięcych czasach, ryzykowali skręcenie karku, wspinając się tam. Byli na polowaniu i cały dzień wdrapywali się na to wzgórze.

— Jesteśmy w Sundown Canyon — poinformował sam siebie. — Luke to sprytny stary lis. Mieliby problemy ze znalezieniem nas tutaj, a jeśli już by nas znaleźli, mieliby jeszcze większe problemy z wykurzeniem nas stąd.

Chciał zawołać Buttercupa, ale wymagało to zbyt wiele wysiłku, więc po prostu leżał bez ruchu, pozwalając swoim zmęczonym oczom i ciężkim myślom dryfować swobodnie lub pozostawać w miejscu. Nie zastanawiał się nawet, gdzie są Luke i Grove Jordan, ani gdzie się podziały dziewczyny.

Potem zobaczył dwie mokre panie, których włosy dopiero zaczynały schnąć i układać się w loki, zmierzające w górę zbocza przez las. To Carmencita Valdez i Rose Devlin wracały z porannych ablucji w osłoniętym rozlewisku wody. Jedna z dziewcząt niosła blaszane wiadro, druga bańkę, oba naczynia wypełnione były wodą, którą przyniosły dla kucharza. Ciężkie oczy Haverila były niemalże zamknięte; myślały więc, że śpi i bezszelestnie prześlizgnęły się do paleniska, choć gdy szły, ich spojrzenia spoczywały przez cały czas na nim.

Były dla niego jak dwie jasne wizje w gorączkowym śnie. Pomyślał: „Widziałem je obie mojej pierwszej nocy tutaj - i nadal tu są. A Valdez nie żyje, Black Jack Devlin nie żyje, i Tom Storm może również nie żyje, więc teraz obie mogłyby wrócić do domów, z których uciekły”.

Zastanawiał się jeszcze, czy dziewczyny nie zaprzyjaźniły się ze sobą, ale tak jak człowiek, który jest czymś tylko lekko zaciekawiony i nie przejmuje się tym ani trochę.

Potem znów zapadł w ciężki sen.

Jelenie muchy nie potrzebują dużo czasu, aby odnaleźć obóz. Mają mnóstwo zabawy, z tego że go znajdą, ale przede wszystkim lubią siadać na grzbiecie dłoni człowieka, w pobliżu jakiejś żyły, tak lekko by nie można było ich wyczuć, wygodnie się usadowić… i dać mu do wiwatu, osiągając rezultaty, które doprowadzą najbardziej nawet doświadczonego komara z Jersey do szaleństwa, z zazdrości. Kiedy więc Ross Haveril ponownie się obudził, ktoś siedział cichutko u jego boku, delikatnie machając szczotkowatym czubkiem sosnowej gałęzi jak staromodną packą na muchy, odpędzając te leśne szkodniki z jego sąsiedztwa. Poznał ją po różowym stroju jeździeckim, niegdyś tak wesołym, jeszcze zanim jego powieki uniosły się na tyle, by mógł zobaczyć jej twarz.

Była pochłonięta swoimi myślami, wpatrując się w ziemię, i wyglądała tak żałośnie smutno - i tak uroczo, że po prostu nie mógł oderwać od niej wzroku, mając nadzieję, że przez chwilę się nie zorientuje. Ale…

— Ależ, Rossie Haveril! Przez cały ten czas nie spałeś!

I z jakiegoś niezależnego od niego powodu, jej policzki nabrały barwy, takiej jak różowe rumieńce, które widział o świcie na niebie.

— I wyglądasz… wyglądasz naprawdę dobrze! — zawołała Carmencita.

Rose Devlin, będąca gdzieś w pobliżu, usłyszała jej słowa i pośpiesznie przybiegła. Ponieważ jego łóżko znajdowało się na ziemi, obie dziewczyny, górując nad nim uklękły, każda z nich ze swojej strony.

— Wyglądasz lepiej, o wiele lepiej! — wykrzyknęła Rose-alba.

— Wszystko ze mną w porządku — odparł Ross i dodał: — Gdzie są pozostali? Luke i Grove?

Obie zaczęły odpowiadać razem, więc przerwały gwałtownie i spojrzały na siebie. Nie były jeszcze przyjaciółkami.

— Luke i Grove gdzieś pojechali — powiedziała Carmencita, przerywając ciszę. — Niedługo wrócą.

— A Luke powiedział — wtrąciła Rose-alba — że kiedy przyjedziesz do siebie, nie mamy dać ci dużo mówić; powiedział, że urwie nam głowy, jeśli ci na to pozwolimy. Masz po prostu spokojnie leżeć i odpoczywać.

— Phi! — powiedziała Carmencita. — Parę słów nic mu nie zrobi. A potem zje swoją zupę.

— Zupę? — powtórzył Ross. A skąd u diabła wzięłyście zupę? Z czego ją robicie i w czym gotujecie?

— Luke wrócił do Sekretnej Doliny, by się rozejrzeć i znalazł parę patelni i innych rzeczy, których nie udało im się spalić — wyjaśniła Carmencita. — A Grove pojechał wczoraj na polowanie i ustrzelił stuletniego jelenia, który był twardy jak zelówa, ale nadawał się na zupę dla ciebie.

Buttercup, ujrzawszy, co się dzieje, podszedł na bosaka i uśmiechnął się do Rossa.

— Dobry chłopak, Bossee. Ja przez cały czas myśleć, że umrzesz bardzo szybko; ty nie umrzeć, może więc nie umrzeć długo. Ty być bardzo twardy, jak mięso jelenia. Chodź po nie, Bosse.

— Ćśś, Wong! Nie mów do niego tyle i nie tak głośno — powiedziała Carmencita. — Luke Oliver mówił, że musi mieć jak najwięcej spokoju.

Ross nie był pewien, czy Rose-alba prychnęła na to, ale tak mu się wydawało.

— Luke wie, o czym mówi — powiedziała. — Myślę, Ross, że dopóki nie zjesz zupy, powinnyśmy zostawić cię w spokoju.

— To było nawet miłe — powiedział, — obudzić się i zobaczyć, jak nad głową przelatuje mi packa na muchy.

Rose natychmiast wstała i oddaliła się, idąc z Buttercupem do jego zaimprowizowanej kuchni. Carmencita uśmiechnęła się mądrze, usadowiła się wygodnie na swoim miejscu i ponownie zaczęła delikatne oganiać go końcem gałęzi sosny.

Przez jakiś czas dni i noce upływały w dziwnej, spokojnej monotonii, może nie nieprzyjemnej, lecz także nie całkiem ziemskiej czy rzeczywistej. Dla Rossa Haverila, zawieszonego między snem a jawą, te spokojne, drżące poranki, upalne południa i zmierzchy były jakby innymi dniami, płynącymi wstecz pod prąd czasu; te długie godziny zlewały się w jedną całość i jak gdyby pochodziły ze świata snu, na wpół zapomnianych wspomnień. Nad miejscem, w którym leżał, wznieśli szkielet z żerdzi,

zwieńczyli go dachem z zielonego listowia, roślin z potoku, chłodnych wierzb i żywych zielonych płaskich liści gigantycznych paproci; w ten sposób co gorętsze promienie wysoko wiszącego słońca zostały odcięte lecz wciąż o północy migotały gwiazdy. A ponieważ był krzepki jak młody lew, a jego krew była czysta i mocna, rany Rossa goiły się i siły mu szybko wracały.

Luke po powrocie podszedł do niego, przykucnął na piętach, obejrzał go i uśmiechnął się.

— Niektóre diabelstwa trudno zabić — stwierdził. — Dotyczy to kotów, skunksów, węży i Haverilów. Zacząłem mieć nadzieję na lepszy skutek, kiedy zobaczyłem, jak dobrą robotę wykonał w twoim przypadku Tom Storm, ale chyba będę musiał się poddać i mieć cię jeszcze na głowie przez parę lat.

— Chciałbym żeby to się już skończyło, Luke.

— Co?! Leżąc tu plackiem jak jakiś Turek, z dwiema najsympatyczniejszymi pielęgniarkami czekającymi na niego, człowiek robi się niespokojny!

— Opowiedz mi o wszystkim, stary. W całym obozie zawiązał się spisek, który ma na celu wsadzenie mi do gęby kłębu szmat, gdy tylko próbuję otworzyć usta, aby zadać jakieś pytanie. Mów, co się dzieje.

— No cóż — odparł Luke — nie ma zbyt wiele nowego, Ross. Pojeździłem trochę po okolicy, zapuściłem się do Sekretnej Doliny i zataczając szerokie koło, pogadałem sobie z jednym lub dwoma gośćmi. Musimy zbudować nową stodołę, nowy dom i nowy corral, ale…

— A Valdez? Nie żyje, prawda?

— Tak. Storm zajął się nim lepiej niż tobą. Umarł, jest zakopany pod ziemią i szybko zostanie zapomniany.

— A co ze Stormem? Wciąż żyje, Luke?

— I to mniej więcej wszystko, Bogu dzięki. Zrobiłeś w nim niezłą dziurę, mały, tylko powinieneś był lepiej celować i przesunąć strzał o kilka centymetrów. Mimo to wielu ludzi ma nadzieję, że jeszcze uda mu się szczęśliwie pożegnać ten świat.

— Co dalej?

— No cóż, zobaczmy. Bull Strake wyszedł z tego cało, ale ten jego fagas, Go-down, dostał za swoje i już go nie ma. Dwóch Indiańców od Valdeza nosiło nasze ślady, ale to wszystko.

— Nic więc nie stoi na przeszkodzie by Carmencita wróciła teraz do domu, prawda?

Luke przekrzywił brwi.

— Na pewno, nie stoi? — zaczął się dopytywać.

— Skoro Storm leży martwym bykiem, czy to tymczasowo, czy na dobre, a Valdez nie żyje, to co miałoby ją powstrzymywać?

— Jeśli o mnie chodzi, to skąd miałbym to wiedzieć? — odparł Luke.

— I Rose Devlin również. Powiedziała, że nigdy nie wróci do Górskiego Domu, lecz to jedyny dom, jaki ma lub kiedykolwiek miała. A z czasem pogodzi się z odejściem Black Jacka, tak jak każdy musi pogodzić się ze wszystkimi, swoimi bolączkami, i przestanie opłakiwać starego Hannigana, zaś droga powrotna powinna być teraz otwarta także i dla niej.

Luke powiedział, skubiąc źdźbło trawy:
— Brzmi rozsądnie.
— Ostatnie dni i noce były ciężkie dla tej pary dzieciaków — kontynuował Ross. — Były dla mnie bardzo dobre, para aniołów…
— Anioły, już to widzę! — prychnął Luke i odrzucił trawę. — Ale masz rację, mówiąc, że były dla ciebie dobre. Mam zabawne przeczucie, szanowny panie Haveril, że gdyby nie one, byłby już pan martwym Haverilem.
Grove Jordan pojawił się koło nich, stanął nad Rossem i przypalił papierosa. Ross zapalił także jednego dla siebie, a następnie naszkicował plany, które chodziły mu po głowie.
— Grove, wrócimy szybko do doliny. Czeka na ciebie praca, na tak długo, na ile zechcesz. Co powiesz na to, by od teraz nazywać Sekretną Dolinę swoim domem?
— Pasuje mi — mruknął Grove, równie kwaśno jak zawsze.
— A więc, od jutra rana przechodzisz na moją listę płac. Wsiadaj na pony i jedź najpierw do Liberty. Luke opowie ci o szczegółach; masz wynająć ludzi i zamówić materiały, tak jak to zrobiliśmy niedawno, do odbudowy. Potem masz też zebrać kilku najemnych pracowników; o tym również porozmawiaj z Lukiem. Lada dzień sprowadzimy z Big Buffalo stado bydła i będziemy potrzebować kowbojów. A kiedy będziemy ich wybierać, wybierzemy takich, którym nie przeszkadza zapach dymu prochowego. A więc jeśli Tom Storm wyzdrowieje i spróbuje jeszcze raz…
— Jasne — warknął Grove. — I mam nadzieję, że następnym razem, gdy Bull znów się pojawi, będziemy mieli jasną księżycową noc.
— Kup też w Liberty kilka namiotów. Będziemy mieszkać w namiotach, dopóki nie postawimy jakichś budynków. Kiedy ty pojedziesz, Luke poszuka i zorganizuje wóz i przekradnie się z nim tutaj, a my zwiniemy obóz i wrócimy do domu.
Luke poparł go z humorem we wszystkich kwestiach, Wziął Grove'a na bok i poinstruował go w swojej części - i jedno opóźnienie zaczęło następować po drugim, ponieważ Ross wciąż nie był w stanie aby go ruszyć. Leżał więc tam przez kolejne dni i noce, starając się jak najlepiej wykorzystać sytuację i spędzając wiele spokojnych godzin na obserwowaniu Chińczyka Buttercupa.
Buttercup bawił się świetnie. Swoim rzeźnickim nożem ciął wierzbowe witki nad potokiem i robił z nich różne rzeczy. Splatał giętkie, cienkie wikliny i robił z nich tace oraz półmiski; zrobił sobie nawet kapelusz i nosił go z przyjemnością.
Łowił pstrągi, nikt nie wiedział jak; być może rękoma w płytkich rozlewiskach, ponieważ był podobny do kota w trzech kwestiach, miłości do ryb, cierpliwości i szybkości. W głębokiej, wilgotnej trawie węszył i szukał różnych ziół i korzeni; wąchał je, smakował i używał do gotowania. Brał swoją tacę i rozkładał na niej duże zielone liście, a następnie podawał ją Bossee z brązowym pstrągiem i kawałkiem dziczyzny, po czym odsuwał się rozpromieniony.
— Ten cholerny żółtek i te dwie dziewczyny — oznajmił żałośnie Luke, — oni pozbawią małego Haverila całej męskości.

W czasie wielu długich, spokojnych godzin Ross leżał odprężony, wpatrując się w pas nieba między krawędzią skał otaczających jego miejsce schronienia a wierzchołkami sosen, lecz wyrywał się z tego stanu i robił się dosyć czujny na pierwszy odgłos kroków. Czasami rozmawiał z Carmencitą, siedząc na kłodzie, która została umieszczona w pobliżu jego łóżka, aby służyć mu jako ławka; czasami z Rose-albą. Rzadko z obiema razem. A o wczesnym zmroku, gdy ich ognisko płonęło w wygodnej odległości od miejsca, w którym leżał, a wszyscy gromadzili się wokół niego, aby rozmawiać, słuchać lub po prostu siedzieć i patrzeć na strzelające płomienie albo ostatnie gasnące węgle na dobranoc, spoglądał na nich w nowy, ciekawy sposób, który się w nim wykształcił.

— Małemu coś przyszło do głowy — powiedział Luke.

On i Grove wyruszali na różne wyprawy, nie podejmując już żadnych środków ostrożności, aby ich kryjówka nie została odkryta. W ten sposób wieści o ich przygodach i obecnym położeniu, przedostały się przez górskie przełęcze i dotarły do uszu starego Romero, wiernego strażnika Carmencity w Rajskiej Dolinie. Tak szybko, jak tylko mógł go przynieść szybki koń – a osiodłał najlepszego na rancho, na którym nie jeździł nigdy nikt poza Valdezem - przybył, by upewnić się na własne oczy, że jego Mała Señorita, Uwielbiana Panienka, naprawdę żyje i ma się dobrze.

Kiedy zobaczyła jego pomarszczoną, starą twarz, podbiegła do niego z radosnym okrzykiem i ku zdumieniu ich obojga, w ciągu sekundy znalazła się w żylastych ramionach starego Romero. Łzy już spływały mu po nosie.

Opowiedział jej, jak wygląda sytuacja w domu: *Seguro*, jej wujek, dobry człowiek, odszedł do nieba, a jego ciało zostało pogrzebane. Jego miejsce zajęła ciotka. Ciotka oznajmiła wszystkim: „No cóż, Valdez nie żyje i nikt z was go nie żałuje, bez względu na to, jak bardzo to udajecie. A moja siostrzenica uciekła i nigdy nie wróci; może ona też nie żyje, skoro zginęło tylu ludzi. Więc teraz to ja jestem tu panią. I zrobicie, co wam każę, i to szybko, albo was stąd odeślę, a może każę was też wsadzić do więzienia".

To rozzłościło Carmencitę, że aż tupnęła nogą. Potem roześmiała się i powiedziała:

— Nie mów jej o mnie, Romero. Kiedy wrócę do domu, a stanie się to jak tylko pan Haveril wyzdrowieje, porozmawiam sobie z kochaną ciocią. A teraz, Romero, wracaj, idź do Liberty i kup sobie jakieś ładne nowe ubrania, wspaniałe! I będziesz moim mayordomo!

Tego popołudnia śpiewała na cały głos i wpinała we włosy dzikie kwiaty. Wystosowała zaproszenie, które zostało natychmiast przyjęte: Ross Haveril, gdy tylko stanie na nogi i znów będzie mógł jeździć konno, przyjedzie odwiedzić ją w jej własnym domu.

— Zawsze biegałam jak jakaś dzikuska, żeby się z tobą zobaczyć — stwierdziła ze śmiechem. — Tym razem zobaczysz, jaką potrafię być miłą damą!

Następnego ranka, gdy Buttercap bił żelazną łyżką w patelnię, by wezwać wszystkich na śniadanie, i wszyscy zebrali się przy palenisku, zauważyli brak Rose-alby. Zostawiła liścik w opasce kapelusza Luke'a Olivera. Córka Black Jacka Devlina wróciła do Górskiego Domu.

Dzień później zwinęli obóz. Po Rossa przyjechał wóz i zaczął się nowy porządek rzeczy.

## Rozdział XX

— Cześć, Luke!

Luke Oliver wpatrywał się w swego rozmówcę, wlepiając w niego wzrok z całą intensywnością. Co prawda słońce świeciło mu w oczy, ale to nie była nawet połowa powodu, dla którego to robił.

— No cóż, niech będę Tym i Tamtym, szopem z okrągłym ogonem! — oznajmił Luke. — Podszedł bliżej, wciąż wyglądając na zaskoczonego. — Myślałem, że jesteś gdzieś w Starym Meksyku; napisałem do ciebie wczoraj list. Czy to ma znaczyć, że to może nie jesteś ty, co, szefie? Mój błąd. Zapal sobie, Nieznajomy i usiądź.

Ross zagłuszył go swym dudniącym śmiechem, po czym zeskoczył na ziemię i zdzielił Luke'a Olivera tak, jak zrobiłby to szczeniak nowofundlanda.

— Odsuń się i pozwól mi nasycić oczy tobą, w całej okazałości — powiedział Luke, wciąż tak trzeźwo patrzący na świat, jak skład sędziowski na sali sądowej.

Oto, po sześciu tygodniach nieobecności, Ross Haveril powrócił do Sekretnej Doliny, szczupły i opalony, i znów wyglądał na twardego jak stal - ale to nie była jeszcze nawet połowa sukcesu. Luke spoglądał na nowiutkiego Stetsona Rossa i zazdrościł mu go, podobnie jak nowiutkich, wytłaczanych butów na wysokich obcasach. Jednak nawet te akcesoria stanowiły ciągle tylko ułamek całości. Bo kiedy Młody Haveril zeskoczył na ziemię koło swego starego przyjaciela, nie zrobił tego z wierzchowca, lecz z siedzenia nowiutkiego powoziku! Konie były jak malowane, śliczne, idealnie dopasowane, jedwabiste, kremowo umaszczone klacze o czarnych grzywach, z wysoko uniesionymi głowami. Najwspanialsze zwierzęta jakie kiedykolwiek ciągnęły męski powóz czy też dziewczęcą bryczkę, na niedzielne przejażdżki. Miały na sobie nawet okrycia, których aż nie chciało się używać, aby ich nie pobrudzić; bat w swoim gnieździe błyszczał czerwoną rękojeścią i fioletowym biczem. Zaś koła powozu, również były w kolorze kremowym, z czerwonymi liniami wzdłuż szprych…

— Łał! — stwierdził Luke i zapytał: — A gdzie są kucyki szetlandzkie?

Szczerząc się do niego, Ross zapytał:

— O czym ty mówisz?

— Tak ogólnie rzecz biorąc, zauważyłem — powiedział mu łagodnie Luke, — że mniej więcej rok po wspaniałym powoziku pojawia się kołyska, a potem szetlandy i…

— Zawołaj, żeby ktoś odebrał ode mnie zaprzęg, to pogadamy — przerwał mu Ross.

Tak więc Luke zawołał, i ze stodoły wychylił głowę chłopiec - zupełnie nowy chłopiec i z zupełnie nowej stodoły – po czym podbiegł do nich w pośpiechu. Luke i Ross przez chwilę milczeli, podczas gdy Ross przyglądał się gospodarstwu i kiwał z zadowoleniem głową.

— W zasadzie, to dobrze, że nas spalili, co Luke? Robiliśmy się przestarzali. Spójrz na nas teraz! Będziemy musieli wezwać fotografa z Liberty, żeby zrobił nam parę zdjęć. Założę się, że nikt jeszcze nie widział domu na ranczu, który by dorównywał naszemu, ani stodoły, czy też... — Klepnął Luke'a w plecy tak, że tamtemu spadł kapelusz i ugięły się pod nim kolana. — Możesz być pewien, że jesteśmy z ciebie dumni, compañero.

— Na pewno wydałem cholernie dużo pieniędzy — odparł Luke, gdy pozbierał się i ponownie stanął na nogi. — Mam nadzieję, że nie wróciłeś z dziurami w kieszeniach.

Ross wyciągnął gruby portfel i rozłożył go przed oczami swojego zarządcy i partnera.

— Sprzedałem wszystko, co posiadałem na południe od Sekretnej Doliny. Pieniądze są w banku, a ty i ja nieźle na tym wychodzimy. Będziemy się tutaj rozrastać i wykupimy każdy akr ziemi położonej w zasięgu wzroku, jaki zdołamy wykorzystać; będziemy mieć firmę, która przyćmi wszystkie pozostałe firmy w dziewiętnastu okolicznych hrabstwach. Będziemy rosnąć jak zielone drzewo laurowe.

— A ty nadal będziesz biegał po okolicy z taką stertą pieniędzy na biodrze, dopóki wszyscy ludzie oraz ich psy, nie dowiedzą się, że je masz - i pewnej ciemnej nocy twój stary przyjaciel Bull Strake albo ktoś jemu podobny, nie natknie się na ciebie, a ja zostanę właścicielem tego bajkowego sezamu, o którym tak miło i elokwentnie opowiadałeś.

— Znowu się mylisz, Luke. — Ross schował portfel do kieszeni i zapalił papierosa. — To tylko trochę pieniędzy na drobne wydatki, które wkrótce wykorzystam. A teraz – opowiadaj mi.

Poszli więc i usiedli na werandzie, podczas gdy oczy Rossa wędrowały daleko i szeroko, nie omijając niczego, czy to niedawno wzniesionego corralu, ogrodzenia czy budynku gospodarczego. Luke mu opowiadał.

— Cóż, Tom Storm nie chciał umrzeć. Ludzie mówili, że jest skłonny do irytacji i trudno się z nim dogadać. On również wyjechał aż do Denver, aby poddać się leczeniu i dopiero niedawno wrócił. Ludzie mówią, że wpadł aby zobaczyć się z królową Carmencitą i zatrzaśnięto mu drzwi przed nosem — zachichotał Luke.

— Królową?

— Tak właśnie powiedziałem. Wygląda też, że Storm pojawił się w Górskim Domu i spotkał się tam z podobnym przyjęciem. Nie podejrzewam, żeby gdziekolwiek był jakoś specjalnie mile widziany. Trzymaj oczy szeroko otwarte, mały.

Dalej, był z kolei Bull Strake. Nie pokazywał się zbyt często od czasu, gdy Ross wybrał się w podróż na południe, aby zebrać fundusze i podreperować siły. Ale nie dalej jak wczoraj jeden z nowych ludzi przyniósł wiadomość, że Bull znów kręci się po Zagubionej Dolinie.

— A co z Grovem? Zrobił to, co mu kazałem?

— W zeszłym tygodniu dostałem od Grove'a kartkę pocztową; od tamtej pory większość czasu zajęły mi próby domyślenia się, co on w niej chciał napisać. Tak, zrobił, co powiedziałeś. Pojechał do San Francisco po jedną z tych mechanicznych nóg, o których mówiłeś; pisze, że działa dobrze i że mógłby na niej nawet tańczyć, gdyby tylko umiał to robić. Wróci lada dzień.

— Czy powiedziałeś „królowa” — przypomniał mu Ross.

— Posłuchaj! Ta dziewczyna miała przez całe życie pod górę. Valdez trzymał ją w zamknięciu, pomiatał nią i okradał ją z tego, co nazywa się dziedzictwem i tak dalej. Nic więc dziwnego, że ostatnimi czasy nie robi nic innego, jak tylko pławi się w szczęściu. Najpierw znalazła plik pieniędzy ukryty w szufladzie, gdzie schował je stary Valdez; wygląda na to, że wystraszył się aż tak bardzo, że próbował uciec w jakieś inne miejsce i wypełniał swoje torby podróżne, czym tylko się dało. Więc chwyciła to jak pies gończy, który wbił zęby w kawał tłuszczu.

— Ale to dobrze dla Carmencity! To i tak należało do niej.

— Jasne. I dalej - wiesz, że to sprytna mała diablica, Ross? Trochę pomyślała i pokombinowała, a potem wybrała się do miasta i pogawędziła z prawnikiem. Powiedziała sobie, że jeśli Valdez narobił tyle nieuczciwych knowań, ile się dowiedziała, to musiał narobić o wiele więcej innych, o których ona nie ma pojęcia. Zawsze uważała, że to dziwne, że Rajska Dolina została zapisana jemu, a nie jej, i mówiła sobie: „Założę się, że ją ukradł i że była moja!”. I to właśnie odkrył jej prawnik; stary łajdak już od początku narobił jakichś fałszerstw, albo wynajął jakiegoś fałszerza. I tak mała Carmencita zdobyła dolinę we własnym imieniu.

— Posłuchaj, Luke…

— Zamknij się. Posłuchaj najbardziej zabawnej części tego wszystkiego. Valdez zastawił Rajską Dolinę na rzecz Toma Storma, który dał mu pieniądze, a teraz wykombinowali, że skoro Valdez nigdy nie był właścicielem tej posiadłości, to ten dług hipoteczny wart jest nie więcej niż ten niedopałek papierosa, który właśnie wyrzuciłeś na ziemię, a Storm po prostu stracił swoje pieniądze!

Luke musiał zrobić chwilę przerwy, by roześmiać się cicho i rozkoszować się swoim śmiechem.

— Czy muszę teraz opowiadać ci o tej sprawie z królową? Nie sądzę! Pamiętasz, jak dzień przed zwinięciem obozu stary Romero przyszedł zobaczyć się z señoritą, a ona powiedziała, że zrobi go swoim mayordomo? Cóż, powinieneś pojechać tam i go sobie obejrzeć: błękitny mundur ze złotymi guzikami, niebieski kapelusz otoczony złotym warkoczem, peleryna jak u generała brygady podszyta najczerwieńszą czerwienią, jaką kiedykolwiek widziałeś, wyczyszczone buty i ogolony każdego dnia! Szczerze mówiąc, Ross, ten stary osioł puchnie tak, że przysięgam, iż pewnego dnia pęknie. No cóż, to daje ci chyba jakieś pojęcie. Tak jest na całym ranczu. A czy mała panna Carmencita nie robi z siebie lalki? Powinnaś ją zobaczyć; zawsze była ładna, nieprawdaż? A teraz, w domu i poza nim, paradując we wnętrzach lub jadąc konno, jest wręcz powalająca. A wszyscy ludzie, którzy dla niej pracują i nienawidzili Valdeza jak trucizny, są na jej punkcie kompletnie zwariowani. Gdyby

kazała, żeby komuś ściąć głowę, i Romero byłby tego samego zdania, to złapaliby tego człowieka i zawlekli na szafot. Zaczyna przyciągać do siebie nowych przyjaciół, młodych ludzi, z którymi się poznała, kiedy jeździła i gadała ze swoim prawnikiem. Organizują przyjęcia, które sprawiają, że gwiazdy tańczą na niebie, i wszyscy nazywają ją *La Reinita*.

— Mała Królowa — roześmiał się Ross. — Tak, wpadnę do niej i ją zobaczę. — Spoważniał. — Ona i dziewczyna Black Jacka Devlina zrobiły dla mnie wtedy bardzo wiele, Luke. Opowiedz mi o Rose-albie.

— Wróciła prosto do Górskiego Domu i pozostaje tam od tamtej pory, prowadząc to miejsce tak samo jak jej ojciec. Gdy on i stary Hannigan zginęli, Doc i Jimmy Weaver w pewnym sensie weszli w ich buty, stając się dla niej ojcem i matką. Nie wiem, jak sobie radzi; zarabia i traci, jak myślę. Jakiś facet mówił mi, że chce zrobić porządek i skończyć z tym przekrętem. — Wzruszył ramionami. — Nie do zrobienia, jak przypuszczam. Jednego dnia spłukana, następnego bogata, ale, jak się domyślam, głównie bogata.

Ross wstał.

— Wejdźmy do środka i obejrzyjmy dom. I chcę się przywitać z Buttercupem.

— Wieści się rozchodzą — powiedział Luke, gdy wchodzili, — i ludzie przybywali z daleka, żeby zobaczyć twoją łazienkę - a gdy odkryli, że w jednym domu są dwie łazienki, zaczęli kłócić się o to, czy jesteśmy kompletnie szaleni, czy też może myślimy o założeniu hotelu. — Podrapał się po głowie. — Ja też czasami się nad tym zastanawiałem.

Tego wieczora wrócił Grove Jordan. Po raz pierwszy zauważyli jego przybycie, gdy zobaczyli, jak idzie do domu ze stodoły, krocząc z ledwie widocznymi oznakami niepewności nogi. Na pierwszy rzut oka był tym samym Grove Jordanem, jakim był przez cały czas, opryskliwym, małomównym i pozbawionym radości. Lecz gdy zaczęli rozmawiać, zapomniał się i uśmiechnął się parę razy, a oni przyłapali go na pełnych zadowolenia spojrzeniach w dół, na swoją nową nogę. Zaś na koniec, gdy wstał, by odejść, oznajmił - starając się przybrać bardziej ponury ton niż kiedykolwiek wcześniej:

— Dzięki, Ross. Może gdy przyzwyczaję się do tej cholernej głupiej nogi, będę mógł przy jej pomocy coś robić.

Późnym popołudniem, gdy wonny zmrok skradał się już z głębin sosnowego lasu, w godzinie przesiąkniętej ospałością zmierzającego ku zachodowi słońca, dziwnie zabarwionej nutą zniecierpliwienia, Luke Oliver i Grove Jordan stali koło stodoły i obserwowali odjeżdżającego Rossa. Nieskazitelnie wyglądające konie, świeżo wyczesane i wyszczotkowane, puszczały zajączki słońca odbitego na ich lśniących skórach, a koła powozu błyszczały, gdy obracające się szprychy tworzyły lśniącą rozmytą plamę w ich małych kręgach. Wzdłuż całej doliny słychać było nawoływania małych gołębic, na wzgórzach gwizdały górskie przepiórki, maszerując do wody, a duże, czubate błękitne sójki błyszczały na tle tak

samo niebieskiego nieba - zaś Luke i Grove oparli się o ogrodzenie corralu i zaczęli się zastanawiać.

— Dokąd on idzie, Luke?

— Nie powiedział mi. Ale sposób, w jaki jest ubrany, wręcz zabójczy, to całe wcześniejsze czesanie się i inne rzeczy, sugerują, że za tym wszystkim kryje się dziewczyna.

— Ale która, Luke?

— Trudno powiedzieć. Jadąc powozem tą drogą, musi zjechać w dół Doliny, niezależnie do której by jechał. Gdybyśmy byli za zakrętem, gdzie droga się rozwidla, moglibyśmy stwierdzić, czy zmierza w stronę Rajskiej Doliny czy Górskiego Domu.

— A ty Luke, którą stronę obstawiasz?

— Mógłbym się z tobą założyć o orła czy reszkę, o parzyste czy nieparzyste, o pogodę, o to, w którą stronę skoczy kot, albo o to, ile ziaren fasoli jest w worku — stwierdził Luke. — Wiem tylko, że Ross był jakby niespokojny, przez cały dzień. — Nagle przechylił głowę i rzucił kose spojrzenie w stronę Grove'a. — Tak samo jak i ty — mruknął.

— Ja? — spytał Grove niewinnym tonem.

Zbyt niewinnym, pomyślał sobie Luke i prychnął, mówiąc:

— Jak was złapię, że ty i Ross kombinujecie coś między sobą i mnie w to nie wtajemniczacie — obiecał, — to napluję ci pod oko i utopię cię w łyżce wody.

— Jesteś szalony — burknął Grove.

— Ross to zabawny ptaszek — ciągnął Luke, znów patrząc na lśniący powóz pędzący w dół doliny. — Ma plik pieniędzy w kieszeni; przywiózł je ze sobą z ostatniej podróży do Teksasu i Meksyku. Po co? Żeby je wydać, mówi Ross. A na co, do diabła, można wydawać pieniądze, tutaj?

— Na gorzałę — odparł rozsądnie Grove.

— Parę dolarów, może; jasne. Ale pełny portfel? Następnie zauważyłem, że zadaje mi mnóstwo pytań o to, jak radzi sobie dziewczyna Black Jacka Devlina w Górskim Domu. I przypomniał sobie, że wyłudził od jej starego ponad pięćdziesiąt tysięcy. I raz czy dwa razy wspomniał, jak ona, to znaczy Rose, i dziewczyna Valdezów uratowały mu tyłek, kiedy został postrzelony. Zaś nie dalej jak wczoraj wspomniał trochę niedbałym tonem, że pewnego dnia spróbuje swojego szczęścia tam na górze i może znowu kogoś zabije. Teraz złóż to wszystko razem do kupy, panie Jordan, i co z tego wywnioskujesz?

— Powiedziałbym ci, gdybym wiedział — zapewnił Grove, po tym, jak wykonał swoją minę, ze marszczeniem brwi, obserwując, tak samo jak robił to Luke, jak powóz maleje w dole doliny. — No i co?

— Nie wiem, czy jedzie tam teraz, czy wybierze się innym razem — powiedział mu Luke. — Ale wiem, że kiedyś wpadnie do Rose Devlin i przegra do niej plik pieniędzy - i wróci do domu uśmiechnięty. Wie, że gdyby zaoferował jej zwrot tej kwoty, dałaby mu po gębie. I dobrze wie, że jeśli będzie grał wystarczająco długo, przegra. I to jest coś, o co mógłbym się założyć, panie Jordan.

Przez chwilę milczeli i w ciszy obserwowali bryczkę znikającą z pola widzenia za zakrętem, gdzie schodziły niższe wzgórza.

— Ja, gdybym był nim, wiedziałbym, którą drogą pojechać — stwierdził Grove.

— Ja też — powiedział Luke.

Ross Haveril podjechał pod bramę Hacienda Valdez. Była to nowa, solidna brama, zamknięta na mocną kłódkę. Na ławce pod małym zielonym dachem siedział mężczyzna z karabinem przewieszonym przez ramię. Ross uśmiechnął się ze zrozumieniem, widząc człowieka królowej Carmencity. Strażnik, młody Indianin, ubrany był w tego rodzaju strój, jaki młodzi meksykańscy vaqueros zakładają u swoich ważnych osób, w galowe dni; srebrne conchas, szarfy, marynarkę i wszystko inne.

Strażnik nachylił się do przodu, a jego błyszczące oczy spoglądały spod szerokiego ronda kapelusza. Najpierw upewnił się, że to nie Tom Storm, który przybył w przebraniu; następnie rozpoznał Rossa, którego gdzieś widział; a na koniec szeroko otworzył bramę, machając sombrero i mówiąc, świecąc białymi zębami w uśmiechu:

— Entra, Señor!

Ozdobnie ubrany i wyniosły Romero otworzył mu drzwi. Wprowadzono go do dużego, ciemnego pokoju, nieoświetlonego, chociaż zauważył, że w innych częściach domu palą się już światła. I dobiegła go fala głosów, młodych głosów brzmiących tak, jak powinny brzmieć młode głosy - bardzo wesoło. Romero zapalił świece i odszedł.

Potem zaś pojawiła się Carmencita. Jeśli jest coś piękniejszego niż śliczna dziewczyna latem - w lekkiej letniej sukience, takiej jaką miała na sobie Carmencita, puszystej i niebieskiej, z błękitnymi wstążkami i małymi, wysokimi, niebieskimi, jedwabnymi pantofelkami, które mężczyzna mógłby trzymać w dłoni i podziwiać — Ross Haveril nie potrafił sobie przypomnieć, co by to mogło być.

Przez chwilę stała w progu i po prostu na niego patrzyła, a jedną rękę przycisnęła do serca, jakby biegła. Jej oczy w cieniu włosów, miękkie i płynnie jasne, i jej ciepłe czerwone usta, zawsze tak ruchliwe, tak gotowe, by zadrżeć, przekazały mu swoje pierwsze powitanie, zanim wypowiedziała choćby słowo. Potem zbliżyła się do niego niemal biegnąc i wyciągnęła oba ramiona, by zatonąć w jego uścisku, zaś uśmiech, który tak dobrze pamiętał, ukształtował jej usta i wywołał błysk małych, białych ząbków. Carmencita powiedziała niskim i chrapliwym tonem:

— Och, Ross!… Och, Ross! Tak miło cię widzieć!

Pocałował ją wtedy, kiedy ją po raz pierwszy zobaczył. Pocałował ją ponownie tej nocy, kiedy Sekretna Dolina została zaatakowana. Był bardzo, bardzo blisko pocałowania jej po raz trzeci, kiedy trzymała swe tak ciepłe rączki, w jego dłoniach. Lecz nagle, niczym wiele rzeczy wystrzelonych z działa, gromada młodych ludzi wpadła na nich. Goście domu Carmencity, wzywali ją, wołając:

— *Reinita! Reinita*, szukamy cię.

— *Reinita*! Mała Królowa! No cóż, czemu by nie?

Nastąpiły prezentacje; Ross zachował później mgliste wspomnienie kilku ładnie wyglądających dziewcząt i chłopców; wśród nich był syn lub

córka prawnika Carmencity, bratanek Scotty'ego Maddena, wielkiego górnika, Beldenowie, potomkowie sędziego Beldena z Liberty - i tak dalej. I wszyscy potrzebowali *Reinity* z jakiegoś powodu, ale ona ich odgoniła, śmiejąc się z nich, stając blisko Rossa, wyjaśniając:

— To jest mój sąsiad i przyjaciel, pan Ross Haveril z Sekretnej Doliny, i… wiecie przecież o nim! Muszę z nim porozmawiać przez kilka minut… Och, to jest ważne.

Więc posłała im całusa i zostawiła ich wpatrzonych w Rossa Haverila z Sekretnej Doliny, o którym tyle słyszeli - od Carmencity! - gdy odciągnęła go na patio. Kiedy szli, Ross zobaczył grobowo ponurą postać odzianej na czarno Tii Juany, ciotki i opiekunki Carmencity, spoglądających na nich surowo. Jej, jak i innym, Carmencita posłała bezczelnego całusa.

— A teraz — powiedziała Carmencita, siadając na ławce przy białej ścianie, poprawiając spódnicę, spoczywając wśród jej fałd jak na chmurce, — popatrzymy na księżyc, który za chwilę pojawi się na niebie, a ty mi opowiesz… och, o wszystkim! Jesteś znowu zdrowy i silny, prawda?

Patio wieczorem było dokładnie takim miejscem, jakim powinno być patio w posiadłości zwanej Rajską Doliną, a wkrótce, gdy księżyc Carmencity pojawił się na niebie, było oczywiste, że nigdy nie słyszał tych herezji twierdzących, że jest czymś bezużytecznym i ekstrawaganckim, bardziej nawet niż malowanie lilii i ozdabianie róż. Kontynuował więc swoje zajęcie, polegające na dodawaniu do tego, co już było doskonałe, dalszej doskonałości.

W pewnej chwili, w trakcie rozmowy, poruszając temat Toma Storma, odnośnie którego Carmencita wydała rozkaz nieustannej czujności ze strony swoich ludzi, powiedziała:

— Mam teraz prawnika - jestem kobietą interesu! - i opowiedziałam mu wszystko, co usłyszałam tamtej nocy pod oknem Toma Storma, jak zabijał ludzi, a w każdym razie dwóch z nich! I powiedziałam, że muszą go wsadzić do więzienia, na całe życie. Ale mój prawnik, jak mówi, nie da się tego zrobić. Mówi, że nie ma takiej możliwości, ponieważ Señor Valdez nie żyje i nikt nie mógłby niczego udowodnić, a pan Storm znowu wyjdzie z tego bez szwanku i będzie się ze mnie śmiał, i po prostu będzie mnie jeszcze bardziej nienawidził. Czasami… — ramionami drgnęły jej, jakby w dreszczu. — Czasami znowu się go boję, nawet teraz gdy moi ludzie przez cały czas czuwają.

Lekko dotykając spraw z przeszłości, teraźniejszości i przyszłości, powiedzieli sobie niemal wszystko pod księżycem i gwiazdami, zanim wspomniano o Rose-albie. Carmencita powiedziała w końcu bardzo wyszukanym tonem:

— Och, ta dziewczyna z Górskiego Domu, Rosie Devlin. Nie widziałem jej - a ty?

Widziała, jak za dawnych czasów, światło słoneczne migoczące w oknach wysoko położonego domu; nawet teraz, jeśli ktoś wiedział, gdzie patrzeć, widać było światła błyszczące jak nisko położone na niebie gwiazdy - były to lampy świecące w oknach Górskiego Domu. Ale nie pokazała mu ich, a Ross ich nie zauważył.

Odpowiadając na jej pytanie, powiedział:

— Nie, jeszcze jej nie widziałem. — Carmencita uśmiechnęła się do niego. Lecz po chwili dodał: — Jadę tam teraz. Mówiono mi, że ona prowadzi salon gier, tak jak kiedyś Devlin. Spróbuję szczęścia jeszcze raz.

— Och — powiedziała Carmencita i zapadła chwila ciszy. Potem cicho się zaśmiała. — Byłam tam kiedyś, pamiętasz? To był pierwszy raz, kiedy cię widziałam! Przebrałam się za meksykańskiego chłopca i kazałam biednemu staremu Romero zabrać mnie i…

Zerwała się na nogi i stanęła, dziwnie na niego patrząc. Wtedy jej oczy, jasne i miękkie w łagodnym świetle księżyca, zaczęły migotać, zaklaskała w dłonie z ożywieniem i wykrzyknęła:

— Och, ale przecież my wszyscy możemy tam pojechać! Vamos a ver! Będzie zabawnie! Widzisz, moi przyjaciele wyjeżdżają, niektórzy jutro, pozostali następnego dnia, i pytali: Co będziemy robić dziś wieczorem! Dlatego właśnie wołali „Reinita, Reinita". Wszyscy pojedziemy do Górskiego Domu, będziemy grać i świetnie się bawić!

Dlaczego nie? Ross opowiedział jej o swoim nowym zaprzęgu i powozie. Chciał, żeby go zobaczyła.

— Pojedziesz ze mną, co, Carmencita? Inni mogą jechać z nami konno.

— Ale powozem? Czy w ogóle uda ci się tam wjechać?

— Starą drogą, przy starym domu Balbriggana. Jest dłuższa i dosyć zniszczona, ale damy radę tam dojechać. Jeśli tylko powiesz słowo

— Z najwyższą chęcią! — oznajmiła Carmencita.

Wszyscy jej goście byli odpowiednio zachwyceni, z wyjątkiem jednego ponurego młodzieńca.

— Ona będzie jechać bryczką w blasku księżyca - a reszta jak zwykle na koniu — stwierdził z niesmakiem.

Więc mała królowa Rajskiej Doliny postawiła we wszystkim na swoim - jednak Ross zwrócił szczególną uwagę na jednego z jej gości - był to przystojny, młody Steve Belden - który wyglądał jednocześnie na gniewnego i pełnego uwielbienia; który nie lubił być w ten sposób odprawiany i który nie miał zamiaru usuwać się na bok dla żadnego rywala. Ross dostrzegł również, jak Carmencita, kokietując, błyskała swymi wielkimi oczami na tego żarliwego wielbiciela.

— Wygląda to na małą love story — pomyślał Ross.

Lecz Carmencita płynęła u jego boku, wychodząc z oświetlonego księżycem patio.

## Rozdział XXI

**C**zy jest coś piękniejszego niż urocza dziewczyna w księżycową, letnią noc…

No cóż - dwie urocze dziewczyny!

Rose-alba promieniała. Była w doskonałym nastroju, jej oczy rozjarzone były wewnętrznym światłem. Jimmy Weaver siedział przy fortepianie; noc i księżyc też wzięły go w swe posiadanie; spoglądał tęsknym spojrzeniem w otwarte okno i szeroki, piękny świat rozpościerający się w dole i widoczny w oddali, z tego wysokiego miejsca, zaś jego muzyka mówiła o rzeczach, których nie potrafił wyrazić w żaden inny sposób. Swą muzyką sprawiał, że twardzi mężczyźni stawali się miękcy jak wosk, sam zaś wprawiał się w nastrój po części diabelski, po części anielski. Rose-alba pulsowała w rytm jego gry, a na zewnątrz właśnie usłyszała męski śmiech!

Wiedziała już, że Ross wrócił do domu i że wybrał się na przejażdżkę bryczką.

Niepokój Grove'a Jordana, który Luke zauważył w ciągu dnia, w końcu wsadził go z powrotem na siodło, a Luke Oliver spytał:

— Co cię gryzie, Grove? Dokąd, u licha, jedziesz?

Grove mruknął na swój burkliwy sposób:

— Do Górskiego Domu, a co ci do tego?

Luke pojechał z nim. Pierwszą rzeczą, jaką zrobił Luke, było spytanie Rose-alby, czy widziała Rossa. Więc wiedziała - a Luke także miał odpowiedź na swoje pytanie: To do Carmencity, Ross udał się w całej swej okazałości.

Lecz teraz zarówno on, jak i Rose-alba usłyszeli na dworze śmiech Rossa.

Dziewczyna stanęła w drzwiach, by go powitać.

— Ross! Dobrze cię widzieć, po tak długim czasie. Ojejku, ale znów wspaniale wyglądasz. Zaczęliśmy już się zastanawiać… Och, witaj, Carmencita — powiedziała i nagle coś zniknęło z jej głosu i oczu, a ona zrobiła się po prostu miła, przyjazna i uprzejma.

— Witaj, Rose — odparła uprzejmie Carmencita.

Potem Rose-alba zobaczyła wszystkich pozostałych, gości Carmencity, wkraczających do środka, dziewczęta oglądające ją od stóp do głów ze szczerze rozszerzonymi oczami, mężczyzn tłoczących się, by ją poznać.

Nastąpiło kilka chwil wesołego zamieszania, podczas których ludzie przy barze i ci przy stolikach do gry odłożyli swoje własne sprawy na bok, aby obserwować wirującą inwazję. Po chwili Ross i Rose-alba zostali sami, zaś goście Carmencity, zabierając ją ze sobą, rzucili się jak szarańcza na

stół do ruletki. Śmiech Carmencity, bardzo radosny, powrócił do nich, gdy jako pierwsza z całej grupy, postawiła monetę na liczbę.

Rose-alba uśmiechnęła się do Rossa. Lecz z jej uśmiechu również coś zniknęło.

— Słyszałam, że wróciłeś; Luke i Grove mi mówili. Musiałeś odbyć wspaniałą podróż, znów wyglądasz jak nowonarodzony, taki jak przedtem.

— Tak. I nigdy nie zapomniałam, jak wiele ci zawdzięczam…

— Zwariowałaś! Jesteś po prostu jednym z tych twardych hombres, których trudno zabić. A jeśli coś poza twoją własną wytrzymałością pomogło ci przetrwać, to była to zupa Buttercupa.

Podszedł Luke.

— Cześć, Luke! Co ty tu robisz, nie śpisz o tej porze?

— Cześć, mały. Ja, może też zrobiłem się trochę niespokojny. Najpierw ty, potem Grove; przez cały dzień był jak kot na gorącym piecu. — Rzucił okiem na salę i dodał: — Był tu przed chwilą; jeśli wymknął się do domu beze mnie, uduszę go w jego własnym łóżku. Co tam kombinujesz?

Ross uśmiechnął się do Rose-alby i otrzymał w zamian szeroki uśmiech.

— Pomyślałem, że mógłbym zagrać dziś wieczorem.

— Cokolwiek zechcesz — skinęła mu głową.

— Chciałbym cię poprosić, żebyś znów zakręciła dla mnie ruletką. Pamiętasz?

— Trudno zapomnieć! Pan Haveril, samotny wilk z pampasów, przybył z wyciem i wstrząsnął domem na około pięćdziesiąt tysięcy, prawda? I odjechał z tym! O tak, pamiętam!

Zerknął na stół do ruletki; trudno było go dostrzec, bo przyjaciele Carmencity kłębili się wokół niego, obstawiając swoje niewielkie zakładziki, czyniąc ogromne zamieszanie z powodu wygrania lub przegrania dolara. W tej właśnie chwili Carmencita zawołała wesoło:

— O, patrzcie! Wygrałam jeszcze więcej. Widzicie, mówiłam wam: Mam dziś całe szczęście!

Ross zaproponował Rose-albie:

— A może jakaś inna gra? Coś w stylu nagłej śmierci, wiesz, bez żadnej przedłużającej się agonii?

— Nagła śmierć, panie Haveril? — zaśmiała się do niego i była w każdym calu równie wesoła jak Carmencita.

— Właśnie tak! Coś dla mnie i dla ciebie. A może…

— Kości? — szybko wtrąciła. — Albo… Nagła śmierć, Ross? Rozdzielić talię i wygrywa wyższa karta? Czy to wystarczająco szybkie?

— Zaczynajmy — zgodził się Ross. — Tylko my dwoje. Czekałem na to.

— Ja też! — odparła Rose-alba.

Luke Oliver, tłumiąc szeroki uśmiech, podążył za nimi, gdy dziewczyna poprowadziła ich przez salę do cichego kąta i małego okrągłego stolika.

Rozpakowała nową talię, a Ross położył na stole przed sobą portfel.

— Dzisiaj na ostro? — zapytał.

Przytaknęła promiennie.

— Limitem jest dach tego domu, i może uda nam się go przebić, jeśli się rozhulasz.

Potasowała talię i podała mu ją; potasował ponownie i oddał z powrotem. Przełożyła i zaoferowała mu talię do ponownego przełożenia, jeśli zechce. Pokręcił przecząco głową.

— Może być. Wyższa karta wygrywa, asy są najwyższe. Tysiąc dolarów, panno Devlin?

— Tysiąc — potwierdziła Rose-alba i wyciągnęła kartę.

Wyciągnął swoją i odwrócili je. Wygrał z dziesiątką karo przeciwko szóstce trefl. Ross zachichotał, a Rose-alba nadal się uśmiechała.

— Poproszę jeden tysiąc od pani, panno Devlin — drażnił się z nią.

Pod stołem znajdowała się szuflada; wyciągnęła ją i położyła na stole kilka niebieskich żetonów. Jeden z nich podsunęła mu.

— Te niebieskie są po tysiąc za sztukę — powiedziała. — Spieniężę je za tyle, kiedy tylko powiesz.

— Dobrze. Jedźmy dalej. Jeszcze jeden niebieski.

Rose-alba przetasowała karty i wyciągnęła do niego talię, którą on odsunął. Wylosował waleta, a ona wyciągnęła dwójkę i podała mu drugi niebieski żeton.

— Nieźle panu idzie, panie Haveril — powiedziała tak lekko, jakby te niebieskie żetony były tylko niebieskimi żetonami, tylko tym i niczym więcej. Haveril zmarszczył brwi; nigdy wcześniej nie widział dziewczyny - ani mężczyzny w tak młodym wieku - okazujących taką obojętność. A jednak w głębi duszy musiało jej zależeć.

— Cztery tysiące? — powiedział, obserwując ją.

Wyłożyła cztery żetony, a on je zakrył dłonią - i Rose Devlin wyciągnęła króla przeciwko jego królowej i zgarnęła wygraną.

Każdy stół, przy którym stawki zaczynają szaleć, przyciąga tłumy i nie minęło wiele czasu, zanim półkole gapiów nie dołączyło do Luke'a. Wśród nich było kilku przyjaciół Carmencity i sama Carmencita. Spojrzała na pieniądze na stole, potem na Rossa i Rose-albę i szepnęła coś do Luke'a.

— Co? — spytał Luke. — Słucham?

— Powiedz Rossowi — szepnęła — żeby uważał. Ona chce go oszukać! To widać. Widzę to w jej oczach i sposobie, w jaki się uśmiecha!

Luke roześmiał się do niej i oddalił; z tymi wszystkimi obcymi ludźmi, którzy zaczęli się interesować tą grą, jego własne zainteresowanie, będące zaledwie nikłym przebłyskiem, zniknęło. Wiedział dobrze, jaki będzie wynik; jeśli człowiek postanowił, że przegra, nie będzie miał z tym problemu w żadnej grze. A był ciekawy gdzie podział się Grove. Wyszedł na zewnątrz, by sprawdzić, czy koń Grove'a wciąż stoi uwiązany przy drążku.

Jeśli Ross Haveril chciał przegrać, Rose Devlin chciała wygrać, więc wydawało się nieuniknione, że oboje zrealizują swoje życzenia i wszyscy będą szczęśliwi. Gdyby którekolwiek z nich mogło wyczytać, co siedzi w głowie drugiego... ale nie byli w stanie, więc wszelkie spekulacje były wykluczone. On, niezależnie od tego, czy wygrywał, czy przegrywał, śmiał się, taki był jego sposób bycia, nawet w chwilach, gdy zależało mu na pieniądzach; ona, niezależnie od tego, czy przegrywała, czy wygrywała, nosiła maskę tego swojego wesołego uśmiechu lub spokojnej chłodnej obojętności.

Pozwalała mu wygrywać od czasu do czasu, niektóre zakłady po tysiąc, inne większe, ale nigdy po pierwszych dwóch losowaniach nie pozwoliła, aby jej ostatni niebieski żeton wymknął jej się z rąk. Po trzecim rozdaniu miała dwa tysiące dolarów przewagi i ani razu nie zeszła poniżej tego marginesu bezpieczeństwa.

Wiedziała, w jaki sposób obstawiał swoje zakłady, obserwowała i czekała, i nie musiała długo czekać.

— Podwoimy zakłady? — zasugerował, uśmiechając się do niej po stracie czterech tysięcy.

— W porządku — powiedziała Rose-alba. Miała pod ręką jego osiem tysięcy dolarów. Popchnęła je do przodu. — Może być?

Przez chwilę myślała, że się zawahał; po prostu siedział i patrzył na nią, czekając, aż jej spojrzenie napotka jego. Popatrzył na nią, a ona przechyliła głowę na bok i odwzajemniła uśmiech, będący bardzo spokojnym uśmiechem.

Wyciągnęła kartę i trzymała ją zakrytą, wciąż patrząc na niego i zdając się z niego żartobliwie pokpiwać. Wyciągnął rękę, nie patrząc na talię i szybko wyciągnął swoją. Razem odwrócili karty i oboje zaczęli się śmiać.

Wyciągnął asa.

Rose-alba również!

Tłum poderwał się, widzowie szturchali się nawzajem i spoglądali z napiętymi twarzami graczy, na siebie nawzajem; można by przysiąc, że widzowie walczyli z szybszym biciem serca niż gracze. I może była to prawda.

— Kolejne osiem? — zaproponował Ross.

— Pójdźmy dalej — odparła Rose-alba. — Szesnaście tysięcy, że moja trójka przebije twoją dwójkę.

— Jeśli o mnie chodzi, ja stawiam na asy — powiedział jej.

Ale to znowu Rose-alba miała asa. Nie zamierzała teraz ryzykować. Jej as przebił jego siódemkę, wyciągnął od niego szesnaście tysięcy dolarów i dał jej do tej pory wygraną w wysokości dwudziestu czterech tysięcy. Ross odchylił głowę do tyłu i roześmiał się, a wszyscy wiedzieli, że śmiał się z rozbawienia - choć nikt nie mógł powiedzieć, że był zachwycony; a Rose-alba wciąż się uśmiechała - i z kącików oczu rzuciła jedno jasne spojrzenie w kierunku Carmencity Valdez.

— To dwadzieścia cztery, panie Haveril, dziękuję — oznajmiła uprzejmie. — To pomoże mi położyć nowy dach na domu. A może coś więcej?

— To mniej więcej połowa tego, co kazałaś mi zabrać ostatnim razem, pamiętasz? Ale zostało mi jeszcze parę groszy. Co powiesz na to, żebyśmy trochę podgrzali atmosferę? Moje dwadzieścia cztery przeciwko twoim? Co? No dalej, panno Devlin!

— Wchodzę, panie Haveril!

Ale nie weszła. Potasowanie talii i rozłożenie jej na stole nie zajmuje wiele czasu, lecz wybuch wymaga go jeszcze mniej. A przeszkoda, która przerwała ich grę, miała właśnie przypadkowo wybuchowy charakter.

Luke Oliver wyszedł na zewnątrz w poszukiwaniu Grove'a Jordana lub konia swojego przyjaciela, lecz nie znalazł ani jednego, ani drugiego.

— Pieprzony gnojek — warknął Luke i powłóczył się trochę, patrząc na gwiazdy i paląc papierosy, po czym ruszył z powrotem do domu.

Kiedy postawił stopę na pierwszym stopniu schodów prowadzących na wysoką werandę, usłyszał zbliżającego się od zachodu jeźdźca i leniwie odwrócił się, by zobaczyć, kto to jest. Nadjeżdżał Grove, jadąc szybko. Luke zawołał na niego i Grove podjechał do niego.

— Gdzie do cholery byłeś i co tam kombinujesz? — spytał Luke.

Grove, zsiadając z konia zachichotał. Grove Jordan był najbardziej oszczędnym człowiekiem w wydawaniu wesołych dźwięków, jakiego Luke kiedykolwiek znał, i stary kowboj zaczął się na nowo zastanawiać. Grove machnął szeroko ręką, wskazując drogę którą przybył.

— Nie widać tego stąd dobrze, ale można sobie mniej więcej wyobrazić — powiedział.

Wtedy Luke zobaczył dosyć wyraźny ogień i zdziwił się, że nie dostrzegł go wcześniej. Samo ognisko pożaru było skryte przez porośnięte lasem zbocze góry, lecz w dole widać było wyraźną i coraz jaśniejszą łunę, rozlewającą się szeroko na tle ciemności lasu.

— Człowieku! — wykrzyknął Luke. — To na dole, w Zagubionej Dolinie. Pożar u Toma Storma! — Wtedy dotarły do niego wszystkie implikacje tego faktu. Chwycił Grove'a za ramię, mówiąc ostro: — Byłeś tam na dole! To ty podpaliłeś ranczo Storma!

Grove'a, jak zwykle niezgrabnego, zdawał się ogarniać wstyd.

— Do diabła, to nic takiego — mruknął. — Spójrz na to wszystko, co Ross dla mnie zrobił, kupując mi tę nogę i w ogóle. Ja dla niego zrobiłem niewiele; kosztowało mnie to tylko krótką przejażdżkę, parę zapałek i butelkę nafty, a naftę i zapałki i tak przywiozłem z domu Rossa.

— A niech mnie i moje koty — sapnął Luke Oliver.

Potem zaś, niecałe dziesięć minut po Grove Jordanie pojawił się Tom Storm.

Był to Tom Storm na wpół oszalały z wściekłości. Widział, jak płomienie trawią jego stodołę i budynki gospodarcze, walczył wraz ze swymi ludźmi z pożogą, lecz wkrótce zdał sobie sprawę, że niewiele można zrobić, zostawił ich, by zrobili to bez niego - i przyjechał tu na górę, jakby gonił go diabeł - albo przywiało go na skrzydłach wiatru.

— To Storm! — mruknął Grove. — Jak, u diabła…

— Pewnie, ty pajacu. Będzie myślał, że zrobił to Ross i zacznie strzelać.

Przez okna Górskiego Domu wpadło wystarczająco dużo światła, by było widać, kto to jest, gdy Storm zeskoczył z siodła. W mgnieniu oka Luke Oliver, zerwawszy się pod wpływem nagłego impulsu, lecz z chłodną głową, rzucił się na Toma Storma i powalił go na ziemię, kiedy ten nie stanął jeszcze dobrze na nogach, po zejściu z siodła. Grove Jordan, niemal natychmiast ruszył mu w sukurs. Dwoma ruchami wyrwali Stormowi broń i pozwolili mu wstać.

— W domu Rose Devlin było już wystarczająco dużo zabijania — oznajmił Luke.

Storm wyrwał się im, zaczął go przeklinać ryczącym głosem, ale nie zatrzymał się nawet na chwilę. To właśnie głos Storma, kipiący wściekłością, którą nieomylnie można było dostrzec u niego i która sprawiała, że wszyscy słyszący go wstrzymywali oddech, przerwał toczącą się przy stoliku grę o wysoką stawkę.

Rose-alba, podrywając się z miejsca, wykrzyknęła z gwałtownym gniewem:

— Mówiłam temu człowiekowi, żeby nigdy więcej tu nie przyjeżdżał!

Ross Haveril, zrywając się na równe nogi, wiedział w głębi duszy, że oto wreszcie nadszedł czas próby sił między nim a Tomem Stormem, przedarł się przez zgromadzony wokół stołu tłum i ruszył do drzwi. Wpadający do środka Tom Storm, był bardzo, bardzo bliski zarobienia kuli prosto w serce. Rewolwer Rossa znalazł się już w jego dłoni, zaś on, podobnie jak Luke, tak bardzo był pewien, że gdy Storm wejdzie do środka, od razu zacznie strzelać, że dopiero w ostatniej chwili zauważył, iż dłonie wbiegającego człowieka są puste i zaciśnięte w pięści.

Storm zobaczył go stojącego przed innymi; nie wiadomo, czy w ogóle zauważył broń w dłoni Rossa. Przy jego obecnym stanie umysłu, ponadto ponieważ był człowiekiem, w którym niewiele było strachu, zaś bardzo wiele nienawiści, podszytej obecnie dodatkowo wściekłością, widok żadnej broni by go nie powstrzymał.

Obaj mężczyźni nie mieli sobie nic do powiedzenia. Po chwili Ross Haveril zorientował się, jak to jest ze Stormem i odrzucił swą broń do tyłu, posyłając ją po podłodze, by zniknęła pod stopami ludzi. Gdy Storm runął na niego jak wystrzelony z armaty, on też rzucił się do przodu, by się z nim zmierzyć, i obaj zwarli się ze sobą z trzaskiem i łomotem, który zabrzmiał głośno w cichym pomieszczeniu.

Storm z brutalną siłą uderzył Haverila w górną część ciała, a pięść Rossa wbiła się w jego szczękę i dwa pędzące ciała, które przed chwilą zderzyły się ze sobą z takim dzikim impetem, odskoczyły teraz od siebie. Ale żaden z nich nie upadł, obaj złapali równowagę i ponownie rzucili się na siebie, z nie mniejszym zapałem. Ktoś zawołał:

— Powstrzymajcie ich! — Ale prawie wszyscy inni krzyczeli: — Zostawcie ich w spokoju!

Starli się i zaczęli nawzajem wymierzać uderzenia, nie zastanawiając się nad sztuką tego, co robią, nie myśląc o odpieraniu ciosów, żaden z nich nie posiadał bitewnego sprytu, ale za to obaj odczuwali pierwotną potrzebę bezlitosnej, morderczej agresji. W ciągu kilku sekund usta Rossa Haverila zostały rozcięte i zaczęły krwawić, a jego górna część ciała była cała posiniaczona; Storm miał rozbite oko, a krew spływała po nim tak, że wyglądało, jakby miał rozcięty policzek. Obie twarze, nie licząc rozmazanej krwi, były blade jak ściana, lecz niewiele tylko bledsze niż wiele twarzy zwróconych w ich stronę w pełnym fascynacji przerażeniu, u ludzi obserwujących ich walkę.

Ewidentnie byli tak równi sobie, jak te surowe, stare góry, ale równie oczywista była niewielka przewaga jaką posiadał Storm: Tom Storm nosił

zwykłe buty na płaskim obcasie, podczas gdy Ross Haveril, do swojej odświętnej kreacji, założył buty na wysokich obcasach, a wysokie obcasy nie nadają się zbytnio do walki, gdyż trudniej się na nich poruszać i łatwo na nich może wykręcić się stopa. Najdziwniejsze jednak było to, że obie te przewagi Toma Storma zadziałały na jego niekorzyść.

Zdając sobie sprawę z posiadanej przewagi wagi, wykorzystał ją, używając każdego funta swego ciała, w sposób w jaki używa się kafara. Rzucił się na Haverila, jego nogi oderwały się od podłogi w wyskoku, zaś pięść zmieniła się w maczugę wojenną, uderzającą z całym impetem, jaki Storm był w stanie wykrzesać ze swych mięśni, energii, wagi i nienawiści – a jednocześnie pięta Rossa wykręciła się, i Haveril upadł jak długi na podłogę. Lecz zanim Storm zdążył go zdeptać, wykręcił się i wywinął jak piskorz, o włos unikając ataku przeciwnika, i z powrotem zerwał na nogi, sprężyście i energicznie. Upadek doprowadził tylko do tego: Obaj mężczyźni zmienili pozycje tak, że teraz Ross znajdował się bliżej drzwi, przez które wpadł Storm i był odwrócony do nich plecami. I w ten sposób koniec, którego żaden z nich jeszcze nie dostrzegał, chociaż był on już taki bliski, lecz wciąż pozostawał bezkształtną i niewidoczną w mroku przyszłości rzeczą, zbliżył się do nich na odległość jakiegoś pół tuzina ciosów i tyluż sekund.

Zderzyli się i odbili do tyłu, obaj, po czym zwarli się ponownie i zabrali się do walki z narastającą furią, a ich spocone ciała splotły się w uścisku - i nagle wypadli przez drzwi jak dwóch pijaków, jak dwa rozwścieczone niedźwiedzie, wylecieli pod ciężarem Toma Storma na werandę – a następnie przetoczyli się przez werandę i uderzyli w balustradę. Potem, przez łomot kości i ciał, przebił się trzask pękającego drewna. Rozległ się krzyk dziewczyny i ciężkie sapnięcie wielu głosów - zaś Ross Haveril i Tom Storm, nawet wtedy wciąż trzymając się za gardła, runęli w dół, znikając z pola widzenia zebranych w sali ludzi.

Luke i Grove dopadli do nich jako pierwsi. Leżeli bez ruchu w miejscu, w którym spadli, nie było widać najmniejszego nawet drgnięcia ich mięśni. Koło samego domu, nie docierał żaden promień światła z okien, było więc zbyt ciemno, aby odróżnić jednego od drugiego.

— Ross! Ross! — zawołał niespokojnie Luke, pochylając się nad nimi.

— W porządku, Luke — wydyszał Ross. Poruszył się, wstał i popatrzył pod nogi na Toma Storma. Storm wciąż się nie ruszał i nie odzywał.

Leżał tak wciąż, kiedy przybiegli ludzie z lampami. Wylądował na plecach, a Ross na nim. Pod centrum pleców Toma Storma znajdował się kamień o poszarpanej, ostrej krawędzi.

— Nie żyje? — zapytał Ross, jego głos zabrzmiał ciężko i ponuro.

Luke wyprostował się.

— Nie, nie jest martwy. Chociaż równie dobrze mógłby być, gdybym ja miał to osądzać. Jeśli nawet nie ma złamanego kręgosłupa, to nie będzie mógł chodzić przez długi czas, jeśli w ogóle będzie w stanie. I dobrze mu tak.

— Zgadza się, dobrze mu tak — stwierdził Ross, bardzo poważnym i spokojnym tonem. — Ja jednak, czuję się chory w środku.

Inni ludzie zebrali się wokół leżącego Storma, zaś Ross oddalił się, wracając po schodach. Wtedy u jego boku znalazła się Carmencita, położyła mu rękę na ramieniu, a jej oczy uniosły się ku jego wypełnione, takim uczuciem, jakiego nigdy wcześniej nie widział.

— Och, Ross! Jak się czujesz? Dzięki Bogu, że nic ci nie jest! Ja…

— Tak, nic mi nie jest, Carmencita.

— Gdyby ci się coś stało — wyszeptała, a on zobaczył, że jej policzki są mokre.

Delikatnie poklepał jej dłoń.

— Moja kochana, Carmencita. Tak, czuję się dobrze.

Kiedy tak stali, Luke minął ich, wchodząc po schodach. Rose-alba wyglądała przez złamaną barierkę, a światło lampy spływało na jej głowę, rozrzucając promienie światła po włosach i rysując jej białą twarz na tle mroku nocy.

Poprosiła Luke'a:

— Powiedz mi.

Opowiedział jej, co wiedział i razem weszli do środka.

— Podejdź tutaj — powiedziała do niego i poprowadziła go do stołu, przy którym grała z Rossem.

— Spójrz na to. Wygrałam od niego dwadzieścia cztery tysiące dolarów.

— Świetnie! — zachichotał Luke. — Łobuz. Cieszę się, że to zrobiłaś.

— Powiem ci coś, Luke — oznajmiła, a ton jej głosu, tak bardzo poważny, sprawił, że obrzucił ją pytającym spojrzeniem. — Tak, coś ci powiem! — Zgniotła banknoty w dłoni z taką gwałtownością, że jej knykcie zrobiły się jeszcze bielsze niż twarz. — Nienawidzę tego miejsca. Nigdy więcej nie będę tu grała, nie będę tu dalej mieszkać. Jest jeszcze coś, czego nienawidzę – i to Ross i Grove, taki paskudny stwór jak Grove Jordan, nauczyli mnie tego nienawidzić! Pewnego razu pokłócili się, bo każdy przysięgał, że wygrał ten drugi! A dziś wieczorem - widzisz te pieniądze?

Wcisnęła mu je do ręki, a Luke wpatrywał się w nią jeszcze intensywniej.

— Co się stało, Rose? Co ci się stało?

— Weź te pieniądze. Nie chcę ich. Weź je ze sobą, a kiedy wrócisz do domu, daj je Rossowi...

Wtedy Luke, myśląc, że postępuje słusznie, poklepał jej dłoń tak samo, jak Ross poklepał Carmencitę i powiedział, chichocząc:

— Rose, nie przejmuj się tymi pieniędzmi. Posłuchaj, a powiem ci coś - tylko musisz przysiąc mi na wszystkie świętości, że nigdy nie puścisz pary z ust na ten temat, nawet jeśli dożyjesz stu dziewięćdziesięciu lat.

— O co chodzi, Luke?

— Nie powiedział mi nawet słowa o tym, ale ja wiem! Zawsze uważał, że te pięćdziesiąt tysięcy, które wygrał za pierwszym razem, to były twoje pieniądze i że ty ich potrzebowałeś, a on nie. Przyszedł tutaj, aby je stracić. Od tamtej pory…

Rose-alba zaczęła się dziko śmiać, po czym zakryła usta dłonią.

— Oddaj mu te pieniądze, Luke. I powiedz mu, że oszukiwałam, aby je wygrać!

Zobaczyła wchodzącego Rossa, odwróciła się i uciekła.

Ale Ross też ją widział i zauważył sposób, w jaki wybiegła, po czym zaczął wpatrywać się w dziwny wyraz twarzy Luke'a Olivera. Kilka długich kroków doprowadziło go do Luke'a.

— Powiedz mi — powiedział, a jego głos z jakiegoś powodu wiązł mu w gardle. — Co poszło nie tak, Luke?

Luke również czuł ucisk w gardle; Ross widział, jak jego jabłko Adama unosi się do góry, kurczy i znika, gdy Luke, ciężko przełykając, nie mógł wykrztusić słowa.

— Ja — powiedział Luke — chyba lepiej pójdę się napić. A ty, mały, biegnij za nią i walcz. Jedna rzecz - do diabła, dzieciaku, ona żonglowała kartami na twoją stronę, a co więcej, powiedziała mi o tym i…

Ross chciał się roześmiać, ale coś go powstrzymało.

— Wiem, wiem — stwierdził zniecierpliwiony. — Biedna mała…

— Ona szaleje... Lepiej, żebyś…

Ross nie czekał aż Luke dokończy. Drzwi zatrzasnęły się już za Rose-albą, szaloną duszą szukającą ucieczki przed czymś, co ją przygniotło. Otworzył drzwi i wpadł w gęstą ciemność pokoju, który był mu obcy. Zawołał:

— Rose! Rose-alba! — i biegł dalej. Zobaczył blady prostokąt nieco słabszej ciemności i usłyszał szybki stukot małych biegnących bucików...

Potem widział tylko jej mglistą sylwetkę, zgubił ją i sam nie wiedział jak odnalazł ponownie, gdy Rose Devlin, uciekając od wszystkiego, co znała, co miała i czego nienawidziła, popędziła wzdłuż grzbietu wzgórza, prosto w kierunku starej skały, na której stała tak wiele razy w swym młodym, jasnym i ciemnym życiu, patrząc w gwiazdy, spoglądając na wzniesione przez góry obwałowania przeciwko gwiazdom, patrząc wytężonym wzrokiem w siebie, w życie i we wszystkie jego tajemnice.

I to właśnie na szczycie Dalekiej Skały Ross Haveril w końcu się z nią spotkał. Zobaczył jej oczy, błyszczące, wilgotne oczy, w których błyszczał księżyc. Zobaczył też determinację na jej twarzy.

— Ross, cieszę się, że przyszedłeś — powiedziała. — Ross, oszukałam cię dzisiejszego wieczora.

Nieświadomie szukał jej dotyku. Jego dłoń wyciągnęła się i mocno zacisnęła na jej.

— Wiem, kochanie — powiedział. — To nie robi żadnej różnicy…

— Black Jack i mój kochany Hannigan nauczyli mnie wielu rzeczy — powiedziała, a on musiał się nachylić ku niej, by uchwycić jej słowa. — Ale nie nauczyli mnie wszystkiego. Pojawiłeś się ty, pojawił się też Grove Jordan i wy obaj też mnie czegoś nauczyliście. I, Ross…

Nagle trudno jej było mówić dalej. Ross objął ją silnym ramieniem i przytulił do siebie.

Uśmiechnęła się do niego; dostrzegł jej uśmiech w świetle księżyca.

— Pragnęłam zdobyć dużo pieniędzy, Ross. Chciałam je zdobyć od ciebie. Czy to nie trochę zabawne? Chciałam ich od ciebie! Ross, czy wiesz, że cię kocham? A może raczej, prawie cię kocham? Nie, Ross, ty nie

musisz mnie kochać i nie zmuszaj mnie, bym ja ciebie też kochała. Po prostu posłuchaj, co ci mam do powiedzenia na pożegnanie. Musisz mnie wysłuchać, Ross.

Powiedział bardzo łagodnym tonem:

— Tak, Rose-alba, słucham cię.

— Być może cię kocham — mówiła dalej cichym, pełnym zastanowienia głosem i po raz pierwszy dotknęła dłonią jego policzka. — Może chciałam cię pokochać, lecz coś mi w tym przeszkodziło. Z całego serca pragnęłabym to wiedzieć, żeby móc ci wyznać prawdę. Ale Ross - to cię nie zrani, prawda?

— Nie. Nie pozwolę, żeby mnie to zraniło, Rose-albo.

— Jesteś taki cudowny, masz tak wspaniałe serce, skoro to rozumiesz! Ross, za każdym razem… Och, Ross, widziałabym przez cały czas Boba! Twarz Boba Robertsa spoglądałaby na mnie, wyłaniając się z ciemności - stając między tobą a mną, Ross. I… te pieniądze, Ross; chciałam je zdobyć na naprawdę szaloną rzecz. I wiem, że to Bóg przysłał cię do mnie, tutaj, na tę starą skałę. Właśnie tutaj, każdy cent, jaki udałaby mi się od ciebie wygrać - a oszukiwałam jak mogłam, żeby tego dokonać! - zamierzałam wykorzystać do budowy wielkiej, wysokiej, białej wieży, którą widać by było z odległości stu mil - pomnika dla moich dawnych ukochanych - dla Boba, dla Black Jacka i dla drogiego, starego Hannigana! Jeśli chodzi o mnie, jestem skończona…

— Skończona, Rose-alba! Ty? Posłuchaj tylko…

— Ćśśś! To ty mnie posłuchaj Ross, jak mogę mówić ci o takich rzeczach? — Przywarła do niego; ich spojrzenia błądziły głęboko w cienistych dolinach, po czym wróciły z powrotem. — Nigdy nie rozmawiałam o tym z nikim innym… To tak, jakbym… Posłuchaj mnie, Ross! Może mi się to tylko śniło! Widziałam wysoką granitową kolumnę, biały, lśniący granit, cały przetykany złotym kwarcem - tak jak Black Jack i jak stary Hannigan - i... — Zaczęła szlochać, po chwili powstrzymała się, gdyż była córką Black Jacka Devlina.

— Ross — wyznała całkiem zwyczajnie, teraz już bardzo cicho — wyjeżdżam. Tutaj byłabym skończona. Zanim przyjechałeś, a właściwie w dniu, w którym przyjechałeś, Black Jack, niech go Bóg błogosławi, chciał mnie wysłać do klasztoru. Tak więc wyjeżdżam. Nie jutro, ale dziś wieczorem. O nie — zaśmiała się cicho i lekko ścisnęła mu ramię. — Nie obiecuję, że zostanę tam całe życie. A jednak… Może…

Stała zupełnie nieruchomo i mówiła dalej spokojnym i uroczystym tonem.

— Dobranoc, Ross — oznajmiła. — Będę już uciekać. Będziesz życzył mi szczęścia?

— Szczęścia, Rose-albo — powiedział. Przez chwilę stał nieruchomo, myśląc jasno, nie zważając na przyspieszony puls walący mu w głowie. Po chwili już wiedział co mówić dalej. Obiecał jej: — Twoja biała granitowa wieża, cała pokryta złotem, stanie tutaj. Jeśli ty jej nie zbudujesz, ja to zrobię. A jutro, kiedy się prześpisz i wszystko sobie przemyślisz...

— Jutro? Jutro?

Przyciągał ją do siebie, coraz bliżej. Jej twarz obróciła się ku górze. Pocałowali się…

Znów było jedno z tych późnych letnich popołudni z wiszącą w powietrzu magią późnego lata.

— Mam ochotę na przejażdżkę powozem — oznajmił Ross.

— Niedługo zapomnisz, jak się jeździ konno — ostrzegł go Luke.

Ross roześmiał się i wyszedł do stodoły.

Szedł powoli, kapelusz zsunął daleko na tył głowy i oddychał głęboko esencją tej godziny; Luke widział to wyraźnie.

Luke mógł ścierpieć wiele trzymając język z zębami, ale nie wszystko.

— Dokąd się wybierasz, mały? — spytał.

Ross znów się zaśmiał.

— Wyglądasz na tak cholernie zadowolonego z siebie, że mam ochotę poderżnąć ci gardło — stwierdził Luke.

Obserwował bryczkę, świeżo umytą i lśniącą czystością, oraz zaprzęg kremowych klaczy z grzywami wyglądającymi jak atłasowy czarny jedwab, gdy człowiek, klacze i bryczka pędzili w dół doliny. Stał bez ruchu, obserwując, jak znikają z pola widzenia; widział, jak Ross pokonuje zakręt na dwóch kołach i znika za zalesionym wzgórzem, które skrywało rozwidlenie dwóch dróg.

Luke rzucił fajkę, tupnął w nią i kopnął jej kawałki nad zagrodą.

— A nich mnie i moje koty! — zawołał Luke Oliver.

KONIEC